MOCNA ROZMOWA „DO RZECZY”

Jestem unioscepty kiem – oświadcza Liroy-Marzec

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 15/318 8–14 KWIETNIA 2019

Warzecha wraca do katastrofy smoleńskiej

GOCIEK OPROWADZA PO SERIALU „GRA O TRON”

Semka o książce „My, dzieci komunistów”

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 78 tys. egzemplarzy

Wojna w Watykanie

RAPORT „DO RZECZY”

eprasa.pl 690fe9c854

Weź udział w unikalnym programie benefitowym

ORLEN

Warto mieć ORLEN W PORTFELU

Program dla Akcjonariuszy Indywidualnych PKN ORLEN

OSZCZĘDZISZ NA PALIWIE AŻ DO 540 ZŁ ROCZNIE

KUPISZ TANIEJ NA STACJACH ORLEN

ZYSKASZ WIEDZĘ O RYNKACH FINANSOWYCH W AKADEMII INWESTOWANIA

OTRZYMASZ CERTYFIKAT SYGNOWANY PRZEZ CFA SOCIETY POLAND

Więcej informacji na www.orlenwportfelu.pl oraz na infolinii pod numerami:
801 167 536 (801 1 ORLEN) 502 167 536 (502 1 ORLEN)

PARTNER PROGRAMU: Dom Maklerski

PARTNER EDUKACYJNY AKADEMII: CFA Society Poland

PARTNER MERYTORYCZNY PROGRAMU: Stowarzyszenie Inwestorów Indywidualnych

Program ORLEN W PORTFELU ani też żaden z udostępnianych komunikatów czy dokumentów na jego temat, nie stanowi oferty sprzedaży ani zachęty do złożenia oferty kupna papierów wartościowych PKN ORLEN S.A.
Publikacja takich materiałów nie oznacza również rekomendowania przez PKN ORLEN S.A. ani przez żaden inny podmiot sprzedaży bądź kupna jakichkolwiek papierów wartościowych, w szczególności papierów wartościowych PKN ORLEN S.A.
eprasa.pl 690fe9c854

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Ta straszna cywilizacja

Od dawna śledzę informacje o postępowych szaleństwach i sądziłem, że nic mnie nie zdoła zaskoczyć. Ani to, że w niektórych państwach lub miastach zakazuje się używania języka nacechowanego płciowo, ani to, że zamiast taty i mamy pojawiają się rodzic jeden i rodzic drugi, ani wreszcie żadna z prób rewindykacji przeszłości i obalania pomników. Zawsze chodzi o to samo, a mianowicie o zaprojektowanie na nowo świata, o przekreślenie tego, co odziedziczone. Przeszłość jest dla rewolucjonistów istnym koszmarem, bo nie można jej ot tak, po prostu, zmienić. Dlatego wymyślili modę na przepraszanie za grzechy przeszłości.

Współczesny rytuał przeprosin za rzekome zbrodnie przeszłości jest nową wersją bolszewickiej samokrytyki: ot, tyle że zamiast się walnąć pięścią we własne piersi, bije się w cudze, przy okazji potępiając odziedziczoną tożsamość religijną czy narodową. O tym, że jest to zjawisko globalne i że osiąga kolejne poziomy absurdu, przypomniał mi gest prezydenta Meksyku, Andrésa Manuela Lópeza Obradora, który właśnie poinformował, że oficjalnie zwrócił się do rządu Hiszpanii i papieża Franciszka o przeprosiny dla rdzennej ludności Meksyku za krzywdy, których ta miała doznać w czasie konkwisty 500 lat temu. Szaleństwo współczesne żadnych granic nie zna i to, co wydaje się najpierw żartem, nagle staje się czymś poważnym. Tak, to nie jest spóźniony prima aprilis, prezydent Meksyku naprawdę to zrobił. Umieścił też nagranie na Twitterze i Facebooku. „Już wysłałem list do króla Hiszpanii i list do papieża, aby poprosili rdzennych mieszkańców (Meksyku) o przebaczenie za łamanie tego, co dziś nazywa się prawami człowieka" – mówił. I dodawał, że w czasie konkwisty dochodziło do masakr, a Hiszpanie „budowali kościoły na świątyniach, nasi patrioci byli ekskomunikowani. Pojednamy się, ale najpierw muszą nas poprosić o przebaczenie".

Naprawdę, głupiej nie można. Po pierwsze, współcześni Meksykanie są właśnie w znacznie większym stopniu dziedzicami hiszpańskich zdobywców z XVI w. niż Indian. Jeśli zatem kogoś prezydent Meksyku powinien wzywać do przeprosin, to samego siebie i przedstawicieli meksykańskich elit. Po drugie, nie bardzo wiadomo, jaki jest niby związek obecnej Hiszpanii i papiestwa z dawnymi konkwistadorami. Żądanie, żeby współcześni przepraszali za „naruszenie praw człowieka", czy za to, o czym pokolenia sprzed rewolucji francuskiej nie słyszały, jest bardziej niż dziwaczny. Po trzecie wreszcie, zwycięstwo konkwistadorów było możliwe, bo poparła ich ogromna większość Indian, bezpardonowo i okrutnie trzebionych przez Azteków (Meksyk) czy Inków (Peru). To nie katolicy wymyślili ofiary z ludzi!

Jedyne, co w tej historii poważne, i jedynym powodem, dla którego warto o niej pisać, jest to, że pokazuje ona, jakie są skutki długotrwałej akcji oczerniającej cywilizację europejską. Ma ona się okazać źródłem agresji i nienawiści. Należy zakwestionować i podważyć wszystko to, co zbudował biały człowiek. A już szczególnie to, co jest dziedzictwem kultury katolickiej i łacińskiej. Jeszcze trochę i okaże się, że do grona przestępców zostanie zaliczony Krzysztof Kolumb, a Kościół katolicki obciąży się za wszystkie zbrodnie popełnione w dziejach przez jakichkolwiek katolików. Taki jest ostatecznie cel lewicowej rewolucji, niezależnie od tego, czy dotyczy ona Meksyku, Hiszpanii, Polski, Włoch czy Francji: za wszelką cenę należy zniszczyć stare dziedzictwo katolicyzmu. Trzeba wzbudzić poczucie winy i pozbawić współczesnych katolików dumy ze wspaniałej, niezrównanej cywilizacji, jaką zbudowali ich przodkowie w Ameryce Południowej czy na wschodnich kresach Europy. Dopiero kiedy to się uda, wtedy na gruzach powstanie nowy ład, nowe człowieczeństwo.

Chyba że znajdzie się wystarczająco wielu odważnych, którzy temu szaleństwu postawią tamę. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 690fe9c854

TEMAT TYGODNIA

18 KRYSTIAN KRATIUK
DZIEŃ SĄDU DLA KONSERWATYSTÓW
Jaki będzie za chwilę Kościół katolicki?

22 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
IGNOROWANIE FRANCISZKA

KRAJ

24 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ŁAPIŃSKIM
ZRĘCZNE POSUNIĘCIE KACZYŃSKIEGO
PiS wyrywa przeciwnikom konserwatywny elektorat

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SŁODKIE SŁOWO „WOLNOŚĆ"

30 KAMILA BARANOWSKA
CIMOSZEWICZA WYJŚCIE Z PUSZCZY

32 PIOTR SEMKA
TATA MÓWIŁ, ŻE BYŁO INACZEJ

35 BLANKA ALEKSOWSKA, WOJCIECH WYBRANOWSKI
WOJNA O RHIAN

38 MACIEJ PIECZYŃSKI
ADWOKAT DOBREGO IMIENIA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
NA KALWARYJSKICH DRÓŻKACH

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
KONIEC GRY
Finałowy sezon kultowego serialu

46 WALDEMAR ŻYSZKIEWICZ
„POMPON" JESZCZE NOWSZY

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z ÉRIKIEM ZEMMOUREM
FRANCJA MIMO WSZYSTKO
Francuski pisarz i publicysta „Le Figaro": Macronizm to sojusz burżuazji z lewa i z prawa

58 ROZMOWA Z PIOTREM LIROYEM-MARCEM
POLSKA JEST TRAKTOWANA JAK PRZED ZABORAMI

62 ŁUKASZ WARZECHA
SMOLEŃSK NA DALSZYM PLANIE

HISTORIA

64 JACEK KOMUDA
KOZACKA TRAGEDIA RZECZYPOSPOLITEJ
Hańba roku 1648

68 ROZMOWA Z ANDRZEJEM NOWAKIEM-ARCZEWSKIM
TROPEM „TARZANA" Z AK

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI
WOLNOŚĆ MILCZENIA
Zaprogramowani na konformizm

74 WITOLD REPETOWICZ
ERDOĞAN SZCZUJE NA EUROPĘ

76 MAREK BUDZISZ
POROSZENKO ALBO TANDEMOKRACJA?

EKONOMIA

80 MARCIN MAKOWSKI
LOTNISKO Z HISTORIĄ
Jak planowano Centralny Port Komunikacyjny

84 TOMASZ CUKIERNIK
AUTOBUS NAPĘDZANY BUDŻETEM

STYL

88 RADOSŁAW WOJTAS
PREMIER Z TABLOIDU
Miłość i rozstanie na oczach milionów

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
NADCIŚNIENIE BEZ SPECJALIZACJI?
W obronie hipertensjologii

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (67), WARZECHA (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 690fe9c854

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Alberto Pizzoli/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy

Dzisiaj Państwa głos w tematach podejmowanych niedawno na naszych łamach oraz krótka errata. Przypominamy nasz adres e-mail: listy@dorzeczy.pl.

„Szansa na Balaton północy", Zdzisław Kościelak, „DRz" 13/2019

Z wielką przyjemnością przeczytałem rzeczowy artykuł red. Zdzisława Kościelaka. Nie tylko rozprawia się on z krytykami ekonomicznymi i ekologicznymi, lecz także podkreśla bardzo ważną sprawę turystyki i rekreacji na Zalewie Wiślanym, który porównuje do Balatonu. Słusznie podkreśla, że tysiące jachtów ze Skandynawii i z Niemiec będą przypływać po otwarciu Zatoki. A to jest szczególny rodzaj jachtsmenów, zamożnych i wygodnych. Jako j.kpt.ż.w. przez kilkadziesiąt lat żeglowałem, głównie po Bałtyku, obserwując jachty zawijające do portów Kopenhagi, Oslo, Sztokholmu czy Helsinek. Otóż żeglarze z jachtów z sąsiednich krajów prawie zawsze po zacumowaniu udawali się do hoteli. Bo to wygodne, prysznic, restauracja itd. A to oznacza, że w naszych kilkunastu istniejących przystaniach nad Zalewem powstaną mariny, hotele, restauracje, punkty sprzedaży pamiątek (zwłaszcza z bursztynu!), „rent a car" i inne usługi. Przecież po obejrzeniu katedry we Fromborku wielu będzie chciało pojechać do Trójmiasta albo i dalej. A wokół Zalewu, jak nad Balatonem, rozwinie się masowe budownictwo rekreacyjne, podnosząc standard życia całego regionu. Wydaje mi się, że malkontenci w typie red. Łukasza Warzechy czy prof. Włodzimierza Rydzkowskiego mylą się fundamentalnie ze swoimi pesymistycznymi ocenami. A „autorytety" ekologiczne, które argumentują, że wzrośnie zasolenie wody w Zalewie albo że „nawet Niemcy nie zbudowali przekopu", nie zauważają, że jest Cieśnina Piławska o szer. 750 m otwarta 24 godz. na dobę i 365 dni w roku.

Budowa wielkiego ośrodka usług turystycznych w Obwodzie Królewieckim świadczy, że Rosjanie już przygotowują się do tego najazdu turystów, przede wszystkim ze Skandynawii.

Cieszę się, że pan Zdzisław Kościelak naświetlił tę sprawę.

Z poważaniem
Tadeusz Szostak

„Tęczowa równia pochyła", Paweł Lisicki, „DRz" 12/2019

Nasi dziadkowie nie wiedzieli nic o LGBT, nasi rodzice nic nie wiedzieli o LGBT, ja z żoną nic nie wiedziałem o LGBT – to dlaczego dzisiaj nasze dzieci raptem trzeba edukować i omawiać w szkołach publicznych kwestię np. złego dotyku? A może problem należy odwrócić, bo może to homoseksualizmu i pedofilii w naszej ubogaconej popkulturze jest przesadnie za dużo i tama się wylała? Rolą mediów jest prawdziwy opis rzeczywistości i do takich oczywiście zaliczam tygodnik „Do Rzeczy". Z obserwacji własnej wiem, że ludzie mądrzy nawet o innej orientacji niż hetero nie życzą sobie omawiania intymnych skłonności w świetle jupiterów i dlatego też zagłosują na PiS. Hałaśliwy jest tylko młody, rozpasany margines używany jako narzędzie do działań politycznych.

Bo jak już wszyscy zostaniemy gejami, to co z demografią? Komu oddamy Europę?

Z poważaniem
Juliusz Rzepczyński

„W cieniu siostry", Joanna Bojańczyk, „DRz" 13/2019

„Ślub Izabeli Potockiej z Hubertem d'Ornano w lipcu 1963r. [...] Wśród gości są [...] oraz Jacqueline Kennedy, wdowa po prezydencie [...]".

Kto w lipcu wiedział, że Jacqueline zostanie wdową w listopadzie? Komisja Warrena tego wątku chyba nie badała.

Z poważaniem
stały i wierny czytelnik

Od autorki

Szanowny Panie, w moim tekście Jacqueline Kennedy uczyniłam wdową, którą miała zostać dopiero za cztery miesiące. Dziękuję za sumienną lekturę, (dowcipne) zwrócenie uwagi i przepraszam za błąd.

Z poważaniem
Joanna Bojańczyk

eprasa.pl 690fe9c854

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Za Tatrami jest inaczej

Słowacja – odejście od modelu Orbána" – tak wygraną liberalnej kandydatki Zuzany Čaputovej przywitał portal Deutsche Welle. Zdaniem komentatora Keno Versecka to „przejaw dotychczas mało zauważanego trendu w tym regionie: schyłku populizmu i demagogii". Tego typu komentarze dominowały w zachodniej prasie. Duża część tamtejszych tekstów o krajach wyszehradzkich albo załamuje ręce nad popularnością PiS czy Fideszu, albo wynajduje jakieś zwiastuny zmiany.

Ale przykładanie polskiej czy węgierskiej miary do wszystkich krajów wyszehradzkiej czwórki niewiele wyjaśnia z tego, co się dzieje u naszych południowych sąsiadów. Dla Słowaków poparcie Čaputovej było demonstracją przeciw zbyt długo już trwającej arogancji rządzącej lewicowej partii Smer (Kierunek). Rządzi ona już od 2012 r. Smer to dziwaczna mieszanka postkomunizmu, lekkiej narodowej nuty połączonej z niemal pełnym posłuszeństwem wobec Unii. Coś jak PSL w stylu Adama Struzika z lekkim sznytem endeckim, ale równoważonym europejską polityczną poprawnością. Coś jak Roman Giertych w obozie Platformy. Ten dość przaśny „haluszkowy" eurosocjalizm bazował na zasadzie: jak będziemy mili wobec Brukseli, to unijni bonzowie przymrużą oko na łasowanie w składziku z rządowymi konfiturami. Ten błogostan pod rządami lidera Smeru Roberta Fico trwał aż do marca 2018 r., kiedy doszło do politycznego wstrząsu. Zamordowano wtedy dziennikarza śledczego Jána Kuciaka wraz z narzeczoną Martiną Kušnirovą. Wybuchły demonstracje przeciw korupcji ekipy Smeru i zmowie milczenia wokół działań mafii.

Premier Fico podał się do dymisji, ale wyborów nie rozpisano. Nowy premier Peter Pellegrini nieco uspokoił nastroje, ale mimo półtora roku śledztwa morderców Kuciaka nie wykryto. I teraz przy okazji wyborów prezydenckich – zirytowani bezruchem i korupcją wyborcy – „podziękowali" Smerowi.

I tak jest na Słowacji od 25 lat. Najpierw, po aksamitnym rozwodzie z Czechami, rządził narodowo-ludowy Vladimir Mečiar, a potem, gdy już stało się jasne, że blokuje on marsz do Europy, zastąpił go liberał Miklosz Džurinda. Potem cztery lata porządził lider Smeru Robert Fico, ale po aferach korupcyjnych zastąpiła go liberałka Eva Radičova. Gdy i ta się skompromitowała – w siodle zasiadł znów Fico, podmieniony potem przez Pellegriniego.

Prawicy takiej jak PiS czy Fidesz nie ma. Najbliżej do niej partii chrześcijańskich demokratów KDH, ale ta jest słaba. Są jeszcze narodowcy ze Słowackiej Partii Narodowej przypominający nieco nasz Ruch Narodowy, ale i ona podobnie jak cały rój małych partyjek liberalnych jest słaba.

Nowa prezydent Čaputowa będzie zapewne grała na nucie europejskiej. Jednak rządzący lewicowy Smer robi to samo. Jedyna różnica to stopień bezczelności obu ruchów politycznych w drenowaniu pieniędzy z państwa. Smer robi to bardziej bezczelnie i łapczywie. I dlatego Słowacy ukarali go wyborem nowej pani prezydent. Ot, i cała tajemnica.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. RAFAŁ GĄDLEWSKI/REPORTER

TRAGICZNE WYPADKI KARETEK

Na strzeżonym przejeździe kolejowym w Puszczykowie pod Poznaniem zginęli ratownik medyczny i młody lekarz. Kierowca karetki, który utknął na torach między szlabanami, przez niemal 40 s próbował tak manewrować pojazdem, aby uniknąć zderzenia. Niestety, przegrał walkę z czasem. Według ekspertów tragedii można było uniknąć: rogatkę można było wyłamać lub po prostu podnieść. Z kolei w Pruszkowie karetka na sygnale śmiertelnie potrąciła przechodzącą na pasach dziewięciolatkę. Kierowca usłyszał już zarzuty. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl 690fe9c854

Odkupienie Piotra

Trzykrotne nieprzyznanie się wobec ludzi do znajomości Chrystusa było dla Piotra wielkim wyrzutem sumienia do końca życia. To zwątpienie wzmocniło jednak apostoła, któremu przyszło głosić nowinę o Zbawicielu w trudnych dla chrześcijan czasach i w niebezpiecznym dla nich miejscu. O ostatnich dniach życia św. Piotra opowiada film fabularny „Piotr. Odkupienie", który będzie można kupić za tydzień z „Do Rzeczy".

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Film opowiada historię ostatnich dni życia św. Piotra. Wtrącony do więzienia przez prześladującego chrześcijan cesarza Nerona, oskarżany o podpalenie Rzymu, zmuszany jest do przyznania się do winy. I wyrzeknięcia się po raz kolejny Chrystusa. To dla Piotra ostateczny sprawdzian wierności w wierze i miłości do Zbawiciela. Bity i torturowany, ze świadomością zbliżającej się śmierci stanął przed możliwością odkupienia swych win. I zadaniu sprostał. Co przypłacił męczeńską śmiercią. Wierny Jezusowi do końca został ukrzyżowany. Wyprosił u oprawców, by ukrzyżowano go głową do dołu, nie czuł się godny opuszczania tego świata w ten sam sposób co Zbawiciel.

W filmie „Piotr. Odkupienie" towarzyszką ostatnich dni życia Pierwszego z Dwunastu jest Zuzanna – służka, którą żona Nerona oddelegowała do opieki nad Piotrem. Dogląda go, leczy ziołami, podnosi na nogi, by przetrwał serię przesłuchań opartych na torturach. Więźnia pilnuje młody legionista Martynian, który słuchając opowieści Piotra, zbliża się do chrześcijaństwa. Apostoł dzieli się swoimi rozterkami, ale też wspomina czas spędzony z Jezusem Chrystusem.

Reżyserem filmu jest Leif Bristow. W roli św. Piotra wystąpił John Rhys-Davies znany zwłaszcza z serii „Władca Pierścieni", gdzie zagrał krasnoluda Gimlego, i z filmów o Indianie Jonesie. Występują również m.in. Stephen Baldwin, Bobbie Phillips, Steve Byers, Joseph Mesiano.

„Piotr. Odkupienie" to dramat produkcji kanadyjskiej z 2016 r. Świąteczne wydanie „Do Rzeczy" z filmem będzie dostępne od poniedziałku 15 kwietnia. ©℗

(oprac. raw)

15 kwietnia z „Do Rzeczy" film fabularny o św. Piotrze Apostole

REKLAMA

KRS: 000 000 4522

Lubelskie Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia

1% Twojego podatku daje WIELE!

Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

eprasa.pl 690fe9c854

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Człowieczyce

Pierwszą ofiarą totalniackich zapędów głosicieli różnych dziwacznych ideologii jest zawsze język. Język z natury swej jest giętki, można z nim wydziwiać do woli – może to zresztą i lepiej, że pierwsza furia fanatyków skupia się na kaleczeniu słów i gramatyki, uprzedzając ludzi o rodzącym się szaleństwie.

Przecież nie mamy dwóch płci, tylko od groma. A gdzie formy dla „osób trans"?

Feminazizm (igram z ogniem – za użycie tego słowa, wymyślonego przed laty przez Rusha Limbaugha, „rozgrzany sędzia" z Torunia skazał właśnie vlogera Marcina Rolę) nie jest wyjątkiem, jego głosicielki od zarania ruchu mają obsesję „feminizowania" języka. I nie w tym problem, że chcą, żeby różne zawody, dawniej przypisywane wyłącznie mężczyznom, miały swoje formy żeńskie. Język jest żywy i sam reaguje na zmieniającą się sytuację, gdy zachodzi potrzeba. Groteskowość działania feministek, tworzących dziwolągi „gościni", „naukowczyni" czy „profesora" bierze się stąd, że robią to na siłę i bezmyślnie.

Tak jak „muzyczka" to nie „kobieta muzyk", tylko muzyka marna, błaha – tak „polityczka" brzmi raczej pogardliwie. Nazywanie kobiety kierownika – kierownicą, cukiernika – cukierniczką, a kobiety oficerów – oficerkami jest raczej ich uprzedmiotowianiem niż okazywaniem szacunku. Co zabawne, feministki, małpując ślepo zachodnie wariatki, przerabiające „amen" na „awomen", nie zauważają, że forma gramatyczna w języku polskim w ogóle nie wiąże się z płcią opisywanej osoby. Na przykład kluczowe dla „patriarchatu" słowo „tata" jest gramatycznie żeńskie. Podobnie jest z „sędzią". Jeśli ustąpimy i zarezerwujemy słowo „sędzia" dla kobiet, to jak będzie się nazywać sędzia mężczyzna? „Sędź"?

I dlaczego zaczynać tak skromnie, od wymyślania „lekarzyń" czy „socjolożek", gdy przede wszystkim wciąż nie zna polszczyzna formy żeńskiej dla słowa „człowiek"? Kobieta jest „wykładowczynią", a wciąż, po męsku, człowiekiem? Nie no, jak tak, to musi być… człowieczycą? Człowieczką? Osobiście zastanowiłbym się nad wykorzystaniem formy pokrewnej: ten człowiek, ta „ludzia".

Wszystko pikuś, dopóki nie uświadomimy sobie, że przecież nie mamy dwóch płci, tylko od groma. A gdzie formy dla „osób trans"? Ludzio? Gościnio, lekarzynio… Może z włoska „lekarzynnio", lepiej zabrzmi. No, siostry, kupa (kup? kupo?) roboty jeszcze przed wamo. ©℗

CZERWONE I CZARNE

Kropla trucizny lub nienawiści

WOJCIECH WYBRANOWSKI

Lubię moje miasto z jego odrobiną trucizny" – śpiewał w jednym ze swoich wielkich przebojów Tom Waits, dodając, że nikt tak naprawdę nie wie, jak bardzo ona prowadzi do szaleństwa; niektórzy z jego naśladowców tłumaczyli też słowo „trucizna" jako „nienawiść", co zresztą zdecydowanie bardziej odpowiadałoby także nadwiślańskiej rzeczywistości.

W stolicy naszego pięknego kraju środowisko lewicowe, bliskie Koalicji Europejskiej, ubogacone gwiazdami byłego dziennikarskiego mainstreamu, na Uniwersytecie Warszawskim organizuje debatę: „Polacy nie gęsi, język nienawiści znają". Biorąc pod uwagę zestaw prelegentów, można się spodziewać, że narracja będzie typowa: – Polacy to hejterzy, a nienawiść, oczywiście z każdej, ale przede wszystkim prawej strony, narasta w przestrzeni publicznej.

Rzeczywiście narasta, czego przykładem mogą być nie tylko język i sposób debaty, nie tylko w mediach i na scenie politycznej, lecz także na uczelni, która o „mowie nienawiści" chce debatować. Głośno tam jest o ultralewicowej grupie o nazwie Społeczny Komitet Antyfaszystowski, którego lider, deklarujący się jako marksista, na tejże uczelni występował przeciw tradycji bożonarodzeniowej na uczelni, fałszywie oskarżał nieżyjących już duchownych o czyny przestępcze, wreszcie znieważał św. Jana Pawła II.

Kiedy wreszcie nienawistnikiem zajął się uczelniany rzecznik dyscypliny, w obronie hejtera stanęła „Gazeta Wyborcza", a ściślej rzecz biorąc – dziennikarz, który wcześniej publicznie zachwycał się zniszczeniem przez feministki fasad kilku kościelnych budynków w stolicy. Cóż, jakie środowisko, taka walka z „mową nienawiści".

I tylko, jak śpiewał Waits… Sami nie wiedzą, jak blisko im już do szaleństwa. ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

Nauczyciele dostaną więcej?

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” trwały rozmowy „ostatniej szansy” przedstawicieli związków zawodowych nauczycieli z rządem. Nauczyciele, grożąc strajkiem od 8 kwietnia (w czasie szkolnych egzaminów), domagają się podwyżek płac.
Do tej pory nie zadowalała ich propozycja podwyżki we wrześniu o 9 proc. zamiast o planowane 5 proc. ani ustalenie dodatku za wychowawstwo na poziomie 300 zł.

W ubiegły piątek wicepremier Beata Szydło zaproponowała zwiększenie nauczycielskiego pensum, czyli minimalnej liczby godzin pracy tygodniowo z 18 do nawet 24. To pozwoliłoby nauczycielom zarabiać więcej, a władzy rozłożyć procentowe podwyżki do 2023 r.

Rząd wyliczył, że przy zwiększeniu pensum nauczyciel dyplomowany (z najwyższą pensją w oświacie) zarabiałby w przyszłym roku 6335 zł brutto, a w kolejnych latach: 2021 – 7434 zł, 2022 – 7800 zł, 2023 – 8100 zł. Propozycja podwyższenia pensum będzie jednak kłopotliwa dla części nauczycieli, zwłaszcza tych z mniejszych miejscowości. Już dziś nauczającym niektórych przedmiotów trudno jest skompletować pensum w jednej szkole. Zwiększenie liczby godzin mogłoby skutkować tym, że dla pewnej grupy nauczycieli nie byłoby już pracy. ***(luz)*** ©℗

FOT. MAREK SZAWDYN/POLSKA PRESS/EAST NEWS

BANK ŚWIATOWY O POLSKIM PKB

Dynamika PKB Polski w 2019 r. wyniesie 4 proc. – prognozują eksperci Banku Światowego. W 2020 r. wzrost gospodarczy spowolni do 3,6 proc., a w 2021 r. do 3,3 proc. Spodziewane spowolnienie wzrostu w Polsce jest wynikiem osłabiającej się koniunktury na świecie oraz w strefie euro. Według ekspertów banku planowane zwiększenie wydatków państwa na realizację programów socjalnych może przyspieszyć rozwój gospodarczy, jednak kosztem wzrostu deficytu budżetowego. ***(jap)*** ©℗

PREZES PMPG OPUŚCIŁ ARESZT

Po wpłaceniu 500 tys. zł kaucji, 3 kwietnia Michał Lisiecki opuścił areszt, w którym przebywał od 15 marca. Tym samym sąd drugiej instancji utrzymał w mocy poprzednie postanowienie i odrzucił zażalenie prokuratury i obrony. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 690fe9c854

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wiwat, panie Cruciani!

Giuseppe Cruciani to znany ultrapostępowy dziennikarz i pisarz. Błyskotliwie, choć nie bez arogancji, czasem pospolitego chamstwa i wulgarności, prowadzi popularny program radiowy „Zanzara" („Komar"), w którym potrafi obrażać swoich gości.

Pamiętacie? „Nie zgadzam się z twoimi poglądami, ale po kres moich dni będę bronił twojego prawa do ich głoszenia". To cytat z katechizmu postępowca, przypisywany Wolterowi. Niestety, zawsze i wszędzie w końcu rewolucyjny zapał bierze górę, Wolter idzie w kąt i z progresisty wyłazi prawdziwa natura dzierżymordy, która każe mu myślącego inaczej unicestwić, niechby i najbardziej haniebnymi metodami. Najskuteczniejsza polega na wkładaniu w usta adwersarza słów i poglądów, których nigdy nie wypowiedział, by go potem za nie obsobaczyć.

W Weronie zakończył się trzydniowy Światowy Kongres Rodzin. Imprezie zorganizowanej przez przeciwników aborcji i promotorów tradycyjnej rodziny, towarzyszyła bezprecedensowa medialna i polityczna kampania nienawiści.

Zarzucono organizatorom chęć zniesienia praw obywatelskich (do rozwodu, aborcji etc.), zapędzenia kobiet do kuchni, kryminalizacji homoseksualizmu (z karą śmierci włącznie), homofobię, faszyzm, obskurantyzm i średniowieczną ciemnotę. Odbyły się masowe demonstracje.

Na ulicach i w studiach telewizyjnych szaty na sobie i twarze darli postępowcy i postępówki. Rzecz w tym, że ww. kwestie na kongresie nie stanęły, bo nigdy nie było ich w programie obrad. Ten, opublikowany kilka tygodni przed imprezą, przewidywał wystąpienia i dyskusje nad: pięknem małżeństwa, prawami dzieci, zdrowiem i godnością kobiety oraz prorodzinną polityką w przedsiębiorstwach.

Giuseppe Cruciani przybył na kongres i oświadczył: „Nie jestem jednym z was. Myślę inaczej. Pozwoliłbym gejom adoptować dzieci, a nawet nie razi mnie praktyka wynajmowania łona. Ale przybyłem, żeby w ten sposób zaprotestować przeciw kampanii polityczno-medialnej, która chce wam zamknąć usta". Wiwat Cruciani! ©℗

Imprezie zorganizowanej przez przeciwników aborcji towarzyszyła bezprecedensowa medialna i polityczna kampania nienawiści

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Odklejeni

Są takie momenty, w których bańki służące za miejsca zamieszkania twitterowych autorytetów, unoszą się tak wysoko, że widać z nich krzywiznę Ziemi. Zebrałem dla państwa kilka podobnych przypadków. Zaczynamy. „60 proc. Polaków nie uprawia żadnej aktywności fizycznej, 63 proc. Polaków nie przeczytało żadnej książki. Da się tak żyć? Co Wy robicie z czasem, który macie?" – zapytał Marek Kacprzak.

Niezręczna cisza wisiałaby jeszcze długo w powietrzu, na szczęście z odpowiedzią pospieszyła inna dziennikarka. „Wstajemy o szóstej, aby wyprawić dzieci do szkoły. Potem idziemy do pracy. Potem stoimy w korku, więc słuchamy radia albo audiobooków, potem pracujemy, a potem przez półtorej godziny wracamy do domu. Potem ok. 20 rozmawiamy o tym, co było w szkole. Potem gotujemy obiad na jutro" – napisała Agnieszka Burzyńska.

Dla rozczarowanych racjonalnym podejściem do tematu mam alternatywną wersję. „Rekordowa po wojnie liczba zgonów w Polsce. Często słyszę, jeżdżąc po kraju – »nie mogę już patrzeć na to, co oni robią z Polską«. U bardzo wielu to najwyraźniej zdecydowanie więcej niż tylko słowa" – stwierdził Tomasz Lis. Może więc zamiast czytać, Polacy po prostu umierają na złość Kaczyńskiemu?

A jeśli już nie są tak złośliwi, to mogą w wolnej chwili odmawiać udziałów w programach. „Mnie kiedyś zaproszono do programu z Małgorzatą Terlikowską, do dyskusji, a ja odmówiłam. Redaktorowi, który mnie zapraszał, powiedziałam: Ja jestem publicystką z 20-letnim stażem. Jaki tytuł do rozmowy ze mną ma Małgorzata Terlikowska? Bo urodziła piątkę dzieci? Sorry" – pochwaliła się na przykład Eliza Michalik.

„Niewiarygodne. Michalik naprawdę to powiedziała" – komentował nasz portal DoRzeczy.pl. „Jasne, że powiedziałam. Ponieważ tak właśnie myślę. Myślę, że żeby brać pełnoprawny udział w debacie publicznej, trzeba mieć dorobek intelektualny i merytoryczny. Rodzenie dzieci i bycie czyjąś żoną to żadna kwalifikacja. Zdziwieni?" – rzuciła prowokacyjnie redaktor. Zdziwieni. Szczególnie że oprócz urodzenia pięciorga dzieci Terlikowska obroniła doktorat oraz napisała kilka książek. Bez plagiatowania. Może to był dla pani Michalik problem? ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

Więcej czasu na brexit?

FOT. LUDOVIC MARIN/AFP/EAST NEWS

Premier brytyjskiego rządu Theresa May w liście do szefa Rady Europejskiej Donalda Tuska poprosiła o przesunięcie brexitu na ostatni dzień czerwca.

Szefowa rządu w Londynie liczy jednak na to, że sprawę brexitu uda się domknąć przed wyborami do europarlamentu, które w Wielkiej Brytanii odbędą się 23 maja. Według nieoficjalnych informacji BBC Donald Tusk chce zaproponować Wielkiej Brytanii „elastyczne" przesunięcie brexitu o 12 miesięcy z możliwością skrócenia tego terminu, jeśli brytyjski parlament wreszcie zaakceptuje warunki wyjścia z UE. Musieliby się na to jednak jednogłośnie zgodzić wszyscy unijni liderzy. Tymczasem prezydent Francji Emmanuel Macron ogłosił jednak, że jest „zbyt wcześnie", aby rozważać kolejne przesunięcie.

Na razie Londyn ma więc czas do 12 kwietnia, aby zdecydować się albo na opuszczenie Unii Europejskiej bez żadnej umowy, albo na wielomiesięczne przedłużenie członkostwa w UE i znalezienie nowego sposobu na wyjście z impasu politycznego. ***(jap)*** © ℗

NEKROLOG

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 21 marca 2019 roku zmarł w Newark w USA

ŚP.

płk Janusz Krzyżanowski

urodzony 13 lipca 1921 roku w Buczaczu.
W maju 1940 roku aresztowany przez NKWD,
następnie więziony w Starobielsku i łagrach Workuty.
Zwolniony na mocy traktatu Sikorski-Majski,
wstąpił do formowanej w ZSRR
8. Dywizji Piechoty Polskich Sił Zbrojnych.
Od kwietnia 1942 roku służył na Bliskim Wschodzie,
następnie odbywał służbę w Wielkiej Brytanii
w Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej
oraz Oddziale Specjalnym Sekcji Dyspozycyjnej
Sztabu Naczelnego Wodza.
Po wojnie pozostał na emigracji.
Współorganizator i wieloletni Prezes Zarządu Głównego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w USA.
Działacz Kongresu Polonii Amerykańskiej.
Od 1978 roku czynny w Radzie Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą
Orderu Odrodzenia Polski
oraz innymi odznaczeniami.
Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. PAWEŁ GROMADA

EUROPEJKĄ BYĆ

Piosenkarka Margaret wyznała ostatnio, że woli śpiewać po angielsku niż po polsku. Powód? Czuje się bardziej Europejką niż Polką. Naprawdę tak powiedziała. – Ciężej jest chyba napisać dobrą piosenkę po polsku z dobrym tekstem, który nie jest o „dupie Maryni", tylko jest o czymś. Myślę, że to jest trudniejsze, natomiast ja trochę tupię nogą i się złoszczę na to, bo ja czuję się Polką, ale czuję się też Europejką. W sensie bardziej Europejką niż Polką i się złoszczę, kiedy my, Polacy, jesteśmy tacy zawzięci i nie chcemy się uczyć tego angielskiego – stwierdziła w jednym z wywiadów. Naszym zdaniem nie ma znaczenia, czy Margaret mówi po polsku, czy po angielsku. W obu językach nie da się tego słuchać.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

JABŁKO KONTRA JABŁOŃ

Edzia Górniak w rozmowie z Magdą Mołek opowiedziała o tym, jak zmienił się jej syn, Allan, po tym, jak zaczął naukę w szkole wojskowej. Mówi, że bardzo wydoroślał, ale też się zmienił. – Ta szkoła przekonwertowała jego wartości. Parę razy naprawdę mnie zaskoczył – wyznała piosenkarka. – Mój syn jest teraz w szkole wojskowej. Miał cztery dni wolnego, to lecimy do Londynu. Zabieram go na zakupy. Nic mu nie kupiłam prawie. Wybrał sobie tylko jeden łańcuszek z krzyżykiem. Nic nie chciał ode mnie – opowiedziała.

To nie koniec. Okazało się, że Allan bardzo chce być niezależny. Do tego stopnia, że gdy kiedyś zabrakło mu pieniędzy, zdecydował się sam dorobić, bo nie chciał prosić mamy o pomoc. – Nie jadł obiadu przez tydzień, bo pożyczył i wydał wszystkie pieniądze. Zarobił 60 zł, beatboxując na ulicy – powiedziała Edzia. My też jesteśmy zaskoczeni, nie mniej niż Edzia. Jak widać, nie zawsze jabłko pada niedaleko od jabłoni. Na szczęście.

JAK KAZ ISABEL NIE DOCENIŁ

Wiadomo już, że Kaz Marcinkiewicz nie będzie kandydował z list Koalicji Europejskiej do europarlamentu. Wszystko jak zwykle przez Isabel. Podobno Kaz naopowiadał Grzegorzowi Schetynie, że dogadał się już z byłą żoną w sprawie zaległych alimentów i ta sprawa nie będzie nikomu szkodzić w kampanii. – Kazik przekonywał nas, że ma już wyczyszczone prywatne problemy – powiedział „Faktowi" jeden z polityków Koalicji.

Schetyna początkowo nawet w to uwierzył i zaprosił Kaza na początku lutego do podpisania wraz z innymi byłymi premierami wspólnej deklaracji o utworzeniu Koalicji Europejskiej. Gdy okazało się, że Kaz wszystkich oszukał, bo nadal ma potężny dług u Isabel, Schetyna się wściekł. O kandydowaniu Marcinkiewicza nie było już mowy. Schetyna miał nawet ponoć zabronić kolegom z Koalicji odbierania telefonów od zrozpaczonego Kaza! W sumie to dość zabawne, że Kaz liczył na to, że jego konflikt z Isabel nie wyda się przed wyborami. Naprawdę liczył, że Isabel mu ot tak sobie odpuści? Niby polityk, a naiwny jak dziecko!

DOBRO WRACA

Justyna Żyła w końcu odpadła z „Tańca z gwiazdami". W końcu, bo – jak wiadomo – powinna odpaść po pierwszym odcinku, ale z jakiegoś powodu widzowie uznali inaczej. Jej taneczny partner już po zakończeniu odcinka szczerze wyznał, że nauka Justyny nie była rzeczą łatwą. – Nasz debiut był najgorszym występem w historii „Tańca z gwiazdami", niestety muszę to powiedzieć z pełną odpowiedzialnością. Praca z Justyną to dla mnie nauka cierpliwości – przyznał Tomasz Barański. – Jest na pewno bardzo empatyczna, czasem może trochę naiwna. Ale z pewnością bije od niej dobro – zapewnił. Wierzymy! Dlatego apelujemy do Justyny, aby więcej nie tańczyła. I ograniczyła choć trochę swoją medialną aktywność. Pomyślcie tylko, ile dobra z tego będzie! ©℗

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 690fe9c854

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z satysfakcją informujemy, iż miasto Chicago w Ameryce ma nowego osoboburmistrza. Została tą osobą waginopozytywna i uposażona pigmentalnie lesbijka, która mówi z dumą o swoim pochodzeniu etnicznym i preferencjach.

Tak właśnie, kochani, działa demokracja. Strach pomyśleć, co by było, gdyby burmistrzem został biały, heteroseksualny mężczyzna, który na dzień dobry ogłosiłby, że jest z tego dumny. Straszna opresja, rasizm i heterocentrycyzm.

Nowy osoboburmistrz Chicago to uposażona pigmentalnie lesbijka

Co prawda nasze miasta nie są jeszcze na taki postęp gotowe, ale widzimy potencjał w Warszawie i Rafale Trzaskowskim. Po doniesieniach z Chicago będziemy się jego kadencji przyglądać z o wiele większym zainteresowaniem i życzliwością.

Wpadło nam w oko badanie, według którego połowa młodych mieszkańców tego kraju, w wieku od 25 do 34 lat, nie posiada w ogóle dzieci. Druga połowa za to mieszka z pewnością na Podkarpaciu.

Otósh jest to bardzo pozytywna wiadomość, i to z kilku powodów. Po pierwsze: jak widać, młodzi i wykształceni ludzie, przeważnie z dużych ośrodków miejskich, nie czują pędu do pobierania „500+". Po drugie: zdecydowanie najpierw czas na rozkręcenie poważnej kariery w korpo i awans z junior accounta na accounta i uzyskanie dostępu do firmowego ekspresu na kawę oraz wpisanie nowych umiejętności na LinkedIn.

A po trzecie wreszcie: posiadanie dzieci wiąże się z odpowiedzialnością, a jak wiadomo, zobowiązania są niemodne i zakładają teoretycznie, iż nie można zmienić zdania. Nic więcej dziwnego, że współczesna świadoma młodzież chce mieć świecki spokój i nie chce uczestniczyć w pokoleniowym maratonie wychowywania, który jest z założenia patriarchalny i opresywny.

Słyszeliście pewnie o księdzu, który spalił książki o Harrym Potterze? To mimo wszystko bardzo symptomatyczne wydarzenie w kraju, w którym aż tyle osób w ciągu roku nie przeczytało żadnej książki :(Boimy się bardzo, iż teraz Kościół przyjdzie po nasz księgozbiór, a mamy bardzo nieprawomyślne pozycje: od archiwalnych wydań „Wyborczej" i „Newsweeka" do książek Žižka, Derridy i Jasia Kapeli, których co prawda nigdy nie przeczytaliśmy, ale dobrze wyglądają na półkach i zawsze przyciągają uwagę odwiedzających nas frendów – oni też nie czytali, ale zachowują się, jakby czytali i zrozumieli. My o tym wiemy, oni wiedzą, że my wiemy, więc sytuacja jest uczciwa (of kors gdyby była nieuczciwa, też byłoby OK, nie jesteśmy od tego, iżby oceniać).

W każdym razie się boimy. Także tego, iż po mieście zaczną biegać oszalałe komanda złożone z księdza, ministranta i działacza partyjnego, którzy zaczną na wyrywki kontrolować, co kto czyta. A jak ktokolwiek coś czyta – znaczy inteligent, więc do internowania. Znów trzeba spakować szczoteczkę do zębów do plecaka :(

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 69bfe9c854

WIELKA POWÓDŹ W IRANIE

Co najmniej 62 osoby zginęły, a wiele tysięcy straciło dach nad głową w wyniku ogromnych powodzi, z którymi od dwóch tygodni walczy Iran. Niszczycielski żywioł uderzył w wiele regionów kraju: najpierw w północny wschód, a następnie w południowy zachód.

Władze w Teheranie krytykowane są za nieudolną reakcję na kataklizm. Kryzys doprowadził również do wzrostu napięć między umiarkowanym prezydentem Hassanem Rouhanim a jego twardogłowymi oponentami z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Irański rząd próbuje tymczasem przekonywać, że odnowione za prezydentury Donalda Trumpa sankcje blokują przekazywanie pomocy Irańczykom. ***(jap)*** © ℗

eprasa.pl 6001596

Są w rządzie i inne rozważania. Na przykład: co mogłaby robić minister Teresa Czerwińska, gdy już nie będzie musiała się martwić finansowaniem nowej piątki PiS

dwaj panowie g

Wyjaśniamy. Plan na rekonstrukcję jest taki: ogłoszenie, kto i kogo zastąpi w pierwszej połowie ostatniego tygodnia przed Wielkanocą. Potem świąteczny reset i po lanym poniedziałku nikt już nie pamięta, że było z tym zamieszanie. Kolejny reset przychodzi tydzień później, w ramach długiego weekendu spędzonego przez Polaków na grillowaniu karkówki, gdyż będzie to wielka majówka. Po majówce zostaną trzy tygodnie na kampanię do europarlamentu. Proste? Proste.

Pięć minut. Niby nic, ale tyle mniej więcej wylewnie dziękowali związkowcy z oświaty stronie rządowej na początku ubiegłotygodniowej rundy negocjacji. Za co? Za to, że zamiast Anki Zalewskiej do rozmów siadła Bełata Szydło. Specyficzny styl i ton Myszki Profesorki średnio się bowiem sprawdzają w rokowaniach. Czyli zmiana. A nawet dobra zmiana.

Skąd wiadomo, że to prawda? Otóż zwykle informacje wychwalające premier Bełatę kolportowane są przez ziobrystów, którzy przy okazji dają też sygnały, że premier Mateusz to fajny chłopak, ale w kapeluszu numer za dużym. Tym razem heroldami związkowych pochwał pod adresem Bełaty są jednak i ziobryści, i morawianie.

Pomysł, by Ankę Zalewską ukarać nie tylko dymisją, lecz także zdjęciem z listy do europarlamentu znalazł rzesze przeciwników w PiS. Nie, nie w całym. Tylko w dolnośląskim, gdzie partyjna konkurencja ułożyła już scenariusz serialu pt. „A potem żyli długo i szczęśliwie bez Anki". Podłość ludzka nie zna granic.

Wiewiórki mówią, że na przykład w resorcie edukacji ponoć największe szanse ma Maciej Kopeć". Cytujemy naszą notkę sprzed miesiąca o tym, kto ma być nowym ministrem edukacji. Tak nam się przypomniało, bo parę dni temu Wirtualna Polska „ustaliła", że największe szanse ma Kopeć. Jak mówi stare polskie przysłowie: „Ustalone nie tuczy".

Niestety, gdybyśmy chcieli być skrupulatni, to takie doniesienia o naszych ustaleniach, które dziwnym trafem stały się cudzymi ustaleniami, wypełniłyby całą rubrykę. Szczególnie ciepło pozdrawiamy redakcję „Faktu", która trzy dni po naszej publikacji odkryła, że Gasiuk-Pihowicz się rozwodzi. I tak dalej, i tym podobne.

Rekonstrukcja rekonstrukcją, ale idzie inna zmiana: czas nowych komisarzy unijnych. Zaczęły się więc przymiarki, kto zastąpi Bieńkowską. Najbardziej chce Jerzy Kwieciński, nogę do podkucia podstawia Rychu Czarnecki, a najczęściej wymienia się Konrada Szymańskiego i Jacka Saryusz-Wolskiego. Szymański chyba jednak komisarzem nie zostanie, bo słyszeliśmy, że ma zastąpić Czapę-Czaputowicza na fotelu szefa MSZ.

Są w rządzie i inne rozważania. Na przykład: co mogłaby robić minister Teresa Czerwińska, gdy już nie będzie musiała się martwić finansowaniem nowej piątki PiS. Zapytaliśmy ważnego PiS-owca. „Zawsze zostaje owocna kariera akademicka" – odparł.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W gronie potencjalnych następców Teresy był nie tylko osobiście premier Mateusz, sławny syn słynnego ojca, i nie tylko Leszek Skiba, ulubiony przez Mateusza wicek od finansów. Pojawiła się także kandydatura Mariana Banasia, co wywołało głęboką konsternację w kołach rządowych. Najwięcej zwolenników ma jednak Skiba.

Jeszcze o MSZ. Andrzej Papierz, dyrektor generalny w resorcie, chodzi dumny jak paw. Nic dziwnego. Udało mu się wytępić ubeckie pomioty w dyplomacji, czyli dokonać czegoś, co nie było możliwe przez ostatnie ćwierć wieku. W ubiegłym tygodniu dzięki przygotowanej przez niego ustawie

eprasa.pl 690fe9c854

ustał stosunek pracy wszelkich oficerów bezpieki i kapusiów. Musimy jednak do tej beczki miodu dodać łyżkę dziegciu. IPN nie powiedział jeszcze ostatniego słowa w sprawie lustracji dyplomatów.

Ze wzruszeniem przyjęliśmy obszerny wywiad z naczelnym kukistą Pawłem Kukizem na łamach tygodnika rybackiego braci mniejszych. Oraz rozważania, jak poważnym może być koalicjantem PiS. Wszak dotychczas uznawany był za szkodnika. Są jednak mądrość redakcji, i mądrość etapu. Mądrość etapu jest, oczywiście, ważniejsza. Na wszelki wypadek przypominamy, że publikowaliśmy w naszym tygodniku rozliczne wywiady z Kukizem, jeszcze kiedy był szkodnikiem. Co więcej, robiliśmy to z niekłamaną przyjemnością. Przyjemnością trendsetterów.

Wzruszeń ciąg dalszy. Poruszył nas do głębi poseł Cezary Tomczyk z PeŁo wymachujący w tefauenach ulotką z 1989 r., na której Lech Wałęsa „Bolek" rekomenduje wybór kandydata Jarosława Aleksandra Kaczyńskiego. Też interesujemy się historią, więc mamy dla Tomczyka prezent.

Oto i prezent: kopia reklamówki wyborczej PiS z kampanii prezydenckiej 2005 r. „Lech był jednym z filarów podziemia w Gdańsku. O jego roli może świadczyć wściekłość SB". Tak rekomendował Lecha Kaczyńskiego, kandydata PiS na prezydenta, Bogdan Borusewicz – dziś wiceprzewodniczący PeŁo. Uważamy, że czas, by PeŁo posłuchała jednego ze swych liderów i uhonorowała Lecha Kaczyńskiego jakąś aleją w Warszawie.

Z kultury. W ubiegłym tygodniu gruchnęła wieść, że żona jednego z panów G. została szefową Instytutu Teatralnego. Jeden z portali zrobił nawet aferę, że pod nowe miejsce pracy podjechała limuzyną. Uspokajamy naszych czytelników. To nie była limuzyna żadnego z panów G. Żaden z nich bowiem nie ma limuzyny. Co gorsza, jeden z nich nie ma nawet prawa jazdy. Podobnie zresztą jak nowa dyrektor instytutu. Mąż dyrektor ma. Inna sprawa, że brak prawa jazdy wśród konserwatystów to dość powszechna przypadłość. Nie mają go m.in. Ziemkiewicz i Semka. Mają za to ich małżonki. Patriarchalna, seksistowska opresja nie zna granic.

Tymczasem u kukistów. Zabawna rzecz, zdenerwowani byli tylko na początku. Czym? Konkurencją opowiadającą, że zbieranie podpisów idzie jak po grudzie. Potem nerwy minęły, bo im więcej było w mediach info o kłopotach z podpisami, tym częściej zgłaszali się nieoczekiwani ochotnicy i sympatycy, żeby te podpisy zbierać.

Inna sprawa, że brak prawa jazdy wśród konserwatystów to dość powszechna przypadłość

Kukiści zrobili też kilka wewnętrznych sondaży. Nie ogólnokrajowych, ale w kilku okręgach. Wyszło im, że kukiści są zwykle nad kreską, a Wiosna – pod kreską. Biedroniowcy z Wiosny uważają inaczej, ale mają nieco inną podstawę swych twierdzeń. Nie sondaże, lecz silne wewnętrzne przekonanie Robika Biedronia. Przypomnijmy, że ostatnim spektakularnym sukcesem silnych wewnętrznych przekonań był wynik Lecha Wałęsy „Bolka", który był przekonany, że lud wciąż go kocha. W wyborach prezydenckich 2000 dostał 1 proc.

Oczywiście Wiosna dostanie więcej niż 1 proc. Wynika to z prostej kalkulacji. Przy całej swojej hm… niewątpliwej, hm… mądrości Robik jest i tak trzy razy mądrzejszy i cztery razy bardziej sympatyczny od Lecha Wałęsy „Bolka". I taki też pewnie uzyska wynik.

Przegląd aferalny. Słyszeliście, by CBA lub jakaś inna służba zatrzymały kiedyś generała w III RP? No dobra. Formalnie Jacek Kapica był generałem Służby Celnej. My pytamy o takiego prawdziwego generała z wojska. Otóż jeszcze maluczko i to się zmieni. Przypomnijmy, że od czasu skazania jakiegokolwiek generała za korupcję minęło trochę czasu. Ostatnim był Michał Rola-Żymierski w 1927 r. Zerwano mu wówczas pagony i zdarto lampasy.

Z Sejmu. Podczas dyskusji o nowej ustawie antykorupcyjnej, którą przynieśli kukiści, z ust posłów padło wiele pochwał i jedna wątpliwość. Wątpliwość brzmiała tak: to dobrze, że udział w korupcji będzie eliminował dożywotnio polityka z kariery. Czy jednak musi być to od razu kara za pierwszy przypadek? Może dopiero recydywa? Wątpliwości te podnosili posłowie PeŁo. Ciekawe dlaczego. ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

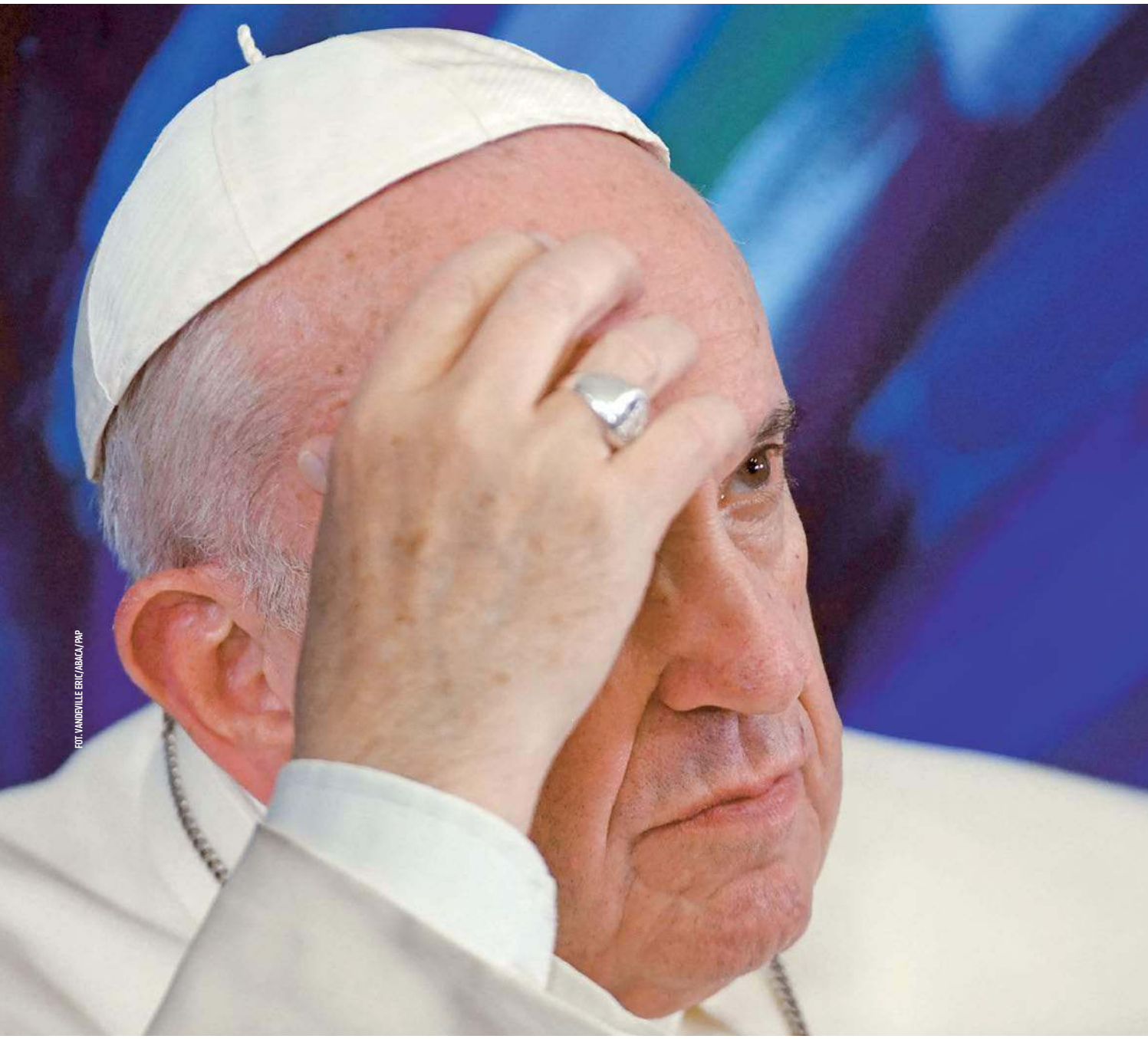

FOT. VANDEVILLE ERIC/ABACA/PAP

Przykładem tego, do czego prowadzi sprzeciw wobec zmian, może być sprawa abp. Vigano, od ponad pół roku ukrywającego się w obawie przed zemstą… homoseksualnego lobby, które wedle jego relacji ma mieć ogromny wpływ na politykę Watykanu. W Polsce właśnie ukazała się książka – wydana, a jakże, przez jezuitów – pt. „Dzień sądu", autorstwa Gianniego Valentego i Andrei Torniellego. Autorzy opisują kulisy watykańskich gier o władzę, sugerując, że abp Vigano zmanipulował niemal wszystkie informacje w swoich szokujących listach. Po co? Rzecz jasna – by skłonić papieża do ustąpienia, co miałoby wynieść do władzy w Kościele frakcję bliższą arcybiskupowi, a do której daleko autorom wspomnianej książki.

W Polsce „Dzień sądu" promuje m.in. „Tygodnik Powszechny", bezgranicznie ufając autorom i przyjmując za pewnik, że abp Vigano w swoich świadectwach nie opisał stanu faktycznego. A przypomnijmy, że pisał o homoseksualnej mafii w Kościele, która wynosi do najwyższych urzędów swoich nominatów, o czym papież Franciszek nie tylko miał wiedzieć, ale nawet – jak w przypadku byłego już kard. Theodore'a McCarricka – osobiście decydować o nieformalnym awansowaniu (gdy ten „homoseksualny drapieżnik" przebywał już na emeryturze). W swoich kilku listach (opublikowanych właśnie w formie książkowej przez wydawnictwo Polonia Christiana) abp Vigano, były nuncjusz apostolski w USA, wprost nazwał konkretnych współpracowników papieża przedstawicielami homolobby. Pod przedstawionym

eprasa.pl 690fe9c854

Krystian Kratiuk

Rewolucja w Watykanie trwa. Reakcje biskupów na próbę zmiany Kościoła są różnorakie, ale entuzjaści i milczący stanowią ogromną większość. Nic dziwnego, bo za sprzeciw wobec reform Franciszka można słono zapłacić

Dzień sądu dla konserwatystów

przez niego opisem sytuacji i prośbą o pilne wyjaśnienie sprawy podpisało się kilkudziesięciu amerykańskich biskupów.

W tym czasie w Watykanie przeprowadzono czystkę wśród osób odpowiedzialnych za komunikację ze światem. Stanowiska straciły najważniejsze osoby w Biurze Prasowym Stolicy Apostolskiej z rzecznikiem Gregiem Burkiem na czele, za to pracę zaproponowano wspomnianemu już Torniellemu, który za ten zaszczyt odpłacił szybką publikacją książki mającej wybić zęby świadectwom abp. Vigano – listom, które z pewnością przejdą do historii Kościoła.

Jednym z zarzutów podnoszonych przez autorów „Dnia sądu" jest wybór terminu, w którym opublikowano pierwsze świadectwo hierarchy – a stało się to w przeddzień powrotu papieża z wizyty w Irlandii. Wiadomo było bowiem, że Franciszek na pokładzie samolotu będzie odpowiadał na pytania dziennikarzy i ktoś na pewno o taką „bombę" zapyta. Tornielli i Valente twierdzą, że wybór takiego terminu miał skompromitować papieża, co miałoby stanowić element „wojny hybrydowej" w Kościele. Autorom najpewniej nie przyszło więc do głowy lub woleli o tym nie napisać, że abp Vigano, jedynie postępując w taki oto sposób, mógł liczyć na jakąkolwiek odpowiedź papieża. Dlaczego? Otóż Ojciec Święty znany jest z tego, że znajduje czas na rozmowę z licznymi przedstawicielami innych religii czy różnej proweniencji subkultur, ale nie ma w zwyczaju odpowiadać na pytania zadawane przez ortodoksyjnych katolików. Tak było przecież, gdy 800 tys. osób podpisało „synowską prośbę" do

eprasa.pl 690fe9c854

Franciszka, apelując o niezmienianie doktryny na temat nierozerwalności małżeństwa. Tak było również, gdy kilkudziesięciu uczonych opublikowało „synowskie upomnienie" w tej samej sprawie oraz gdy czterech kardynałów wystosowało słynne „dubia", a także w przypadku wielu innych kwestii, którymi poczuli się zaniepokojeni wierni przywiązani do tradycyjnego nauczania.

Jakby tego było mało, na abp. Vigano poszukiwano również „haków". Tornielli szeroko rozpisywał się nawet o prywatnym procesie sądowym hierarchy ze swoim bratem – tak jakby sprawy dotyczące podziału rodzinnego majątku miały cokolwiek wspólnego ze wstrząsającymi informacjami zawartymi w listach nuncjusza. Biskupa, który dodatkowo, wyznając swą wiedzę dotyczącą działalności kościelnego homolobby, powoływał się na samego Boga, wzywając go na świadka swej prawdomówności! I do dziś ukrywa się w obawie przed zemstą grupy, której istnienie – według liberalnych publicystów – najwyraźniej sam miał sobie wymyślić.

Na autorach „Dnia sądu" tego typu akty nie robią jednak chyba szczególnego wrażenia. Znacznie bliższe są im niepoparte dowodami plotki na temat rzekomego tuszowania skandali seksualnych przez Jana Pawła II, które suponują w swej publikacji. Na domiar złego wydaje się, że książkę przeczytał też sam papież Franciszek, gdyż podczas kolejnej podróży opowiedział dziennikarzom „anegdotkę", z której niedwuznacznie wynikało, iż papież Polak miał brać udział w tym – zwalczanym dziś rzekomo niezwykle dziarsko przez Watykan – haniebnym procederze. A przecież to sam Franciszek kanonizował Karola Wojtyłę…

Wszystko wskazuje więc na to, że Stolica Apostolska rozgrywa kryzys wizerunkowy następującą metodą: skoro atakują „naszego" papieża, my zaatakujmy „ich" papieża, autorytet, na którego nauczanie tak często się powołują.

MAFIA PRZECIW BENEDYKTOWI XVI

Chwilowo nie wypada natomiast w żaden sposób atakować Benedykta XVI, który pełni teraz spokojną funkcję papieża emeryta. Aby jednak lepiej zreferować toczący się w Kościele spór, którego „sprawa Vigano" jest jedynie jedną ze spektakularnych odsłon, warto przypomnieć istnienie potężnej opozycji wobec papieża z Niemiec. Jednym z jej liderów był zmarły przed dwoma tygodniami kard. Godfried Danneels. Ten były prymas Belgii kilka lat temu przyznał, że należał do nieformalnej grupy kardynałów spiskujących przeciwko polityce Josepha Ratzingera najpierw jako prefekta Kongregacji Nauki Wiary, potem jako papieża. Grupę tę kardynał Danneels „żartobliwie" określił mianem klubu mafijnego z Sankt Gallen – od nazwy miejsca, w którym duchowni spotkali się po raz pierwszy.

Belgijski hierarcha był serdecznym przyjacielem, a przede wszystkim uczniem, kard. Carlo Marii Martiniego, wielkiego rewolucjonisty domagającego się zmiany nauki Kościoła w kwestii rozwodów, homoseksualistów i celibatu. W swojej książce „Credere e Conoscere" („Wiara i Wiedza") włoski duchowny pisał: „To nie jest złe, gdy dwie osoby, zamiast tworzyć przypadkowy związek homoseksualny, mają zapewnioną pewną stabilność. W tym sensie państwo mogłoby im sprzyjać […]. Nie podzielam stanowiska osób w Kościele, które sprzeciwiają się związkom partnerskim". Jako abp Mediolanu napisał także, że nie ma nic złego w paradach homoseksualnych (jak się wyraził, w „demonstracjach gejowskiej dumy"), ze względu na potrzebę pokazania przez homoseksualistów wszystkim innym osobom, że istnieją. Hierarcha ocenił, że takie parady są dopuszczalne, nawet jeśli istnieje ryzyko, że będą zbyt prowokacyjne.

Duchowny ten zmarł pół roku przed rozpoczęciem pontyfikatu Franciszka, ale papież z Argentyny w rocznicę śmierci Martiniego określił go mianem…

Arcybiskup Carlo Maria Viganò publicznie powiedział o homolobby w Kościele. Teraz musi się ukrywać FOT. GREGORY A. SHEMITZ/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 690fe9c854

ojca Kościoła! A kard. Danneels, z którego wyznań wynika, iż wraz z kolegami z „mafijnego klubu" prowadził uprzedzającą konklawe, a więc niedopuszczalną z punktu widzenia prawa kanonicznego kampanię na rzecz wyboru kard. Bergoglio na papieża już w 2005 r., został przez Franciszka zaproszony do loggii bazyliki Świętego Piotra w dniu jego wyboru. Dość powiedzieć, że belgijski kardynał osobiście przyznał, iż cele grupy z Sankt Gallen właśnie wówczas, 13 marca 2013 r., zostały ostatecznie zrealizowane. A mogły zostać zrealizowane, gdyż spotkania kardynałów członków „klubu mafijnego" mające na celu przekonanie uczestników przyszłego konklawe do wyboru progresywnego papieża, rozpoczęły się w Rzymie tuż po odlocie helikoptera z Benedyktem XVI na pokładzie do Castel Gandolfo. A więc na ponad tydzień przed konklawe. Determinacja uczestników tych spotkań musiała być naprawdę duża, skoro zignorowali zakaz odbywania takich spotkań i narad wydany przez papieża Jana Pawła II. W jego konstytucji apostolskiej „Universi Dominici Gregis" czytamy bowiem (w punkcie 79 i 82): „Potwierdzając również przepisy Poprzedników, zabraniam komukolwiek, chociażby odznaczonemu godnością kardynalatu, pertraktować za życia Papieża i bez konsultacji z nim w sprawie wyboru jego Następcy lub obiecywać głosy czy podejmować decyzje w tym względzie w grupach prywatnych [...]. Jednocześnie zabraniam Kardynałom czynić ustępstwa przed wyborami czy też podejmować zadania za wspólną zgodą, zobowiązując się do wypełnienia ich w przypadku, gdyby któryś z nich został wyniesiony do godności papieskiej. Te obietnice, jeśli rzeczywiście byłyby uczynione, nawet pod przysięgą, uznaję za niebyłe i nieważne".

Jednak o ekscesach, których się dopuścili (jak wyznał zmarły kard. Danneells) kardynałowie dziś rządzący Watykanem, autorzy książki „Dzień sądu", z jakiegoś powodu nie wspominają. A i promujący książkę autor „Tygodnika Powszechnego" Edward Augustyn najwyraźniej zapomniał o tych faktach, mimo że opisując opór nielicznych konserwatystów przeciwko rewolucji Franciszka, przypomina, iż „próby wywierania presji na kardynałów, a czasem wręcz przestępczego wpływania na wybór papieża, są historii znane".

Za buntownika w Watykanie uchodzi obecnie nawet kard. Gerhard Ludwik Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary

CREDO? TY BUNTOWNIKU!

Za buntownika w Watykanie uchodzi jednak obecnie nawet kard. Gerhard Ludwik Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary. Hierarcha ten zaczął z mocą przypominać tradycyjne nauczanie Kościoła dopiero po tym, jak decyzją papieża stracił stanowisko. Wcześniej zajmował pozycje, które – korzystając z języka politycznego – można by nazwać centrystycznymi. Chociaż często szedł na kompromis, to jednak nie spełniał standardów oczekiwanych przez Ojca Świętego. Po stracie wpływów rzeczywiście głośniej wyraża konserwatywne stanowisko, co ostatnio udowodnił publikacją „Manifestu wiary".

Kardynał Müller przypomniał w niej wszystkie katechizmowe prawdy w sprawach, które co najmniej od kilku lat budzą kontrowersje. Powtórzył przy tym podstawy Credo, wyznając, że istnieje tylko jeden Kościół, założony przez objawionego w Chrystusie Trójjedynego Boga, że w Kościele tym istnieje porządek sakramentalny i prawo moralne, które mają prowadzić wiernych do osiągnięcia szczęśliwego życia wiecznego.

Niemiecki duchowny został za to... surowo skarcony przez biskupów sympatyzujących z agendą zmian Franciszka. Jako pierwszy do ataku przystąpił kard. Walter Kasper, następca kard. Martiniego w roli lidera progresywnego skrzydła Kościoła. Atak był wyjątkowo absurdalny, gdyż Kasper nazwał Müllera nowym Lutrem, co w ustach wielkiego promotora protestantyzacji katolików brzmiało groteskowo.

Kardynała Müllera zaatakowali też inni biskupi, sugerując, że swój manifest publikuje z zemsty. Te same zarzuty członkowie Rady Kardynałów (organu doradczego papieża) stawiali niegdyś kard. Raymondowi Burke z USA, gdy wbrew postępowym biskupom przypominał (m.in. we wspomnianych wcześniej dubiach), że związek małżeński jest święty i nierozerwalny. Usłyszał wówczas m.in. od kard. Oscara Maradiagi, że „jest rozczarowanym i niespełnionym człowiekiem, pragnącym jedynie powrotu do władzy".

Jak widać zarzuty stawiane kościelnym konserwatystom są stricte politycznej natury – mają oni zabierać głos, stając w opozycji do niektórych reform Franciszka wyłącznie z powodu chęci zdobycia władzy. Ani żaden z polemizujących z nimi kardynałów z frakcji liberalnej, ani żaden dziennikarz o podobnych zapatrywaniach nie przyjmuje nawet do wiadomości, że biskupi występujący w obronie nauki Kościoła mogą czynić to z pobudek religijnych. I że serio traktują składane każdego dnia wyznanie wiary.

Tymczasem strzeżona przez progresistów agenda obecnego pontyfikatu wciąż się rozwija. Trwa proces decentralizacji Kościoła i jego wejścia na „drogę synodalności", projekt reformy kurii rzymskiej oddający władzę doktrynalną episkopatom krajowym czeka już jedynie na podpis papieża, niemieccy biskupi ogłaszają, że będą błogosławić homozwiązki i „zalegalizują" antykoncepcję, a biskupi z Ameryki Południowej szykują synod amazoński, na którym planują „rozluźnić dyscyplinę w kwestii celibatu" oraz oddać Kościół procesowi inkulturacji zgodnie z mądrością indiańskich ludów dorzecza największej rzeki świata.

Rewolucja trwa i ma trwać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl. W kwietniu wydał książkę pt. „Zmienić Kościół".

eprasa.pl 690fe9c854

Tomasz P. Terlikowski

Nie wychylać się, udawać, że nic się nie dzieje, przeczekać. Tak najkrócej można podsumować strategię, jaką przyjął obecnie Kościół w Polsce wobec papieża Franciszka. W efekcie jednak bardzo mocnemu osłabieniu ulega – i to nie tylko w naszym kraju, lecz także na całym świecie – opcja ortodoksyjna

Ignorowanie Franciszka

Nie ma wątpliwości, że cokolwiek by o tym myśleć, papież Franciszek zapoczątkował i wdrożył projekt głębokiej reformy, a może lepiej powiedzieć – „nowej reformacji" Kościoła. Odbywa się ona w sposób lekko zakamuflowany, pod hasłem „nawrócenia duszpasterskiego", zmiany paradygmatu, otwarcia i miłosierdzia, ale dotyczy bardzo wielu aspektów życia Kościoła. Reformy mają dotyczyć zarówno kwestii moralności seksualnej (nie jest przypadkiem, że to właśnie adhortacja „Amoris laetitia" z jej nieprecyzyjnością jest fundamentem pomysłów niemieckich biskupów, by zreformować etykę seksualną Kościoła), rozumienia małżeństwa, celibatu (tym ma się zająć synod dotyczący Amazonii), decentralizacji (która ma się stać nowym paradygmatem eklezjalnym) czy wreszcie odrzucenia doktryny i moralności na rzecz głoszenia kerygmatu (czego mocny przykład znajdujemy w najnowszej adhortacji papieskiej „Christus vivit", w której papież po raz kolejny apeluje, by w formacji młodzieży nie skupiać się na doktrynie i moralności, które rzekomo mają zabijać entuzjazm, odpędzać młodych od wiary i czynić ich negatywnymi).

JASTRZĘBIE Z PODCIĘTYMI SKRZYDŁAMI

Wiele ze zmian zostało już przyjętych na poziomie episkopatów i bardzo trudno będzie je odwołać. Przykład? Choćby dopuszczenie do komunii świętej rozwodników w ponownych związkach czy sugestia, że to biskupi miejsca mają decydować o dopuszczeniu protestanckich małżonków katolików do Eucharystii. To, co zostało już wprowadzone do praktyki Kościoła, i to pod pozorem wierności nowej „papieskiej ortodoksji", bardzo trudno będzie odwołać. Inne są obecnie dyskutowane, i nawet jeśli nie da się ich wyprowadzić wprost z nauczania Franciszka (tak jest z przywołanym już pomysłem niemieckich biskupów, by w ramach procesu synodalnego zmienić nauczanie moralne Kościoła), to i tak część z nich zostanie wprowadzona w życie i uznana za przejaw – jeśli nie słów, to „ducha Franciszka".

Nie brak oczywiście, i to mimo tego, że nie jest to obecnie dobrze widziane w Watykanie, hierarchów czy szeregowych duchownych (tych ostatnich jest znacznie więcej), którym zmiany te się nie podobają, i którzy zachowują wierność wcześniejszemu nauczaniu Kościoła – szczególnie w wydaniu św. Jana Pawła II

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 690fe9c854

i Benedykta XVI, zachwyt doktryną i moralnością, a także uznają, że luzowanie wymagań (do którego zresztą Kościół nie ma prawa, ponieważ on jedynie rozpoznaje normy moralne, a nie je stanowi) nie prowadzi do ewangelizacyjnych sukcesów, ale do obumierania chrześcijaństwa, czego smutnym dowodem są wspólnoty katolickie w krajach zachodniej Europy, które obecne pomysły Watykanu już dawno wcieliły w życie (i to w formie o wiele bardziej radykalnej), i w efekcie rozpadły się, straciły wiernych oaz ewangelizacyjny wigor. Liberalizacja w ich przypadku oznaczała śmierć, a nie nowe życie. Niezwykle mocno mówią o tym nie tylko skazani na banicję kardynałowie Gerhard Müller czy Raymond Burke, lecz także nadal aktywny w Watykanie kard. Robert Sarah, holenderski kard. Willem Jacobus Eijk czy abp Charles Chaput. Jeśli coś zaskakuje, to tylko fakt, że wśród gorących obrońców ortodoksji, a to oznacza często w obecnym Kościele uczniów i zwolenników nauczania św. Jana Pawła II, brakuje polskich hierarchów. Zaskoczenie to jest tym większe, że gdy odbywały się synody na temat małżeństwa i rodziny, to właśnie oni – w tym przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki – uchodzili za frakcję „jastrzębi" ortodoksji. Teraz jednak ich głosu niemal nie słychać, a dokumenty dotyczące zmian wprowadzanych przez Franciszka są tak napisane, by nie można z nich wyciągnąć wniosku, jakie jest rzeczywiste zdanie biskupów na temat np. komunii świętej dla rozwodników w ponownych związkach.

PIERWSZE PRZYKAZANIE: NIE WYCHYLAJ SIĘ!

Zaskakuje także fakt, jak szybko opadł w polskim episkopacie entuzjazm dla św. Jana Pawła II. Gdy – posługując się formą „anegdotki" – papież Franciszek wytoczył niezwykle mocne zarzuty przeciwko papieżowi, z Polski nie było słychać jasnej reakcji episkopatu. Jeszcze bardziej szokujące jest, że choć w przyszłym roku przypada setna rocznica urodzin św. Jana Pawła II, to nie widać wielkich akcji upamiętniających największego z polskich katolików przygotowanych przez episkopat. Dlaczego? W kuriach biskupich czy sekretariacie episkopatu nieoficjalnie, ale bardzo otwarcie mówi się o tym, że nie byłoby to dobrze widziane przez Watykan, więc polscy biskupi sami nic nie zrobią, lecz jedynie liczą na to, że robotę wykonają za nich świeccy. Ci jednak czekają na sygnał. I w efekcie niewiele się dzieje, choć kilka projektów, których nie wymienię, by nie podciąć im skrzydeł, ma naprawdę spory potencjał.

Skąd taka sytuacja? Odpowiedź wydaje się dość prosta. Polski katolicyzm od dawna był skrajnie ultramontański, popadający momentami w swoistą emocjonalną papolatrię. Cokolwiek powiedział papież, było traktowane niemal jak objawienie, a w debacie nieobecne były odróżnienia wypowiedzi ex cathedra od tych z nauczaniem zwyczajnym aż do tych, które są opiniami prywatnymi i nie mają najmniejszego autorytetu papieskiego. Ważne było, że coś powiedział papież. I takie podejście pozostało obecne wśród wielu nie tylko szeregowych katolików, dla których każda wypowiedź papieska jest słuszna, a każdy, kto ją próbuje przedyskutować, w istocie kwestionuje działanie Ducha Świętego w Kościele. Efekt jest taki, że zamiast ortodoksji świadomej, dyskutującej, zadającej pytanie, mamy myślenie na wzór Towarzystwa Biblijnego Strażnica, według którego każda wypowiedź szefa jest niedyskutowalna, a każdy, kto ją podważa, w istocie sam siebie wyrzuca poza Kościół. W wersji bardziej intelektualnej, i – jak się zdaje – prezentowanej przez polski episkopat, nawet jeśli jakieś wypowiedzi papieskie są trudne do zinterpretowania w zgodzie z ortodoksją, to nie należy o tym mówić, żeby nie zniszczyć autorytetu papiestwa w oczach zwykłych wiernych.

Głos ortodoksji słabnie, a Kościół w Polsce sam pozbawia się możliwości odegrania istotnej roli w toczącej się debacie

Nie bez znaczenia jest zapewne także to, że otwarte sprzeciwianie się nowemu paradygmatowi duszpasterskiemu kończy – i to w tym niezwykle rzekomo otwartym na debatę pontyfikacie – zazwyczaj kariery kościelne, o czym przekonało się już wielu kurialistów rzymskich, a także odbiera nadzieję na kapelusze kardynalskie, czego świadomość mają amerykańscy obrońcy ortodoksji, którzy od dawna kardynalatów (w odróżnieniu od ich liberalnych kolegów) nie otrzymują. Mocną ręką trzyma także polski episkopat nuncjusz apostolski, który jednoznacznie przypomina, że zbyt mocne trzymanie się linii Jana Pawła II albo za mało entuzjastyczne podejście do kolejnych dokumentów papieskich będzie traktowane jak niesubordynacja i nieposłuszeństwo. Polscy biskupi, podzieleni zresztą w wielu kwestiach, także w kwestii podejścia do zmian, wolą więc milczeć i próbować przeczekać ten pontyfikat, budując wrażenie, że nic się nie zmienia, a także gromiąc tych, którzy o zmianach mają odwagę mówić.

NIEOBECNI NIE MAJĄ RACJI

Pomysł „przeczekania", ignorowania i niewychylania się mógłby być nawet skuteczny, gdyby nie to, że zmiany zachodzą błyskawicznie, kościelni reformatorzy mają obecnie swoich kilka lat, które wykorzystują niezwykle skutecznie, a polityka personalna papieża sprawia, że nie jest wykluczone, że podczas kolejnego konklawe wybrany zostanie ktoś o poglądach raczej franciszkowych niż benedyktowych czy janopawłowych. Tak, wiem, że będzie tam działał także Duch Święty, ale ludzkie układy też mają znaczenie, a Duch Święty – o czym pięknie mówił kard. Joseph Ratzinger – nie zawsze może doprowadzić do wyboru najlepszego kandydata, a czasem jest w stanie tylko uchronić Kościół przed wyborem najgorszego. W takiej sytuacji głos dużego, znaczącego Kościoła lokalnego miałby ogromne znaczenie. Wiele z mniejszych, środkowoeuropejskich episkopatów nie ukrywało zresztą nadziei na to, że w swoich własnych stanowiskach będą się mogli oprzeć na wypracowanych w Polsce dokumentach i projektach. Wydawać by się mogło także, że biskupi kraju, z którego pochodzi św. Jan Paweł II, będą z o wiele większym zaangażowanie bronić jego dziedzictwa.

Tak się jednak nie dzieje. Efekt jest zaś taki, że głos ortodoksji słabnie, a Kościół w Polsce sam pozbawia się możliwości odegrania istotnej roli w toczącej się debacie. Niemieccy hierarchowie wykorzystują ją do granic możliwości, a polscy milczą. Rolę zaś głównych obrońców ortodoksji odgrywają – poza częścią biskupów amerykańskich – hierarchowie (w znaczącej części z Polski) kazachscy. Oni w ostatnich miesiącach, najmocniej i najbardziej jednoznacznie bronią nauczania Kościoła, którego znakomitym wyrazicielem był św. Jan Paweł II.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Z Krzysztofem Łapińskim, byłym rzecznikiem prezydenta Andrzeja Dudy
rozmawia Maciej Pieczyński

Zręczne posunięcie Kaczyńskiego

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jak ocenia pan sposób, w jaki PiS rozwiązuje kryzys wokół zapowiadanego strajku nauczycieli?

KRZYSZTOF ŁAPIŃSKI: Należy przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie: Czy do tego kryzysu musiało dojść?

A musiało?

Cały czas słyszymy o tym, że sytuacja finansowa budżetu jest bardzo dobra. Poza tym zostały już zaspokojone żądania wielu grup zawodowych czy społecznych. W tej sytuacji trudno się dziwić, że nauczyciele sformułowali propozycje podwyżek. „Skoro inni dostali coś od państwa, dlaczego my mamy być pominięci?" – z takiego mniej więcej, logicznego, założenia wychodzą. Z drugiej strony, rząd jest w trudnej sytuacji, bo jednak żądania te dotyczą ogromnej grupy zawodowej. Ich spełnienie oznaczałoby wydatek rzędu kilkunastu miliardów złotych. Rząd liczy zatem, że przynajmniej część środowisk nauczycielskich przyjmie kompromisowe propozycje. Rząd stara się przekonać, że pod względem płac zrobił dla nauczycieli więcej niż poprzednicy. Niemniej jednak sympatia społeczna wciąż wydaje się być po stronie nauczycieli, rząd musi więc ostrożnie podchodzić do sprawy.

Czy gdyby PiS w swoich ambitnych programach socjalnych przewidział wielkie sumy również dla nauczycieli, to nie byłoby problemu? Czy może jednak jest to raczej protest polityczny, a jego celem jest atak na obecny rząd, wobec czego żaden transfer środków nie uciszyłby niezadowolenia?

Jedno drugiego nie wyklucza. Myślę, że w ogromnej większości nauczyciele

eprasa.pl 690fe9c854

chcą zwyczajnie polepszenia swojej sytuacji bytowej, walczą o wyższe płace i polityka ich nie interesuje.

Jednak wszyscy przecież wiemy, jakie są afiliacje Sławomira Broniarza i zarządu ZNP, ale z drugiej strony, nie można wrzucać tysięcy niezadowolonych nauczycieli do jednego worka z napisem: „Protest polityczny". Pan Broniarz nie byłby w stanie jednoosobowo zarządzić strajku, gdyby nauczyciele czuli się usatysfakcjonowani ze swoich płac. Niewątpliwie problemem dla PiS jest to, że do protestów dochodzi w roku wyborczym. Przygotowując strategie kampanijne, należy przynajmniej próbować przewidzieć, gdzie, w jakiej grupie, może wybuchnąć pożar, czyje potrzeby dobrze będzie zaspokoić. Trzeba myśleć i działać prewencyjnie. Oczywiście zręcznym posunięciem było ogłoszenie „piątki Kaczyńskiego" – to pozwoliło PiS odzyskać świeżość, wziąć głęboki oddech. Warto jednak zadać pytanie: Czy składające się na nią propozycje to aby na pewno jest coś, na co w danym momencie jest społeczne zapotrzebowanie?

A nie ma takiego zapotrzebowania?

Nie zauważyłem, żeby w ostatnim czasie było szczególnie głośno artykułowane oczekiwanie, aby wprowadzić „500+" również na pierwsze dziecko. Mam wrażenie, że ludzie przyzwyczaili się do formy, w jakiej program ten funkcjonował dotychczas, czyli od drugiego dziecka, a w rodzinach uboższych – od pierwszego. Natomiast rządzący powinni mieć świadomość, że to właśnie nauczyciele są tą grupą, która już od wielu miesięcy czy nawet lat czuje się pokrzywdzona, jeśli chodzi o wysokość wynagrodzenia. Może należało ten fakt wziąć pod uwagę przy projektowaniu „piątki Kaczyńskiego". Może niekoniecznie trzeba było przeznaczyć dla nauczycieli 1 tys. zł podwyżki, ale już samo włączenie do sztandarowego programu kampanijnego postulatu podwyżek dla tej konkretnej grupy zawodowej pozwoliłoby ostudzić emocje i zaspokoić oczekiwania przynajmniej części jej przedstawicieli.

Czyli PiS finansowo „przekonuje przekonanych"? Przeznacza środki na grupy, które niekoniecznie tych środków potrzebują?

Mam wrażenie, że większość osób, które z przekonaniem popierają partie wchodzące w skład Koalicji Europejskiej, nie przerzucą swojego poparcia na PiS tylko dlatego, że otrzymają 500 zł na pierwsze dziecko. Nikt nie będzie głosował na dane ugrupowanie wyłącznie z wdzięczności. Tego typu kroki nie powinny znacząco zaważyć na ewentualnych przepływach elektoratów. Ci, którzy sympatyzują z PiS, i bez tych pieniędzy zagłosują na partię Jarosława Kaczyńskiego. Ci zaś, którzy wolą antypisowską opozycję, nie zmienią tak łatwo swoich preferencji. PiS nie może sobie pozwolić na wycofanie się z „piątki", ale przez to nie jest też w stanie całkowicie spełnić wszystkich postulatów płacowych nauczycieli, bo faktycznie budżet nie jest z gumy.

Sam pan mówi, że transfery pieniężne nie są w stanie zmieniać preferencji wyborczych. Skąd więc pewność, że gdyby PiS zamiast „piątki" ogłosił „szóstkę Kaczyńskiego" i dorzucił podwyżki dla nauczycieli, to nie byłoby żadnych protestów? Przecież – jak się zdaje – w tej grupie zawodowej partia rządząca i tak nie cieszy się szczególnie wysokim poparciem. Być może więc nauczyciele potraktowaliby ewentualne podwyżki jako coś, co im się należy, a potem sięgnęliby po więcej, przy wydatnym wsparciu antypisowskiej opozycji.

eprasa.pl 690fe9c854

Nie wiem, jaki byłby scenariusz. Proszę jednak pamiętać, że wielu nauczycieli zrzeszonych jest w Solidarności, którą trudno posądzać o polityczną niechęć do PiS. Oczywiście podwyżki nie sprawiłyby, że nagle całe środowisko, łącznie z niechętnym prawicy ZNP, zacznie popierać rządzących. Jednak być może takie transfery pozwoliłyby obniżyć temperaturę sporu w roku wyborczym. Być może protesty nie byłyby tak powszechne i tak gwałtowne, a nauczyciele nie zagroziliby strajkiem w tak newralgicznym okresie, jakim jest czas egzaminów gimnazjalnych. Problem dziś dotyczy nie tylko nauczycieli, lecz także uczniów, a co za tym idzie – żyją nim ich rodzice, dziadkowie, całe rodziny... Tym samym spór wokół jednej grupy zawodowej może spowodować ogromne perturbacje w skali całego społeczeństwa, i to tuż przed wyborami europarlamentarnymi. Pamiętajmy też, że na miesiąc przed wyborami do polskiego parlamentu wchodzi w życie główna część reformy szkolnictwa. Na początku przecież mogą się zdarzyć pewne perturbacje.

Które opozycja wykorzysta do uderzenia w PiS.

Nietrudno sobie wyobrazić, że nawet jeśli w skali całego kraju sytuacja będzie opanowana, to niechętne rządzącym media wykorzystają najdrobniejsze zamieszanie, aby pokazać, jak fatalnie przygotowana została reforma. Wystarczy kilka obrazków pokazujących, że oto w jednej ze szkół dzieci muszą uczyć się na korytarzach, bo nie ma dostępnych sal, albo że lekcje odbywają się do późnego wieczora... Już taki niewielki wycinek rzeczywistości z łatwością będzie można przedstawić jako rzekomy dowód na wielki chaos w szkolnictwie. A to może przemawiać do wyobraźni wyborców.

Kto bardziej zdenerwuje wyborców: nauczyciele, którym bardziej zależy na pieniądzach niż na dzieciach, czy rząd, który nie chce dać nauczycielom tyle, ile żądają? Który przekaz zdominuje kampanię wyborczą?

Na razie poparcie społeczne jest po stronie nauczycieli. Powszechne jest przekonanie, że ta grupa zarabia za mało. Jeśli jednak związki zawodowe przegrzeją temat i przesadzą z radykalizmem metod walki o podwyżki, to sympatia może się od nich odwrócić. Rodzice z pewnością nie zaakceptują używania uczniów jako zakładników, a tak może zostać oceniony pomysł organizowania strajku w dniu egzaminów.

Piątka Kaczyńskiego" została przemianowana na „Piątkę Plus". Tym plusem ma być obrona praw internautów. Prezes PiS zapewnił, że tzw. dyrektywa ACTA2 będzie w Polsce implementowana w taki sposób, aby zachować wolność w Internecie. Czy to dobry ruch ze strony partii rządzącej?

Najwidoczniej w PiS uznano, że jest to problem, którym aktualnie żyją młodzi ludzie. Pamiętajmy jednak, że obrona wolności w Internecie – inna sprawa, czy unijna dyrektywa rzeczywiście tej wolności zagraża – nie jest kwestią najważniejszą dla 30 mln wyborców.

Jednak z pewnością jest to temat ważny akurat dla tej grupy wyborców, która tradycyjnie uważana jest za raczej niechętną partii Kaczyńskiego. Obrony praw internautów mało kto się spodziewał.

Oczywiście młodym ludziom to może się spodobać. Jednak struktura głosujących w wyborach do europarlamentu jest nieco inna niż w przypadku wyborów ogólnopolskich. Tutaj chodzi przede wszystkim o to, by zmobilizować twardy elektorat. Widać, że PiS szuka poparcia w różnych, do tej pory niezagospodarowanych, grupach społecznych.

A jak PiS rozgrywa w kampanii sprawy światopoglądowe? Czy umiejętnie wszedł w rolę obrońców konserwatyzmu, ostro krytykując kartę LGBT, a także reagując na kontrowersyjne wypowiedzi polityków lewicy, choćby na temat adopcji dzieci przez pary homoseksualne?

Strategia PiS w tej sprawie jest jasna: skoro przeciwnicy dają na tacy prezenty, to grzechem byłoby z nich nie skorzystać. Partia rządząca może reagować na błędy rywali. Szczególnie dotyczy to rywalizacji z PSL. PiS chce pokazać niekonsekwencję ludowców, którzy zawsze akcentowali swoje przywiązanie do konserwatywnych wartości, a teraz weszli w polityczny sojusz z ugrupowaniami, które mają na sztandarach wypisane postulaty lewicy światopoglądowej. Widać już efekty tej narracji. Przyparci do muru politycy PSL zaczęli się ze swoich sojuszy tłumaczyć, jednocześnie podkreślając swoje przywiązanie do wartości chrześcijańskich. PiS wykorzystuje awanturę wokół LGBT celem wyrwania swoim przeciwnikom resztek konserwatywnego elektoratu.

Jednocześnie chyba odbiera wyborców swoim konkurentom z prawej strony. Politykom Konfederacji trudniej jest teraz forsować narrację, w myśl której PiS jest „zbyt miękki" wobec ekspansji lewicowo-liberalnego dyskursu.

Zgadza się. PiS formułuje komunikat mniej więcej następującej treści: „To my, jako największa prawicowa partia, będziemy najskuteczniej bronić wartości chrześcijańskich. Mniejsze ugrupowania konserwatywne, nawet jeśli są od nas bardziej radykalne, nie są w stanie nic zdziałać, my natomiast jesteśmy skuteczni. Z kolei na PSL tradycjonaliści też nie mają co liczyć, bo silniejsi lewicowi sojusznicy ludowców nie pozwolą im na obronę ich wartości".

A jak partia Kaczyńskiego radzi sobie z narracją Koalicji Europejskiej, która straszy, że rządy PiS grożą polexitem?

Ta narracja ma znaczenie jedynie dla wyborców przeciwnych partii rządzącej. To może ich mobilizować do głosowania.

Jednak właśnie tacy zazwyczaj nadają ton kampaniom do PE. Radykałowie z obu stron zwykle notują dobre wyniki w tych wyborach.

Rzeczywiście, w kampanii europarlamentarnej łatwiej grać skrajnymi emocjami na temat Unii. Eurosceptyk Janusz Korwin-Mikke z łatwością mobilizuje swoich zwolenników, którzy wierzą, że jego obecność w Brukseli pozwoli „rozwalić UE". I z drugiej strony – elektorat euroentuzjastyczny mobilizuje się, aby obronić Polskę przed rzekomym polexitem. Stąd też PiS, jak partia podchodząca w sposób zniuansowany do procesów integracyjnych, ma zadanie trudniejsze. Nie jest łatwo tej partii zmobilizować swój elektorat. Dla zwolenników PiS wybory do PE były do tej pory odległe. Dlaczego mają głosować na polityków, którzy później wyjadą do Brukseli i znikną z pola widzenia?! Dla tego elektoratu ważniejsze były wybory krajowe, bo one decydowały, kto będzie rządził w Polsce.

A jednak PiS ma obecnie bardzo dobre sondaże. Minimalnie, ale jednak prowadzi z KE.

Mamy wyjątkową sytuację. Kilka miesięcy po wyborach do PE będą wybory do polskiego Sejmu. Wydaje się więc, że elektorat PiS w dużej mierze traktuje najbliższe wybory jako pierwszą rundę politycznego starcia. Stawka jest bardzo wysoka. Ugrupowanie, które wygra walkę o europarlament, zyska psychologiczną przewagę przed decydującym pojedynkiem na jesieni. Tym razem wyborcy PiS wydają się rozumieć powagę sytuacji i wagę tych wyborów. Wyglądają na zmobilizowanych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

SENSACYJNY WYWIAD Z BOHATEREM US ARMY, KTÓRY ZDOBYŁ IWŌ-JIMĘ!

Tomasz Stańczyk – **Z Kresów na Syberię**
Alina Chodkowska – **Przeżyłam piekło w Sowietach**
Piotr Zychowicz – **Żydowski bokser kolaborantem?**
Mikołaj Iwanow – **Stalin, szpieg ochrany**
Marcin Bartnicki – **Wielka prowokacja UB**
Dermot Turing – **Polscy pogromcy Enigmy**
Sławomir Cenckiewicz – **Pedofilia Michaela Jacksona**
Oleg Łatyszonek kontra Jan Żaryn – **Debata o „Burym"**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 690fe9c854

Słodkie słowo „wolność”

Rafał A. Ziemkiewicz

Dorzucając do swojej „piątki” plus wolnościowy, Jarosław Kaczyński odpowiada na realną emocję. To się może opłacić

Piątka Kaczyńskiego” stała się „piątką plus”. Do pięciu obietnic o charakterze, mówiąc jego językiem, „prosocjalnych”, dodał prezes PiS obietnicę szczególnego zadbania o wolność. Zwłaszcza w Internecie, gdyż oczywistym kontekstem dodania do „piątki” rzeczonego „plusa” było przegłosowanie w Parlamencie Europejskim dyrektywy, potocznie określanej mianem ACTA2 – m.in. głosami europosłów Platformy Obywatelskiej, która na różne sposoby zapewniała wcześniej swych wyborców, że jest ACTA2 przeciwna i do jej uchwalenia nie dopuści.

Mam wrażenie, że większość komentatorów nie zrozumiała, co właściwie Kaczyński zaproponował i jaki ma to wyborczy sens. Najmniej, jak zwykle, pojęli z tego publicyści antypisu, przyzwyczajeni do korzystania z luksusu niemyślenia, bo w ich pracy wystarczy znać jedną prostą zasadę: jeżeli coś mówią Kaczyński, PiS, o. Rydzyk lub ktoś inny „od nich”, to bredzą, kłamią albo dają upust niecnym knowaniom (chyba że „nadają” na swoich, ale ten wyjątek od reguły nie ma tu zastosowania). „Kaczyński podręcznikowo przelicytował – oznajmiła niezawodna »Gazeta Wyborcza«. – Jarosław Kaczyński liczył na zdobycie głosów młodych wyborców, dla których hasło »wolność w sieci« jest ponad wszystko inne. Zamiast tego narobił jednak i sobie, i partii problemów. I to od razu na kilku polach”. Po czym wyliczyła różne proceduralne kruczki, które jej zdaniem uniemożliwią zapowiedziane przez Kaczyńskiego stępienie cenzorskiego ostrza eurodyrektywy.

Po przeciwnej stronie sceny politycznej także przyjęto deklarację z oburzeniem, zwłaszcza użycie retoryki „PiS obrońcą wolności”. Publicyści kojarzeni z Polską Fair Play Roberta Gwiazdowskiego i współtworzącymi Konfederację środowiskami „wolnościowców” z punktu zestawili długą listę grzechów PiS przeciwko wolnemu rynkowi i obywatelskim swobodom – począwszy od ustawy o obrocie ziemią i „apteki dla aptekarza”, poprzez, delikatnie mówiąc, niekojarzące się z sukcesem programy budowania przez państwo tanich mieszkań i elektrycznych samochodów, aż do zakazu handlu w niedziele i kolejnych pomysłów różnych drobnych regulacji, ingerujących w życie obywateli w PRL-owskim duchu „urzędnik zawsze wie lepiej, co dla ciebie dobre”.

Jedni i drudzy, jak się zdaje, zupełnie nie zrozumieli, o co z tym „plusem” Kaczyńskiemu chodzi.

@

Od dawna wiadomo, że kiedy dwóch mówi to samo, to wcale nie musi znaczyć tego samego. Kiedy słowa „wolność” używa prawica, ma na myśli wolny rynek i prawo do robienia przez obywatela wszystkiego, czym nie wyrządza krzywdy innym, nawet jeśli zdaniem jakichś ekspertów wyrządza tym krzywdę sobie (tu symbolem od czasów wczesnego Korwin-Mikkego stało się prawo do niezapinania w samochodzie pasów bezpieczeństwa). To samo słowo „wolność” w ustach lewicy zostało skojarzone z takimi postulatami jak aborcja na żądanie i swoboda realizowania oraz upubliczniania różnych upodobań seksualnych.

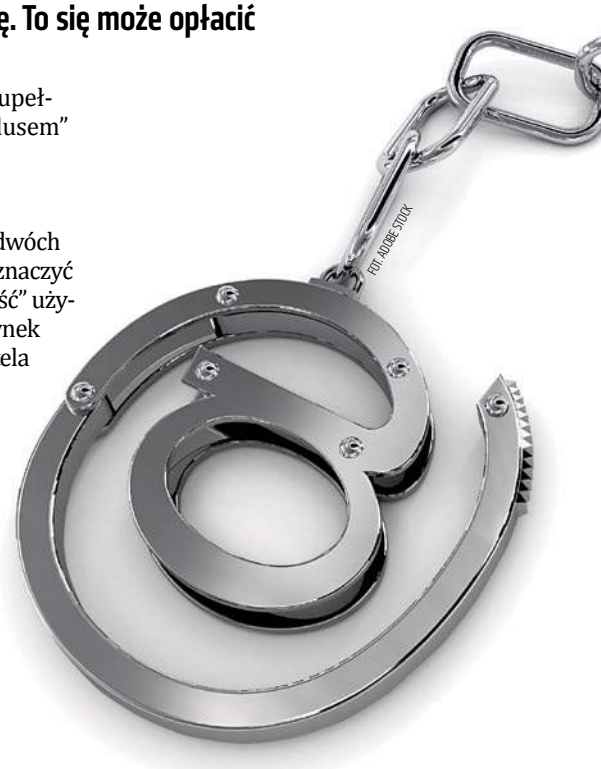

FOT. ADOBE STOCK

Gdy zaś o wolności mówią przedstawiciele neosanacji, z Jarosławem Kaczyńskim, to – rzecz oczywista – mają na myśli coś jeszcze innego: samostanowienie narodów, wolności polityczne, słowa i zgromadzeń. Irytacja wolnościowców hipokryzją sięgających po wolnościowe hasła etatystów jest nieuzasadniona o tyle, że swą deklarację na gdańskiej konwencji umieścił Jarosław Kaczyński w kontekście narodowych powstań, Solidarności i polskiego wsparcia dla wyzwoleńczych dążeń innych narodów – dość jasno wskazując tym, w jakim obszarze chce PiS o wolność zabiegać.

Od dawna pozwalam sobie twierdzić, że zasadniczą cechę naszego życia politycznego oddaje metafora starcia bokserów. W normalnej, zdrowej demokracji starcie politycznych rywali przypomina mecz piłkarski: każda drużyna ma swoją połowę boiska i swoją bramkę, której broni, każda atakuje bramkę przeciwnika

eprasa.pl 690fe9c854

– to są stałe punkty, nadające sens całej grze. Natomiast w starciu bokserów (czy raczej, wobec nieprzestrzegania żadnych zasad fair play, należałoby powiedzieć: w bijatyce), jakim jest polityka u nas, jedynym sensem jest trafić przeciwnika w szczękę, nos albo dołek, tak żeby ten się zwinął albo nakrył nogami. Aby to osiągnąć, przeciwnicy obskakują się nieustannie ze wszystkich stron, i nawet jeśli teoretycznie mają przypisane sobie narożniki, to w istocie pozycja każdego z nich wynika wyłącznie z taktyki.

Innymi słowy – w każdej sprawie każda partia może być w danym momencie za albo przeciw, jeśli uzna, że daje jej to dogodną pozycję do wyprowadzenia ciosu. PO może jednego dnia bronić rzekomo „zaszczuwanych" w Polsce homoseksualistów, a drugiego rozpowiadać obleśnie, że w PiS pełno jest „gejostwa" i że będzie się ich demaskować, czyniąc przy tej okazji mętne aluzje do samego Kaczyńskiego. PiS może dzierżyć sztandary katolicyzmu i latami trzymać w zamrażarce poparty przez niemal 900 tys. obywateli, przeważnie jego własnych wyborców, projekt zakazu aborcji eugenicznej, grając sobie z pro-liferami w kulki równie cynicznie, jak Tusk pogrywał w nie ze środowiskami LGBT domagającymi się legalizacji „związków partnerskich".

W tym nieustannym, bokserskim wypatrywaniu, gdzie przeciwnik nieostrożnie się odsłonił i gdzie by mu teraz „lutnąć", PiS ma ostatnio więcej szczęścia: opozycja regularnie „podkłada się", zajmując pozycje dla siebie niedogodne. Takimi ewidentnymi błędami było dopuszczenie, by hasłem kojarzonym z Koalicją Europejską stały się postulaty lobby LGBTQ, i to w najbardziej skrajnej wersji, albo by w imieniu koalicji wypowiadali się ludzie polaryzujący spór jako wojnę flagi europejskiej, z gwiazdkami, z „PiS-owską" flagą biało-czerwoną.

Równie wielką „wtopą" PO, która może mieć dla niej znaczące negatywne skutki, było głosowanie siedmiu jej europarlamentarzystów za ACTA2.

@

Rzecz nie w samym poparciu dla eurodyrektywy „o przestrzeganiu praw autorskich w sieci", bo z tego jeszcze mogłaby Koalicja Europejska wybrnąć. Jak każda eurodyrektywa, tak i ta jest zagmatwana, pełna wyjątków od reguły i niejasnych sformułowań, będących nie tyle kompromisem między sprzecznymi oczekiwaniami, ile tuszowaniem sprzeczności na zasadzie „wyjdzie w praniu". Mając w pamięci, jak „w praniu" funkcjonują RODO i inne podobne wytwory europejskiej biurokracji, można oczywiście zakładać, że wszystko, co może pójść źle, pójdzie, otwarte w ACTA2 furtki do cenzurowania Internetu zostaną wykorzystane i że stanie się ona kamieniem milowym w stopniowym „chińszczeniu" Internetu europejskiego.

Jednak można się też upierać, że dyrektywa porządkuje ważne sprawy, chroni interesy mniejszych podmiotów przed zachłannością wielkich korporacji i broni praw okradanych dotąd bezkarnie twórców – jak przekonuje teraz PO, wspomagana przez sporą grupę artystów, głównie muzyków, którzy szczyt kariery mają już dawno za sobą i którzy spodziewają się dzięki dyrektywie znaczącego wzrostu tantiem za swe dawne utwory.

Istota sprawy w tym, że – jak już przypominałem – aż do samego głosowania PO twierdziła, iż obroni polskich internautów przed ACTA. Tymczasem najbardziej potencjalnie niebezpieczny, cenzorski artykuł 11 dyrektywy przeszedł w PE zaledwie pięcioma głosami, podczas gdy PO dostarczyła mu siedmiu. Fakt, że pozostali europosłowie głosowali przeciwko lub wstrzymali się nie ma w tej sytuacji znaczenia. Co ważniejsze, prasa niemiecka niemal natychmiast po tym głosowaniu ujawniła, że przegłosowanie ACTA2 było skutkiem cichej umowy: rząd Niemiec zgodził się poprzeć prawo, na którym szczególnie zależało Francji, w zamian za co Francja obiecała mu utrącić próby zablokowania na poziomie wspólnoty budowy rurociągu Nord Stream 2. Europarlamentarzyści PO nie tylko więc zdradzili swoich wyborców, lecz także włączyli się do niemiecko-francuskiego „dilu" jednoznacznie wymierzonego w polskie interesy.

Jeśli na dodatek pamiętamy, że swego czasu „totalna opozycja" próbowała nastraszyć młodzież, że „Ziobro zabierze jej Internet" (zupełnie nie kryjąc, że straszy dlatego, bo sprawa ACTA pokazała, że młodzi są na taką groźbę podatni, i chce tym straszeniem poprawić średnią wieku na antyrządowych marszach), to trudno się dziwić, że PiS korzysta z sytuacji. Teoretycznie PO może odciąć się od głosujących za ACTA2, zwrócić uwagę na to, że głosowali za nią akurat ci europosłowie, którzy i tak są „na dobiegu" i na kolejną kadencję, wobec konieczności ustąpienia miejsc koalicjantom, już nie mogą liczyć. Jednak po tym, jak z publiczną pochwałą dyrektywy wystąpił Donald Tusk, wydaje się to nieprawdopodobne. Narracja o „partii oszustów" i targowiczan buduje się więc właściwie sama.

Tym bardziej że mówiąc o wolności, która kurczy się w zachodniej Europie, a w Polsce rośnie, odpowiada Jarosław Kaczyński na realną emocję. Internet jest coraz bardziej cenzurowany – co prawda, nie ma to związku z prawem unijnym, a ze „sprywatyzowanym Orwellem", o którym pisałem w nr. 34/2018, ale dla przeciętnego internauty nie jest to różnica zauważalna. Codziennie dochodzą do nas wiadomości o „postępach postępu" i coraz bardziej szalejącej na Zachodzie cenzurze politycznej poprawności, a także represjach idących dalej niż tylko cenzura. I coraz mniej jesteśmy skłonni lokować je wśród ciekawostek i „rzeczy wesołych", a coraz bardziej obawiać się, zupełnie na poważnie, by postulaty takie jak zapowiadane przez Krzysztofa Śmiszka karanie więzieniem za krytykę lobby LGBT nie stały się ponurą rzeczywistością.

Dodanie do socjalnej piątki wolnościowego „plusa", nawet jeśli niewiele za tym pójdzie w politycznej praktyce, może w tej sytuacji przynieść PiS znacznie więcej pożytku, a opozycji znacznie więcej szkody, niż się wydaje wyśmiewającym bądź bagatelizującym tę deklarację komentatorom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O WOLNOŚCI SŁOWA PISZEMY RÓWNIEŻ NA STR. 70.

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Wyjście z puszczy

Kamila Baranowska

Włodzimierzowi Cimoszewiczowi zdecydowanie bliżej jest dziś do Platformy Obywatelskiej niż lewicy. A przecież niedawno to właśnie PO obwiniał o upadek swojej politycznej kariery

Nadchodzi czas przywracania prawa i wymierzania sprawiedliwości, czas znojnego naprawiania wyrządzonych szkód. W takiej sytuacji prawo do spokojnego odpoczynku nie istnieje – ogłosił Włodzimierz Cimoszewicz w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", tłumacząc, dlaczego postanowił zrezygnować ze swojej politycznej emerytury i wystartować w wyborach do europarlamentu.

Politycy podśmiewają się z tego „męczeństwa" Cimoszewicza. Bo akurat wyjazd do Brukseli jest postrzegany bardziej jako kontynuacja spokojnego odpoczynku niż rezygnacja z niego, zwłaszcza gdy dostaje się pewne miejsce na liście.

ROZGRYWKA Z SLD

Start Cimoszewicza w wyborach to element rozgrywki Grzegorza Schetyny z SLD i Włodzimierzem Czarzastym. Kiedy do uszu lidera PO zaczęły dochodzić słuchy o coraz bardziej prawdopodobnym porozumieniu SLD z PSL oraz Nowoczesną i wspólnym starcie bez Platformy, postanowił przeciwdziałać. Zebrał byłych premierów i szefów MSZ – w tym m.in. Cimoszewicza i Leszka Millera i podpisał z nimi deklarację o powołaniu Koalicji Europejskiej. Cimoszewicza Schetyna miał namówić na ten ruch właśnie obietnicą pierwszego miejsca na liście w stolicy. Jak się później okazało, nie skonsultował tego z innymi politykami Platformy, którzy także liczyli na warszawską jedynkę. Jak choćby Ewa Kopacz. Ta ostatecznie dostała pierwsze miejsce na liście w Wielkopolsce.

Cimoszewicz wiedział jednak doskonale, że może licytować wysoko, bo jest Schetynie potrzebny, aby unieszkodliwić lewicę. Jedynka w Warszawie daje mu niemalże gwarancję wyboru, bez większych nerwów i starań. A on nerwów w polityce, zwłaszcza w kampanii wyborczej, nie lubi.

Jednak kampania, która miała być bezstresowa, zaczęła się dla Cimoszewicza mało ciekawie. Kilkanaście dni temu „Gazeta Polska" opisała, jak wyprowadzał się ze swojego domu w Puszczy Białowieskiej. Chodzi o leśniczówkę, którą przez wiele lat wynajmował od Lasów Państwowych. „Wyprowadzając się, Włodzimierz Cimoszewicz postanowił zabrać wszystko, co da się wynieść" – pisze gazeta. Dalej jest mowa o wyrwanych gniazdkach, framugach w drzwiach i oknach, o zerwanej boazerii i kaflach. Cimoszewicz przyznał, że owszem dokonał demontażu opisanych rzeczy, ale z racji tego, że zainwestował w leśniczówkę swoje pieniądze, to tak właśnie umówił się z nadleśnictwem. – Zabrał to, w co zainwestował – dyplomatycznie stwierdził w „Super Expressie" Jarosław Krawczyk z Regionalnej Dyrekcji Lasów w Białymstoku.

SPRAWA JARUCKIEJ

Start Cimoszewicza z list Koalicji Europejskiej nie był zaskoczeniem, bo od paru już lat jest mu do Platformy bliżej niż do lewicy. Jest w tym pewien

eprasa.pl 690fe9c854

paradoks, zważywszy na to, że w 2005 r. to Platformę oskarżał o złamanie swojej kariery i wyeliminowanie go z wyścigu o prezydenturę. Początkowo Cimoszewicz nie chciał startować w tamtych wyborach, uległ jednak namowom kolegów z SLD, który wiedział już, że za chwilę straci władzę. Cimoszewicz w roli prezydenta wydawał się ostatnią deską ratunku na zachowanie resztki wpływów. Do kampanii włączył się późno, ale szybko znalazł się w sondażowej czołówce. Decydujące starcie miało się rozegrać między nim a Lechem Kaczyńskim. Tygodnik „Newsweek" zapowiadał nawet na okładce: „Choleryk kontra arogant. Kampania na charaktery" (arogantem został nazwany Cimoszewicz). Marzenia o prezydenturze przekreśliła tzw. sprawa Jaruckiej. W momencie gdy wobec Cimoszewicza pojawiły się zarzuty o zatajenie zakupu akcji PKN Orlen, jego była asystentka Anna Jarucka oświadczyła, że na polecenie samego Cimoszewicza sfałszowała jego oświadczenie majątkowe. Sprawę ujawnili Wojciech Brochwicz (do którego bezpośrednio miała zwrócić się Jarucka) i Konstanty Miodowicz, obaj związani blisko z Platformą Obywatelską.

Cimoszewicz i jego sztab od początku uważali całą sprawę za intrygę środowiska PO. – Wiele wskazuje na to, że ta prowokacja wykonana rękami Anny Jaruckiej jest działaniem ludzi Platformy Obywatelskiej. W sposób oczywisty z tej prowokacji korzysta Donald Tusk, bo przejściowo udało się bardzo skutecznie podważyć zaufanie społeczne do Włodzimierza Cimoszewicza – komentował Tomasz Nałęcz, rzecznik Cimoszewicza. Ten sam, który 10 lat później został rzecznikiem prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Inna wersja wydarzeń mówi, że za wyeliminowaniem Cimoszewicza stały służby specjalne. Faktem jest, że po latach Jarucka została skazana za składanie fałszywych zeznań i posługiwanie się fałszywymi dokumentami.

BEZ PRZEBACZENIA?

Politycy lewicy długo jeszcze zastanawiali się, czy Cimoszewicz dobrze zrobił, wycofując się wtedy z wyborów. Profesor Antoni Dudek w „Historii politycznej Polski 1989–2005" pisze wprost o „niewystarczającej odporności psychicznej kandydata, który najwyraźniej nie potrafił się pogodzić z utratą pozycji sondażowego lidera i nie miał pomysłu, w jaki sposób ją odzyskać". Po jego rezygnacji rzeczywiście notowania Tuska poszybowały w górę i to on został głównym rywalem Kaczyńskiego.

W niedawnym obszernym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Cimoszewicz był pytany o to, czy wybaczył już Platformie sprawę Jaruckiej. Odpowiedział wymijająco. – Nie rozpatruję tego w kategoriach wybaczania. Kwestie osobiste nie są istotne, kiedy mówimy o sprawach państwa. Ale takie rzeczy się pamięta. Rozmawiałem z paroma osobami z tamtej strony, z ich inicjatywy. Nie chcę o tym mówić, nie ma potrzeby, żeby dzisiaj czemuś szkodzić. Urazy lepiej oczyszczać w sobie. Utrwalanie poczucia krzywdy jest autodestrukcyjne. Czas mija i co – nie dość, że zostałem kiedyś skrzywdzony, to jeszcze mam się frustrować przez resztę życia? – dodał.

Włodzimierzowi Cimoszewiczowi zdarzało się wbić szpilę Platformie, samemu Tuskowi czy Schetynie

W kontekście dzisiejszych politycznych interesów z Platformą wypominanie dawnych przewin jest dla obu stron niewygodne. Zwłaszcza że już w 2007 r. dogadał się z Platformą na temat swojego powrotu z politycznej emerytury. Wystartował wtedy w wyborach do Senatu z cichym poparciem PO, która nie wystawiła w jego okręgu swojego kandydata, pozwalając mu zdobyć mandat (obowiązywały już okręgi jednomandatowe). Ta sama sytuacja powtórzyła się cztery lata później w 2011 r.

Niekiedy jednak zdarza mu się wbić szpilę i Platformie, i Tuskowi. Przed wyborami w 2015 r. mówił, że „jeśli Tuskowi zależy na tym, co stworzył, zostanie. Jeśli myśli tylko o sobie, wyemigruje do Brukseli". O Schetynie zdanie też ma nie lepsze. Mówiąc w Radiu TOK FM o tym, że opozycja potrzebuje dziś silnych polityków, stwierdził, że „nie ma tam w tej chwili żadnych wybitnych postaci".

Najchętniej i najostrzej jednak Cimoszewicz krytykuje PiS. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" stwierdził, że „odsunięcie PiS-u od władzy to najważniejszy cel, który mogą sobie dzisiaj wyznaczyć rzeczywiści patrioci". W kontekście bycia „rzeczywistym patriotą" natychmiast przypomniano Cimoszewiczowi, że karierę zaczynał w komunistycznej młodzieżówce, a później z powodzeniem kontynuował ją w PZPR. W IPN są dokumenty mówiące, że miał być kontaktem operacyjnym SB. Cimoszewicz w swoich oświadczeniach lustracyjnych nie przyznawał się do współpracy, w 2001 r. sąd wydał korzystny dla niego wyrok, przyznając, że jego oświadczenia były zgodne z prawdą.

Cimoszewicz miał duże polityczne aspiracje, bo i szybko obejmował najważniejsze stanowiska w państwie. Z różnym efektem. Był wicepremierem i ministrem sprawiedliwości w rządzie Waldemara Pawlaka, później wicemarszałkiem Sejmu, szefem Komisji Konstytucyjnej, by w 1996 r. po dymisji Józefa Oleksego zostać premierem. Był nim dość krótko, bo raptem półtora roku, a zasłynął głównie swoją niefortunną wypowiedzią, gdy podczas tzw. powodzi tysiąclecia stwierdził, że „trzeba być przezornym i trzeba się ubezpieczać", co zostało odebrane jako wyraz arogancji i braku wrażliwości.

Niewielu politykom „Wyborcza" udostępnia wiele miejsca na swoich łamach. Ale Cimoszewicz zawsze cieszył się specjalnymi względami z racji swojej przyjaźni z Adamem Michnikiem, z którym to w 1995 r. w głośnym artykule „O prawdę i pojednanie" wspólnie nawoływał do zasypywania podziałów między postkomunistami a elitami solidarnościowymi. Wtedy Cimoszewicz był wielką nadzieją postkomunistycznej lewicy. Pozostawał nią jeszcze długo. Nawet po sprawie Jaruckiej w 2009 r. znów był namawiany przez kolegów z lewicy do udziału w wyborach prezydenckich. Nie chciał startować. Dziwnym trafem w tym samym czasie rząd Tuska zgłosił jego kandydaturę na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy. Nic z tego nie wyszło, ale w 2010 r. w wyborach prezydenckich Cimoszewicz oficjalnie poparł Bronisława Komorowskiego.

Na polityczną emeryturę Cimoszewicz odchodził co najmniej kilkukrotnie. Jak na razie jest w tym odchodzeniu mało konsekwentny. Koledzy z SLD złośliwie żartują, że jest jak imprezowicz, który od kilku godzin mówi, że idzie do domu, ale wciąż stoi w drzwiach. Bo bardzo lubi słuchać, jak inni namawiają go, by jeszcze został.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Tata mówił, że było inaczej

Piotr Semka

Krystyna Naszkowska dobrze zna świat dzieci polskich komunistów, a na dodatek płonie typowymi dla redakcji „Gazety Wyborczej" emocjami politycznymi. To jej książce pieprzu nie dodaje

Noworoczna choinka ozdobiona czerwoną gwiazdą – taki motyw wita czytelnika na okładce książki „My, dzieci komunistów" Krystyny Naszkowskiej. Połączenie tak bardzo zakorzenionego w tradycji polskiej motywu choinki z symbolem marksizmu dobrze oddaje barierę mentalną, jaka dzieliła domy stalinowskich dygnitarzy od reszty Polaków. Jak można się domyślać, książka ta ma ludziom przebywającym w czasie dzieciństwa za tą barierą oddać głos i pozwolić na jakiś rozrachunek z domowym dziedzictwem.

Jej wydawcą jest oficyna Czerwone i Czarne. To obchodzące w tym roku dziesięciolecie istnienia wydawnictwo miało ambitne początki. Robert Krasowski, niegdyś szef „Dziennik Polska-Europa-Świat" (z epoki, gdy pismo to chciało być alternatywą dla „Gazety Wyborczej"), założył oficynę z bardzo ambitnymi planami. Pamiętam, jak zapowiadał wtedy, że wszystkie najważniejsze książki polityczne w Polsce będą ukazywać się właśnie u niego. Początkowo starał się trzymać poziom i balansować między lewicą a prawicą. W ramach ideowego

eprasa.pl 690fe9c854

Wycieczka po Zatoce Gdańskiej (1946) na okręcie Marynarki Wojennej z udziałem prezydenta Bolesława Bieruta (drugi z lewej) z córką Aleksandrą (pierwsza z lewej). Na zdjęciu również: p.o. dowódca Marynarki Wojennej kontradmirał Adam Mohuczy (trzeci z lewej), marszałek Michał Rola-Żymierski (czwarty z lewej) z córką Zofią (piąta z lewej). Z boku siedzi druga córka Bolesława Bieruta – Krystyna FOT. PAP

parytetu Krasowski wydał moją biografię Lecha Kaczyńskiego, a jednocześnie publikował Janusza Palikota. Tej troski o poziom wystarczyło jednak tylko na parę lat. Potem Krasowski postawił na lewą stronę i wskoczył na falę wywiadów z Moniką Jaruzelską, Danielem Passentem i Jerzym Urbanem. Sprzedawały się dobrze, ale były przewidywalne. Obecnie Czerwone i Czarne jawi się jako wydawca autorów związanych z tygodnikiem „Polityka". Być może to zbliżenie wyczuliło go na traumę lewicowych dusz – temat dzieci komunistycznych dygnitarzy. I dziś Krasowski sam sięga po autorów z „Gazety Wyborczej".

W starym dowcipie pada pytanie, czym różni się odwaga od przezorności. Otóż odwaga to zwyzywać boksera w twarz, a przezorność to zrobić to samo przez telefon. W przypadku dzieci dygnitarzy PRL ciekawe byłoby zderzenie ich z kimś zadziornym spoza ich świata. Krasowski woli być przezorny i do przeprowadzenia rozmów wybrał Krystynę Naszkowską, dziennikarkę z redakcji Adama Michnika.

Widać, że Naszkowska dobrze zna świat dzieci polskich komunistów, a na dodatek płonie typowymi dla redakcji z Czerskiej emocjami politycznymi.

Ktoś powie, że może bez tego backgroundu nikt by z nią nie chciał rozmawiać. Niewykluczone, ale pieprzu książce to nie dodaje. Tym bardziej że gatunek „rozmowa z dzieckiem komunisty" występował już wielokrotnie po 1989 r. na łamach „Gazety Wyborczej". Jego typowe składniki to: opowieści o rodzicach jako ofiarach stalinowskich czystek, narzekania na łatwe odsądzanie ich od czci i wiary, podkreślanie ich ideowości, przypominanie, że „leśni" tuż po wojnie „nie byli święci" z puentą o Marcu '68 jako zimnym prysznicu.

No, ale przychodzą nowe pokolenia. Nie znają tamtych produkcji, temat dzieci komunistów wydaje im się pikantny i książka się sprzedaje.

A jak poszło na tym polu Naszkowskiej?

SIEDMIORO „WSPANIAŁYCH"

Córka Bieruta, syn słynnego szefa X Departamentu bezpieki Anatola Fejgina, Aleksander Smolar – jedyny w tym gronie wpływowy polityk, Agnieszka Holland, czyli znana reżyserka, kolejny reżyser, czyli Andrzej Titkow, publicysta „GW" Ernest Skalski i najmniej znany – bankowiec Włodzimierz Grudziński.

Oprócz córki Bieruta wszyscy wywodzący się z rodzin żydowskich.

I wszyscy oprócz Jasińskiej mający za sobą bunt przeciw komunizmowi, ale i po latach zazwyczaj chęć obrony dobrych intencji rodziców.

Najwięcej apetytu narobiły mi gazetowe zapowiedzi rozmowy Krystyny Naszkowskiej z Aleksandrą Jasińską, córką Bolesława Bieruta. Jak zapowiadała Naszkowska, miała to być pierwsza publiczna wypowiedź córki o ojcu po 80 latach.

Urodzona w 1932 r. w Moskwie Jasińska jest córką komunistki Małgorzaty Fornalskiej. Nazwisko Jasińska to konspiracyjne nazwisko Fornalskiej z lat 30., gdy ukrywała się przed polską policją. Przed wojną i w czasie jej trwania wychowywana była przez babcie – rodzice cały czas uczestniczyli w partyjnych misjach. Pierwszy raz zobaczyła ich w 1940 r., a ojca dopiero w 1944 r. W tym samym roku w okupowanej Polsce matka została schwytana i rozstrzelana przez Niemców. Jasińska opowiada, jak źle byli traktowani jej rodzice w ZSRS. Jak nie ufano polskim komunistom. A potem podkreśla, że jeśli ktoś opowiada o luksusach w powojennym życiu Bieruta, to przesadza. „Ja mieszkałam lepiej, nie przeczę. Ale jak na córkę prezydenta to było raczej mieszkanie skromne" – wyznaje bohaterka wywiadu, mówiąc o trzypokojowym apartamencie w kamienicy na rogu ulic Klonowej i Flory. Trzeba znać Warszawę, by wiedzieć, że na tle zrujnowanej stolicy te zamieszkane przez Niemców w czasie wojny, niezburzone apartamentowce to był raj. Akapit dalej, gdy mowa o willi Bieruta w Sopocie, córka czerwonego namiestnika Stalina nad Wisłą śpieszy podkreślać, że ojciec „nie traktował tego budynku jako przynależącego do niego". Co innego Żymierski – ówczesny wódz komunistycznego wojska. Ten chętnie przyjął willę na własność od władz Sopotu. „To trochę mojego ojca oburzało" – wyznaje. Co znaczy to „trochę"? Przecież prezydent mógł anulować taką decyzję jednym telefonem. A może Bierut wiedział już od Sowietów, że Żymierski to tylko eksperyment na pierwsze lata powojenne i skazany jest z góry na rychły odstrzał? O to Naszkowska jednak nie pyta.

Tak samo jak bez pytań wysłuchuje pełnej dumy tyrady Jasińskiej, że gdzie indziej w bloku sowieckim aresztowanego Gomułkę by zastrzelono, a w Polsce Bieruta tak się nie stało. Ani jedno pytanie nie pada też o aresztowanie prymasa Stefana Wyszyńskiego.

Po studiach córka Bieruta skierowana zostaje do zakładów słodyczy 22 Lipca (dawny E.Wedel) w ramach praktyk studenckich (takie praktyki „to był pomysł mojego ojca"). Tam zobaczyła, w jakich marnych warunkach pracują robotnicy. Nie było to dla niej jednak zbyt duże objawienie. „W porównaniu z tym, co przeżywałam w Rosji, tu panował wysoki standard". W końcu dla czytelnika staje się jasne, że Aleksandra Jasińska była

eprasa.pl 690fe9c854

i została czerwonym betonem. Z dumą mówi: „Wstąpiłam do PZPR, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Byłam do końca istnienia partii, nie wystąpiłam nigdy".

O ofiarach wyroków, których ojciec nie ułaskawił, nie chce mówić, a Naszkowska zbytnio nie naciska. Jeśli już porusza tę sprawę, to w kontekście Marca '68, gdy rektor Uniwersytetu Warszawskiego Zygmunt Rybicki nie wyrzuca jej z pracy, gdyż sam po wojnie zawdzięczał życie aktowi łaski ojca. Bez emocji opowiada jednak, jak córka Żymierskiego, Zosia, przyszła do niej zapłakana, gdy aresztowali jej ojca. Gdy młoda Ola poszła spytać o to swojego ojca, ten wyjaśnił jej, że bardzo mu przykro, ale tata Zosi dokonał złego wyboru. Mógł jej stworzyć wspaniałe warunki życia, a – jak się okazało – wybrał współpracę z angielskim wywiadem.

Naszkowska znów nie drąży, czy Ola uwierzyła wtedy w zasmuconą odpowiedź ojca. Może drążenie w rozmowie z 87-letnią kobietą przekonaną, że tata nie był taki zły, nie jest łatwe. Jaki jednak, do diaska, ma sens pytanie Naszkowskiej, czy ojciec był agentem NKWD? Pada na nie solenna odpowiedź starszej pani, że oczywiście nie! Nie pada też żadne pytanie o dość niecodzienne małżeństwo Jasińskiej z Zygmuntem Baumanem (według Wikipedii trwające w latach 2015–2017). Po co w takim razie cały ten wywiad?

FEJGIN – PRZECIWNIK PRZEMOCY

Jedyny raz w całej książce Naszkowska wykazuje pewne emocjonalne zaangażowanie, gdy pyta Piotra Fejgina (rocznik 1946). Został wyrzucony ze studiów socjologicznych w marcu 1968 r., a w 1971 r. wyjechał do Szwecji. Fragment książki z rozmową z nim wyeksponowano na okładce dodatku „GW" – „Ale Historia".

Gdy Fejgin junior w rozmowie próbuje dowodzić, że ojciec nie tolerował tortur i jak mógł walczył z takimi metodami, Naszkowska – jedyny raz w książce – się irytuje. Dowodem syna na dobre intencje ojca są jego rozmowy z innym ubekiem Romanem Romkowskim, dzięki któremu „wie, ile tu jest manipulacji, przeinaczeń i zwykłych kłamstw". Autorka wywiadu pyta: „Dlaczego przekaz Romkowskiego wydaje ci się bardziej wiarygodny od opowieści ofiar? Czemu wierzysz jemu?".

A Fejgin junior odpowiada: „Bo kiedy (Romkowski) mi to opowiadał, było mu naprawdę już wszystko jedno, na nic nie liczył. To były późne lata sześćdziesiąte".

Syn piętnuje proces, który był sygnałem odwilży, a który wytoczono w 1955 r. trzem wysokim oficerom UB – Anatolowi Fejginowi, Józefowi Różańskiemu i Romanowi Romkowskiemu. „Cały ten proces miał zwyczajnie ocalić partię przed faktycznym rozliczeniem ze zbrodni stalinowskich, uratować władzę i jej aparat represji, który nadal był jej potrzebny. Dlatego na procesie ograniczono się do trzech Żydów, na nich wszystko zwalono, także to, czego nie zrobili, za co nie odpowiadali".

Co robi Naszkowska? Czy cytuje zeznania konkretnych ofiar z imienia i nazwiska, które szczegółowo opisywały tortury z ręki Fejgina? Nie, niechętnie łagodzi spór. „Zgadzam się, że takie było polityczne tło, ale to nie znaczy, że byli niewinni".

Fejgin przyznaje, że „grandą" było nieujawnianie miejsc pochówku ofiar rozstrzeliwań, ale składa to na karb uporu przedwojennych komunistów, którzy czuli się związani resortową tajemnicą służbową. Jednak za chwilę, gdy Naszkowska znów wypomni mu, że ojciec akceptował tortury i nawet sam kazał zbić pasem jednego z oskarżonych, wybucha: „Otóż nie akceptował! Kiedy przyszedł do bezpieczeństwa i przejął od Różańskiego Departament X, to przez mniej więcej pół roku razem ze swoim doradcą Nikołaszkinem analizowali dokumenty z przesłuchań. [...] On kategorycznie do końca życia zaprzeczał, by zgadzał się na tak zwane naganne metody przesłuchań".

Czasami nie sposób czytać spokojnie obrony ojca przez Fejgina juniora.

Tak jest, gdy Naszkowska cytuje, jak na procesie Fejgin senior atakuje zeznającą przed sądem ofiarę, która uskarża się, że wskutek bicia po krzyżu ma niedowład nóg. Wtedy Fejgin wstaje i pyta, jak ona może udowodnić, że ten niedowład został spowodowany akurat biciem po krzyżu. Komentarz do tej sceny jego syna poraża: „Ojciec był »nieukończonym lekarzem«, miał teorie na każdy medyczny temat, może uważał, że z medycznego punktu widzenia to jest niemożliwe?".

Co robić z taką obroną ojca? Psychologicznie jest jakoś zrozumiała, ale bulwersuje. Pokazuje jedynie, jak silna może być chęć wybielania najbliższej osoby.

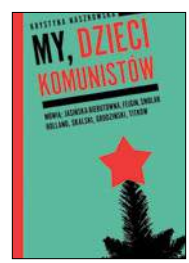

KRYSTYNA NASZKOWSKA „MY, DZIECI KOMUNISTÓW" CZERWONE I CZARNE 2019

Naszkowska i Krasowski uznali, że mimo wszystko to towar, który warto sprzedać.

PRZYCZYNEK DO LOSÓW „KOMANDOSÓW"

Nie znaczy to, że w pozostałych rozmowach nie ma wątków ani smaczków dla osób zainteresowanych tamtą epoką. Poważny i pozbawiony naiwnych uników jest wywiad z Aleksandrem Smolarem. Ciekawe są jego wspomnienia, jak w 1971 r. młodszy od niego o sześć lat Michnik surowo ganił go za chęć emigracji. Od Andrzeja Titkowa dowiadujemy się wielu szczegółów o początkach Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności powstałego w 1962 r. pod wodzą Michnika.

Titkow bez emocji opisuje też, jak zachował się Andrzej Wajda, gdy Titkow jako jego asystent wpisał Michnika na listę statystów i wybuchła z tego wielka chryja. „Wajda, co zresztą dzisiaj rozumiem, a wtedy nie rozumiałem – poświęcił mnie bez walki" – opowiada beznamiętnie.

Wspomniałem już, że Krystyna Naszkowska objawia się w tej książce jako płomienna antykaczystka. Skutkuje to licznymi fragmentami w rozmowie z Agnieszką Holland i Andrzejem Titkowem pełnych potępienia dla PiS i dobrej zmiany. „Od pewnego czasu mam nieustanne déjà vu – wyznaje Titkow. – Na początku lutego 2018 roku napisałem, że w powietrzu wisi ta sama atmosfera pogromowa, jaką zapamiętałem z marca 1968. Miałem wrażenie, że oglądam ten sam spektakl".

Takich traumatycznych wyznań pełno jest w „Newsweeku" czy magazynie weekendowym „Wyborczej", więc tym bardziej nużą w tej książce. A Naszkowska nie pyta, w jakim stopniu te strachy nie mają przypadkiem jakiejś bazy w wychowaniu z lat 50., gdzie straszono żądną krwi reakcją.

Nie tylko nie pyta, lecz także przywołuje do porządku najmniej upolitycznionego rozmówcę Włodzimierza Grudzińskiego, gdy ten jej zdaniem zbyt słabo podkreśla analogie między komunistyczną propagandą a retoryką PiS. I wtedy trudno oderwać się od myśli, że sama autorka, przynajmniej z racji sposobu myślenia, mogłaby być jednym z bohaterów swojej książki. Tylko kto miałby cierpliwość przeprowadzić taką rozmowę? Ja – na pewno nie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. ADOBE STOCK

Wojna o Rhian

Blanka Aleksowska

Wojciech Wybranowski

Polka uciekła z córką od znęcającego się nad nią partnera. Sądy brytyjski i polski nakazały jej oddać dziecko mężczyźnie, który nie płacił alimentów. Po interwencji „Do Rzeczy" sprawą zajął się Rzecznik Praw Dziecka

Poniżanie, krzyk, wyzwiska i groźby – to tylko część krzywd, jakich doznała Edyta S. od swojego byłego partnera Thomasa T. Na wszystko patrzyła ich kilkuletnia córka Rhian. Dziecko miało być nie tylko świadkiem awantur i codziennego upokarzania matki, lecz także nienawiści jej ojca do Polaków. Teraz rozgrywa się ostateczna wojna o Rhian. Sąd brytyjski chce odebrać matce córkę i oddać ją bezrobotnemu Brytyjczykowi z problemami zdrowotnymi, który wcześniej zalegał z alimentami. Tę decyzję niemal bezkrytycznie potwierdził też Sąd Okręgowy w Łodzi.

Po interwencji „Do Rzeczy" sprawą zajął się Rzecznik Praw Dziecka Mikołaj Pawlak. – Rzecznik Praw Dziecka wystąpił do Sądu Okręgowego w Łodzi o przekazanie wszystkich akt sprawy małoletniej córki Edyty S., w tym zapowiedzianej apelacji od postanowienia nakazującego powrót dziecka do Anglii – poinformowało nas biuro prasowe RPD.

Sytuację matki walczącej o prawo do pozostania z córką w Polsce analizuje też wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik.

ŻYCIE POD KONTROLĄ

Edyta S. ma 45 lat, wyższe wykształcenie. Przez wiele lat mieszkała

eprasa.pl 690fe9c854

i pracowała w Anglii jako projektant ogrodów i ogrodnik. Tam w 2011 r. poznała Brytyjczyka Thomasa T. Dwa lata później na świat przyszła ich córka Rhian. Wtedy życie Edyty S. zamieniło się w koszmar. Stała się ofiarą przemocy psychicznej, wyzysku finansowego i zastraszania. Podobne agresywne sytuacje zdarzały się też w innym związku tego mężczyzny, także wobec jego syna (dysponujemy m.in. potwierdzającym to pismem byłej żony Thomasa – Jacqueline T.). – Stworzył swoje zasady. Musiał mieć wszystko, w tym mnie i córkę, pod całkowitą kontrolą – opowiada Edyta S. w rozmowie z „Do Rzeczy".

Ojciec Rhian miał też partnerkę wykorzystywać finansowo. Z dokumentów, do których dotarliśmy, wynika, że przez większość trwania związku z Edytą S. był bezrobotny. Za to zarządzał pieniędzmi, które zarabiała, a także pobieranymi zasiłkami i świadczeniami. – Chociaż ja zarabiałam, on ograniczał wydatki, nawet na córkę. Kupował np. przeterminowane jedzenie o obniżonej wartości – relacjonuje Edyta S.

Kobieta opowiada nam też o codziennych upokorzeniach i obelgach, które słyszała od partnera w obecności córki. – On nienawidzi Polaków. Wyzywał przy dziecku mnie i moją rodzinę, mówił do mnie: „Polska dziwko". Zabraniał mówić w domu po polsku, zwłaszcza do dziecka – podkreśla matka Rhian.

W domu mężczyzna ustanowił poniżające kobietę reguły. – Gdy mijaliśmy się w wąskich korytarzach, odpychał mnie i szturchał. Gdy miałam wejść po schodach, a on schodził, musiałam czekać, aż on pierwszy zejdzie – wylicza w rozmowie z „Do Rzeczy". Podobnym upokorzeniem miały być zasady dotyczące kąpieli. Po pracy w ogrodach matka Rhian wracała zmęczona i brudna. Thomas miał żądać jednak, by Edyta S. kąpała się po nim, w tej samej, brudnej już wodzie. Często więc czekała godzinami po pracy na kąpiel, błagając, żeby pozwolił jej wejść pierwszej. Nigdy się na to nie godził. Świadkiem takich sytuacji często, zdaniem matki dziewczynki, miała być malutka Rhian.

Nie bez znaczenia dla sprawy może być stan zdrowia mężczyzny. Jak wynika z dokumentów, do których dotarliśmy – w tym oficjalnych materiałów sądowych – boryka się on z problemami zdrowotnymi.

Tygodnik „Do Rzeczy" zapytał Thomasa T. o zarzuty, jakie stawia mu Edyta S. Chcieliśmy także skonfrontować jego wyjaśnienia z dokumentami, którymi dysponujemy, dotyczącymi długotrwałego bezrobocia i problemów ze zdrowiem. Odmówił rozmowy. „Nie będę rozmawiał na temat spraw związanych z prywatnym życiem moim i mojej córki. Nie będę również dyskutować na temat fałszywych oskarżeń wysuwanych przez Edytę S." – odpisał nam Thomas T. Próbuje też zablokować publikację, strasząc odpowiedzialnością karną, gdy opiszemy całą sprawę.

Edyta S. nie zgłaszała jednak problemów z partnerem brytyjskiej policji ani organizacjom społecznym. Obawiała się gniewu Thomasa i gróźb odebrania jej dziecka. – Często Polacy za granicą w takich sytuacjach nie proszą o pomoc konsulatu. Błąd, bo w takich sytuacjach możemy reagować, jest też płaszczyzna do naszego działania, gdy dochodzi do sporu o prawo do opieki nad dzieckiem – mówi jeden z naszych informatorów w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Sprawą kilkakrotnie zajmował się brytyjski Sąd Rodzinny w Peterborough. Zawsze odmawiał matce prawa do wyjazdu z dzieckiem do Polski

UCIECZKA DO POLSKI

W lipcu 2016 r. Thomas T. spakował swoje rzeczy i wyprowadził się do nowo poznanej partnerki, matki trojga dzieci z wcześniejszego związku, z którą później zawarł kolejny – trzeci już w jego życiu – związek małżeński.

Sprawą praw do opieki nad dzieckiem kilkakrotnie zajmował się brytyjski Sąd Rodzinny w Peterborough z siedzibą w Cambridge, który pierwotnie jednoznacznie stanął po stronie Polki. 5 kwietnia 2018 r. sąd odrzucił wniosek Thomasa T. o to, by dziecko zamieszkało z nim. Główne prawo do opieki nad Rhian przyznał jej matce Edycie S. Brytyjski sąd uznał też – również dotarliśmy do tego dokumentu – że wystarczy, by dziewczynka widywała się z ojcem jedynie co drugi weekend. W postanowieniu jednak nie wyrażono zgody na stały wyjazd matki z córką do Polski.

Już po rozstaniu Edyta S. w trakcie pracy doznała poważnych schorzeń kręgosłupa, co sprawiło, że dalsza praca fizyczna ogrodnika stała się niemożliwa. Dom, w którym mieszkała z córką, stał się zbyt drogi do utrzymania. Wtedy kobieta postanowiła wyjechać do Polski, gdzie czekali na nie rodzina i nowy, wybudowany dla nich dom. Tutaj łatwiej byłoby także znaleźć nową pracę.

16 maja 2018 r. Edyta S. ponownie wystąpiła do brytyjskiego sądu o zgodę na wyjazd z córką do Polski. Sąd Rodzinny w Peterborough znów nie wyraził zgody. Dlaczego? Sąd wskazywał, że jego zdaniem dziecko w Polsce będzie miało znacznie gorsze warunki życia i rozwoju niż w Wielkiej Brytanii.

Istotne było zaangażowanie w sprawę brytyjskiej organizacji Cafcass (Children and Family Court Advisory and Support Service), której zakres aktywności zbliżony jest do działalności do niemieckiego Jugendamtu. To właśnie ona miała wydać opinię dla sądu na temat dalszych losów rodziny. Dotarliśmy do tych dokumentów. Wiele wskazuje, że pracownicy organizacji nie zachowali obiektywizmu, jednoznacznie stając po stronie brytyjskiego obywatela. W opinii Cafcass nie znajdziemy wzmianek o ciężkiej sytuacji kobiety ani o tym, że w Polsce czekają na obie nowy dom i stabilna praca. Nie wzięto pod uwagę także tego, że ojciec Rhian przez większość czasu nie płacił regularnie alimentów, a pani Edyta musiała utrzymać się z dzieckiem sama. Organizacja stwierdziła, że ojciec dziewczynki pielęgnuje w niej polskie korzenie i zachęca do nauki polskiego języka. „Ojciec będzie wspierał u dziecka naukę języka polskiego i będzie szanował polskie korzenie córki" – czytamy w orzeczeniu sądu brytyjskiego opartym na opinii Cafcass. Tymczasem Edyta S. podkreślała w rozmowach z urzędnikami, że ojciec Rhian nie toleruje polskiego języka ani nie akceptuje tego, że dziewczynka jest w połowie Polką. Orzeczenie wskazuje na to, że organizacja uwierzyła jedynie w wersję ojca.

Sytuacja Edyty S. i małej Rhian się pogarszała. Obie stały się zdane na opiekę społeczną oraz pobyt w domach samotnej matki. Wówczas pani Edyta postanowiła

eprasa.pl 690fe9c854

złamać zakaz sądu i wyjechać z Rhian do Polski.

Po wyjeździe z Anglii pani Edyta zamieszkała z córką w nowym domu w województwie łódzkim. Dziecko uczy się w anglojęzycznym przedszkolu w Polsce, ale bierze też lekcje języka polskiego. Matka dziewczynki zapewnia, że nigdy nie utrudniała ani nie uniemożliwiała jej kontaktów z ojcem. Dziecko zawsze miało łączność z Thomasem – może z nim rozmawiać przez Internet i przez telefon. Ojciec może też przyjechać do Polski, matka nie widzi problemu w takim spotkaniu. Thomas widział się jednak z dzieckiem tylko przy okazji trzech rozpraw sądowych w Polsce.

W międzyczasie ojciec Rhian złożył sprawę do sądu w Wielkiej Brytanii o przyznanie mu całkowitej opieki nad dzieckiem i wydanie córki do Anglii. W postanowieniach, które zapadły 31 sierpnia 2018 r. i 24 października 2018 r., brytyjski sąd orzekł, że Rhian ma wrócić do Anglii i zamieszkać z ojcem oraz jego kolejną partnerką.

POLSKI SĄD PO STRONIE OJCA

18 marca 2019 r. Thomas T. wniósł do polskich władz – w trybie konwencji haskiej – o nakazanie powrotu do Anglii jego małoletniej córki Rhian.

Sprawą zajął się Sąd Okręgowy w Łodzi, który 8 lutego 2019 r. wydał orzeczenie nakazujące kobiecie powrót z córką do Wielkiej Brytanii lub wydanie dziecka ojcu.

– Zasadą jest, że na podstawie konwencji haskiej sąd powinien orzec powrót dziecka do kraju, z którego ono przyjechało, tak by przywrócić stan pierwotny sprzed wyjazdu, po to, aby właściwy sąd dla kraju, z którego wyjechało dziecko, rozstrzygał już wszystkie sprawy rodzicielskie danej rodziny w jej właściwej jurysdykcji. Jednak od tego są dwa wyjątki – mówi nam prawnik Jakub Gładkowski, reprezentujący Edytę S.

Jakie? Otóż – jak mówi nasz rozmówca sąd nie ma obowiązku wydania dziecka, gdy przed wyjazdem pozostający rodzic nie sprawował w ogóle opieki, a także wtedy, gdy dziecko poprzez powrót do innego kraju zostanie narażone na szkodę psychiczną, fizyczną lub powrót postawi je w sytuacji nie do zniesienia, np. z przyczyn materialnych lub społecznych. Prawnik zaznacza, że w wielu krajach, które podpisały konwencję, sama okoliczność, że rodzic nie alimentował dziecka, wystarcza, by sąd uznał, iż sytuacja dla dziecka „będzie nie do zniesienia".

Co prawda łódzki sąd zauważył, że domagający się wydania dziecka Thomas T. jest bezrobotny, a także że przez wiele miesięcy nie płacił zasądzonych alimentów na córkę, ale zignorował to. „O niewykonywaniu prawa do opieki nie może świadczyć fakt okresowego braku płatności świadczeń alimentacyjnych przez wnioskodawcę na rzecz córki" – stwierdziła w uzasadnieniu sędzia Ewa Michniewicz-Broda.

– Nasz system prawny niestety zdominowany jest przez techników prawa, którzy z reguły zupełnie nie czują Konwencji praw dziecka. Nie sądzą, są tylko ustami ustawy – irytuje się Marcin Wątrobiński, prawnik, któremu pokazaliśmy dokumenty dotyczące tej sprawy. – Podstawą w każdym systemie jest zawsze dobro dziecka. W tej sprawie chyba nikt nie zweryfikował, co dla tej dziewczynki będzie stwarzać większe szanse normalnego rozwoju: czy życie z matką wśród kochającej rodziny czy w kolejnej rodzinie ojca, w gronie dzieci, dla których będzie obca – dodaje.

CAŁE MORZE WĄTPLIWOŚCI

Łódzki sąd nie uznał za ważne dla sprawy, że Thomas T. cierpi na istotne problemu ze zdrowiem. Oddalił m.in. wnioski o dopuszczenie dowodu z opinii medycznej wraz z wnioskiem o zażądanie dokumentacji medycznej z Wielkiej Brytanii.

– Dowody z wyjaśnień wnioskodawcy i uczestniczki, zeznań świadka, ze złożonych fotografii, z nagrań audio-wideo ze spotkań małoletniej z ojcem, jak również dowód z wysłuchania małoletniej wskazują, że dziewczynka czuje się swobodnie i dobrze w towarzystwie ojca, jest radosna, chce utrzymywać z nim stały kontakt – przekonuje nas Monika Pawłowska-Radzimierska, rzecznik prasowy łódzkiego sądu.

Zaskoczenia nie kryje prawnik Maciej Kryczka, ekspert Instytutu Ordo Iuris. – Przypadek, który państwo opisują, jest ekstremalny. Jeżeli faktycznie ojciec dziecka jest osobą z problemami zdrowotnymi i przebywającą na emeryturze, to należałoby sprawdzić, czy przez te dolegliwości oraz jego sytuację bytową może wykonywać swoją władzę rodzicielską w sposób zgodny z dobrem dziecka, bez udziału matki, która zostanie w Polsce – ocenia Kryczka.

Sąd uznał też, że dla decyzji o przekazaniu dziecka do Anglii pod opiekę ojca nie ma znaczenia to, że poprzednia żona Thomasa T. – Jacqueline T. – oraz syn Kyle mieli doświadczać przemocy fizycznej i psychicznej z jego strony. „[...] Nawet jeżeli chłopiec zachował złe wspomnienia związane z relacjami z ojcem, to okoliczność ta nie ma znaczenia dla rozstrzygnięcia niniejszej sprawy" – czytamy w uzasadnieniu decyzji łódzkiego sądu.

Łódzki sąd nie uznał za ważne ani tego, że Brytyjczyk Thomas T. ma kłopoty ze zdrowiem, ani tego, że nie pracuje i że nie płacił alimentów na własną córkę

WALKA W APELACJI

Łódzki sąd odpowiada na nasze pytania w obszernym piśmie. Przekonuje, że dopełnił obowiązków wynikających z przepisów, a wyjazd dziecka do Wielkiej Brytanii z matką lub bez niej nie zagraża jej zdrowiu ani bezpieczeństwu. Jednak Marcin Wątrobiński zauważa, że łódzki sąd w zasadzie „klepnął" wyłącznie wniosek Brytyjczyka, odrzucając w większości wnioski matki dziecka.

– Nie wzięto pod uwagę, że matka dziewczynki po wyjeździe do Wielkiej Brytanii nie będzie mogła wykonywać dotychczasowej pracy przez problemy zdrowotne, a więc nie zapewni dziecku utrzymania. Grozi jej też aresztowanie. W obu przypadkach prawdopodobnie dziewczynka zostanie pozbawiona kontaktu z matką – mówi Wątrobiński.

Prawnicy Edyty S. już złożyli apelację. Sprawie przyglądają się też Rzecznik Praw Dziecka i Ministerstwo Sprawiedliwości. – Mam nadzieję, że sąd odwoławczy, do którego trafi ta sprawa, dokładnie sprawdzi, do jakich warunków w Wielkiej Brytanii miałoby wrócić dziecko i czy po powrocie mogłoby pozostać przy matce – mówi wiceminister Michał Wójcik w rozmowie z „Do Rzeczy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

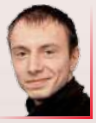

Maciej Pieczyński

Oszczercze sformułowanie „polskie obozy zagłady" nie znika z niemieckiej debaty publicznej. Dobrego imienia Polski przed niemieckimi sądami broni stowarzyszenie Patria Nostra założone przez mec. Lecha Obarę

Adwokat dobrego imienia

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

Odkrycie polskich obozów zagłady na Majdanku i w Oświęcimiu w lipcu 1944 r. i styczniu 1945 r." – tymi skandalicznymi słowami niemiecka telewizja ZDF zapowiadała emisję filmu dokumentalnego poświęconego historii II wojny światowej. Tekst pojawił się na portalu internetowym stacji 1 lipca 2013 r. Półtora roku później z pozwem przeciwko ZDF wystąpił Karol Tendera. – Byłem w trzech obozach i we wszystkich wieszali, bili, katowali i palili Niemcy, nie Polacy. Nie wolno dać się zakrzyczeć, że to była pomyłka, ja tego nie zaakceptuję i nie zgadzam się na to! – mówił w sądzie na samym początku procesu.

Tendera (rocznik 1921) w lutym 1943 r. został uwięziony w Auschwitz. – Przyjechaliście tutaj do niemieckiego obozu koncentracyjnego. To nie jest sanatorium, tylko obóz ciężkiej pracy. Długo nie wytrzymacie. Żydzi mają prawo żyć maksymalnie dwa–trzy tygodnie, księża i Cyganie 1,5 miesiąca, reszta trzy miesiące. Potem musicie zrobić miejsce innym. Komu się nie podoba, może jeszcze dziś iść na druty. Jutro rano wyleci kominem na wolność – tak były więzień wspomina po latach słowa, którymi on i jego towarzysze niedoli zostali powitani przez obozową administrację. Karol Tendera był jedną z ofiar eksperymentów medycznych słynnego doktora Mengele. Trafił do Birkenau. Zaangażował się w ruch oporu zorganizowany przez rotmistrza Witolda Pileckiego. Ostatnim etapem gehenny był pobyt w obozie koncentracyjnym Leitmeritz. Jak sam wielokrotnie przyznawał, nie ma w nim żadnej nienawiści do Niemców. Postanowił pozwać niemiecką telewizję w imię prawdy, nie zemsty.

ZDF NIE CHCE PRZEPRASZAĆ

Mecenasi Lech Obara i Szymon Topa pro publico bono zajęli się obroną Karola Tendery. W grudniu 2016 r. Sąd Apelacyjny w Krakowie nakazał telewizji ZDF przeproszenie byłego więźnia obozów koncentracyjnych za naruszenie jego „godności człowieka oraz tożsamości narodowej". Tekst przeprosin miał być widoczny na głównej stronie internetowej stacji przez 30 dni. Wydawca ZDF obszedł sądowy nakaz. Opublikował jedynie niewiele mówiący o całej sprawie odnośnik o treści „Przeprosiny Karola Tendery" i niewielki tekst w formie grafiki w dolnej części strony internetowej. Lech Obara i Szymon Topa uznali to za manipulację oraz próbę uniknięcia

eprasa.pl 690fe9c854

odpowiedzialności. Dlatego też postanowili zwrócić się do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Sprawa trafiła do sądu w Moguncji, który orzekł, że ZDF musi w pełni wykonać wyrok krakowskiego sądu. Prawnicy ZDF zaskarżyli tę decyzję do Wyższego Sądu Krajowego w Koblencji. Argumentowali, że wykonanie polskiego wyroku na terenie Niemiec godzi w podstawy niemieckiego porządku prawnego. Ponieśli jednak kolejną sądową porażkę. W styczniu 2018 r. Wyższy Sąd Krajowy w Koblencji oddalił skargę. – Wyrok ten był o tyle przełomowy, że wreszcie niemiecki wymiar sprawiedliwości przyznał, iż określenie „polskie obozy koncentracyjne" nie ma, jak twierdzą niektórzy, charakteru geograficznego – mówi mec. Lech Obara.

Pełnomocnicy telewizji ZDF nie poddawali się jednak. Odwołali się od decyzji sądu krajowego. Wnieśli kolejną skargę – tym razem do Federalnego Trybunału Sprawiedliwości w Karlsruhe. To najwyższa instytucja sądowa w niemieckim systemie prawnym. Tylko 31 kancelarii może występować przed tą instancją. FTS uznał, że ZDF nie musi w określony sposób przepraszać Karola Tendery. Trybunał stwierdził również, że nakaz publikacji przeprosin naruszałby klauzulę porządku publicznego, godząc jednocześnie w konstytucyjną zasadę wolności słowa i własnej opinii. Jak dowodzą prawnicy stowarzyszenia Patria Nostra, orzeczenie to jest sprzeczne z podstawowymi zasadami prawa Unii Europejskiej w sferze wzajemnego uznawania orzeczeń sądowych przez państwa członkowskie. Klauzula porządku publicznego jest niezmiernie rzadko stosowana przeciwko orzeczeniom sądów innych państw UE. Używano jej w tak krytycznych sytuacjach jak np. w celu odmowy małżeństw poligamicznych czy arabskich rozwodów przez odrzucenie. A zatem przyczyną zastosowania klauzuli była rażąca sprzeczność danej praktyki z fundamentalnymi zasadami europejskiej cywilizacji.

Dwa miesiące temu w sprawę zaangażował się Dobromir Sośnierz, europoseł, który w ławach PE zastąpił Janusza Korwin-Mikkego. Wystąpił do Komisji Europejskiej z interpelacją. Napisał w oświadczeniu: „Zdaniem TSUE powoływanie się na klauzulę porządku publicznego jest możliwe w przypadku, gdy uznanie lub wykonanie orzeczenia wydanego w innym państwie członkowskim naruszałoby – i to w sposób rażący – jedną z zasad podstawowych. Niemieccy sędziowie sądów powszechnych nie dostrzegli zagrożenia dla porządku prawnego w Niemczech. Czy zdaniem Komisji Europejskiej taka praktyka niemieckich sądów jest zgodna ze wspólnotowymi umowami?".

Stowarzyszenie Patria Nostra wystosowało apel do pozostałych posłów Parlamentu Europejskiego o pomoc w wykonaniu wyroku w sprawie Karola Tendery. „Skorzystajcie ze swoich uprawnień i zabierzcie głos w obronie przestrzegania prawa Unii Europejskiej" – czytamy w treści apelu. Pod dokumentem podpisali się: prezes stowarzyszenia mec. Lech Obara, Karol Tendera oraz Stanisław Zalewski, były więzień Pawiaka, obozów Auschwitz-Birkenau oraz Mauthausen-Gusen, a także prezes Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych.

„JESTEM HITLEROWCEM"

Pod koniec grudnia 2018 r. Sąd Okręgowy w Krakowie wydał wyrok, nakazujący producentom filmu „Nasze matki, nasi ojcowie" zamieścić publiczne przeprosiny w telewizji polskiej i niemieckiej, na stronie producenta, a także zapłacić 20 tys. zł zadośćuczynienia. Proces o naruszenie dóbr osobistych wytoczyli weteran Armii Krajowej Zbigniew Radłowski oraz Światowy Związek AK. Żołnierze tej największej formacji partyzanckiej w okupowanej Europie zostali przedstawieni jako antysemici.

„Jestem hitlerowcem! To wina tego kraju, że taki jestem. Zabiłbym wszystkich Polaków. Nie miałbym z tym problemu" – za te słowa skierowane do własnych pracowników – Polaków, niemiecki przedsiębiorca Hans G. usłyszał wyrok Sądu Okręgowego w Gdańsku: nakaz przeprosin oraz wpłaty 50 tys. zł zadośćuczynienia na rzecz Muzeum Piaśnickiego w Wejherowie. Jak zauważają prawnicy stowarzyszenia Patria Nostra, również te dwa wyroki, w świetle sprawy Tendery, mogą zostać zakwestionowane przez niemiecki wymiar sprawiedliwości.

W listopadzie 2017 r. na łamach gazety „Westfälische Nachrichten" obóz koncentracyjny w Sobiborze został nazwany polskim obozem zagłady. W maju 2018 r. Stowarzyszenie Patria Nostra wezwało gazetę do publikacji przeprosin oraz wpłaty 50 tys. euro na rzecz organizacji zrzeszającej byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Zamiast przeprosin przyszedł pozew. Gazeta wystąpiła do Sądu Krajowego w Munster o ustalenie, czy stowarzyszenie ma w ogóle prawo występować z tego rodzaju powództwem. Pro bono w sporach prawnych na terenie Niemiec stowarzyszenie wspiera mec. Piotr Duber, polski adwokat prowadzący kancelarię w Berlinie.

Stowarzyszenie mec. Lecha Obary wzięło również udział w kampanii społecznej „Auschwitz był niemiecki". W ramach tej akcji odbyły się spotkania w amerykańsko-żydowskiej uczelni Touro College Berlin, Wansee Museum, konferencja prasowa z mediami polskimi oraz niemieckimi, seminarium z prawnikami i wizyta w Museum Die Gedenkstätte Deutscher. Uczestnikom spotkania rozdano broszurę w języku niemieckim pt. „Der Kampf um die Wahrheit" („Walka o prawdę") zawierającą opis losów świadków historii – powodów w prowadzonych przez Stowarzyszenia Patria Nostra postępowaniach – oraz szerszy kontekst historyczny: opis ofiar poniesionych przez Polaków z rąk niemieckiego okupanta w okresie II wojny światowej, a także informacje o toczących się procesach skierowanych przeciwko niemieckim wydawcom.

W tych spotkaniach, jako świadek historii, brał udział Stanisław Zalewski. – Co ciekawe, uczniowie amerykańsko-żydowskiego college'u, którzy brali udział w organizowanych przez nas spotkaniach, nie mieli wcześniej pojęcia o tym, że również Polacy ginęli w niemieckich obozach koncentracyjnych. Z ogromnym zdziwieniem słuchali opowieści Stanisława Zalewskiego – zauważa mec. Lech Obara. Jego zdaniem problemem jest często nie tyle zła wola, ile brak wiedzy. – Żeby skutecznie wesprzeć prawną walkę o dobre imię Polski, nasze państwo powinno zainwestować w wielką kampanię informacyjną na terenie Niemiec. Chodzi nie tylko o to, aby prostować kłamstwa na temat historii. Równie ważne jest informowanie o prawnym aspekcie całej sprawy samych Niemców – huczne ogłaszanie w prasie niemieckiej informacji na temat pomyślnych dla nas wyroków sądów, czy to polskich, czy to niemieckich. Niemiecka opinia publiczna nie będzie nas w tym wyręczać. Ponadto powinniśmy zainwestować w sieć własnych kancelarii prawnych na terenie Niemiec. Tak, aby skutecznie i na co dzień walczyć o dobre imię Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Agnieszka Niewińska

Na kalwaryjskich dróżkach

Jerozolimę zaczęto odwzorowywać, bo dla znakomitej większości wiernych podróż do Ziemi Świętej była niemożliwa. W Polsce takie kompleksy powstawały od Podkarpacia do Pomorza. Do dziś przyciągają miliony pielgrzymów

W najstarszej i najbardziej znanej polskiej kalwarii przygotowania do Misterium Męki Pańskiej są na finiszu. – Próby zaczynamy bardzo wcześnie – opowiada o. Tarsycjusz Bukowski, rzecznik Sanktuarium Pasyjno-Maryjnego w Kalwarii Zebrzydowskiej. – Wtedy, kiedy kończymy śpiewać kolędy, zaczynamy przygotowania do Wielkiego Tygodnia. W tym roku karnawał był długi, więc w tej chwili odbywają się już ostatnie próby. Nawet kostiumy są już praktycznie gotowe, charakteryzacje aktorów potrzebują tylko ostatnich szlifów – mówi. W role wcielą się klerycy i osoby świeckie.

To właśnie w Wielkim Tygodniu do Kalwarii Zebrzydowskiej przybywa największa liczba pielgrzymów. W ubiegłym roku w Wielki Piątek sanktuarium nawiedziło 170 tys. osób.

DWA WZGÓRZA I POTOK

Jednak polska Jerozolima to nie tylko Kalwaria Zebrzydowska. W całym kraju można naliczyć przeszło 20 takich miejsc. Mieszkańcy Podkarpacia mają Kalwarię Pacławską, Warmia i Mazury – Głotowską, na Dolnym Śląsku można odwiedzić Kalwarię Wambierzycką, w XIX w. na Śląsku powstała Kalwaria Piekarska. Wierni z Podlasia i Lubelszczyzny mogą pielgrzymować do Kalwarii Kodeńskiej. Kaszubską Jerozolimą nazywana jest Kalwaria Wejherowska – czwarta najstarsza na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Podczas celebracji można tam zobaczyć kaszubski zwyczaj pokłonów feretronów, czyli dwustronnych obrazów sakralnych. Niosący je wierni w wymyślny sposób nimi obracają. W Kalwarii Pakoskiej, drugiej najstarszej po Zebrzydowskiej, w Poniedziałek Wielkanocny można wziąć z kolei udział w zawodach w „kulaniu pomarańczy".

Skąd taka mnogość polskich kalwarii? Ojciec Kamil Paczkowski, franciszkanin, kustosz Kalwarii Pakoskiej, tłumaczy, że to odpowiedź na trudności związane z pielgrzymowaniem do Jerozolimy. – Przez wieki było ono dostępne jedynie dla niektórych warstw społecznych. Na pielgrzymkę mógł sobie pozwolić człowiek zamożny. To była kwestia kilkunastu tygodni czy nawet miesięcy w drodze. Niższych warstw społecznych nie było na to stać. W okresie średniowiecza zaczęły też powstawać granice państw, więc przemieszczanie się po Europie stało się nieco trudniejsze. Był to także trud fizyczny. Drogę pokonywało się pieszo bądź konno. Na pielgrzymów czyhały niebezpieczeństwa, bo nie było przecież takich dróg, jakie dzisiaj znamy. Trzeba było się przedzierać przez lasy i bagna, a dodatkowo pielgrzym był łatwym celem dla zbójców – wylicza o. Paczkowski. – Trzeba też dodać, że Jerozolima przechodziła z rąk do rąk. Dostęp do miejsc świętych często był po prostu niemożliwy. To wszystko sprawiło, że genialni ludzie końcówki średniowiecza wpadli na pomysł, by skopiować Jerozolimę i przenieść ją na grunt europejski.

Inicjatorem budowy Kalwarii Pakoskiej był lokalny proboszcz ks. Wojciech (Adalbert) Kęsicki. – Został proboszczem w momencie, w którym Pakość była po konfliktach wyznaniowych między katolikami a protestantami, i szukał środków duszpasterskich dla umocnienia katolicyzmu na terenie swojej parafii – opowiada o. Paczkowski. Wyjaśnia, że pomysł przyszedł od flamandzkiego mnicha Chrystiana Andrychomiusza, który przebywał w Jerozolimie i w książce „Jerozolima. Jaka była za czasów Chrystusa" dokładnie opisał sanktuaria Ziemi Świętej, ze szczególnym uwzględnieniem miejsc związanych z męką Pana Jezusa. – Świadomie bądź nie Andrychomiusz stworzył podręcznik budowania kalwarii na terenie Europy – mówi o. Paczkowski. Dodaje, że przy ich zakładaniu ważne były warunki geograficzne. Aby wzorować się na Jerozolimie, potrzebne były co najmniej dwa wzniesienia, by odwzorować górę Wniebowstąpienia i górę Golgoty, a także strumień, który miał oddać potok Cedron.

eprasa.pl 690fe9c854

Misterium Męki Pańskiej w Kalwarii Wejherowskiej FOT. ADAM WARŻAWA/ PAP

W Pakości ks. Kęsicki najął geometrę, który wyznaczył miejsca na wybudowanie odpowiednich kaplic. – Wiosną 1628 r. odprawił pierwsze nabożeństwo kalwaryjskie – wskazuje o. Paczkowski.

Nabożeństwo tak się spodobało, że do Pakości zaczęli przybywać pielgrzymi, a rodzina Działyńskich podarowała ks. Kęsickiemu ziemie pod budowę kaplic i wolne przejścia pomiędzy nimi, czyli tereny na ścieżki kalwaryjskie. Krótko potem do Pakości zaproszono franciszkanów. Z wyjątkiem okresu zaborów i II wojny światowej opiekują się Kalwarią Pakoską do dziś.

ZEBRZYDOWSKI: POLSKI PREKURSOR

Franciszkanie są także obecni w Kalwarii Pacławskiej. Ufundował ją w połowie XVII w. kasztelan lwowski Andrzej Maksymilian Fredro. Legenda mówi, że podczas polowania wszedł głęboko w las za jeleniem i w miejscu, gdzie dziś stoi kościół, miał ujrzeć krzyż między rogami zwierzęcia. Wiadomo jednak, że odbył podróż do Ziemi Świętej, która stała się inspiracją do budowy kalwarii na ziemi przemyskiej.

Pieczę nad Kalwarią Zebrzydowską pełnią bernardyni. Jej dzieje sięgają 1600 r., kiedy to wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski zdecydował się postawić kaplicę św. Krzyża wzorowaną na kaplicy Golgoty. – Jednym z motywów budowy naszej kalwarii była pobożność Mikołaja Zebrzydowskiego. Dla prywatnych celów zbudował pustelnię, do której udawał się na modlitwę. To już coś nam o nim mówi. Drugim z motywów był fakt, że w wówczas w Europie już odwzorowywano Jerozolimę. Zebrzydowski przeczytał książkę o Ziemi Świętej. Zwrócił uwagę, że jego majątek ze wzgórzami i rzeką przypomina ukształtowanie terenu w Jerozolimie. Wysłał do Jerozolimy Hieronima Strzałę, a ten przywiózł stamtąd plany, gipsowe modele tamtejszych kaplic. I tak zaczęła się budowa polskiej kopii Jerozolimy – opowiada o. Tarsycjusz Bukowski. Dzisiaj Kalwaria Zebrzydowska to 44 obiekty architektoniczne Została wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Rocznie do tej polskiej Jerozolimy przybywa 2 mln pielgrzymów z kraju i zagranicy.

– Kalwaria Pakoska nie miała takiego ogromnego zasięgu i popularności jak Kalwaria Zebrzydowska – mówi o. Paczkowski. – Przybywali tu głównie pielgrzymi z centralnej Polski. Chociaż są też zapiski o pielgrzymach z dalszych stron. Dzisiaj jest podobnie. Kalwaria Pakoska jest znana w okolicy, nawiedzana przez pielgrzymów z Kujaw, chociaż obserwujemy tu zmiany. Zaczęli przyjeżdżać do nas ludzie z dalszych okolic, także z zagranicy.

Przyjezdni chętnie uczestniczą w celebracjach Wielkiego Tygodnia. A te wyglądają w Pakości inaczej niż w innych kalwariach. – Jest to jedyna kalwaria w Polsce, a może nawet w Europie, której najważniejsze celebracje odbywają się w Wielki Czwartek oraz w Wielki Piątek, i to w nocy. To nie jest misterium w formie teatru ani tradycyjne 14 stacji drogi krzyżowej, do których wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni, tylko pełne obchody kalwaryjskie – podkreśla o. Paczkowski.

W Pakości po mszy świętej Wieczerzy Pańskiej w Wielki Czwartek wierni wyruszają do kaplicy Wieczernik, a następnie do kapliczki nazwanej „Pożegnanie z Matką". Przechodzą pakoski Cedron – by znaleźć się poza miastem w Ogrodzie Oliwnym. Później znów przekraczając Cedron, udają się do arcykapłanów Annasza i Kajfasza i tam ok. godz. 23 przerywają celebrację na czas, w którym Jezus przebywał uwięziony u arcykapłana Kajfasza. – Pozostawiając Jezusa w więzieniu, śpiewamy przepiękną pieśń o jego udręczeniu i pieśń „Na dobranoc Panu Jezusowi". Gromadzimy się na nowo przy Kajfaszu o godz. 3 nad ranem – opowiada o. Paczkowski.

Zgromadzeni ponownie wierni podążają zgodnie z kolejnymi wydarzeniami opisanymi w Ewangelii. Od Piłata do Heroda, znów do Piłata, gdzie odbywają się oskarżenie, ubiczowanie, ukoronowanie cierniem, a następnie idą zgodnie z kolejnymi z 14 stacji drogi krzyżowej. Celebracja kończy się ok. godz. 5.30.

– W Pakości nigdy nie było inscenizacji. To zawsze była procesja, w której jest niesiony krzyż. Fenomenem tej kalwarii jest to, że do tej pory korzystamy z tekstów, które mają przeszło 200 lat. Zostały jedynie leciutko wygładzone, jeśli chodzi o język, szyk zdania. Wszyscy idą, śpiewając. W rękach mają teksty, a na głowie latarki. Ciekawą rzeczą jest to, że w żadnym modlitewniku nigdy nie było zapisu nutowego tych melodii kalwaryjskich, a mimo to one przetrwały przekazywane z pokolenia na pokolenie – mówi o. Paczkowski.

ŁĄCZNOŚĆ NIEINTERNETOWA

Na dróżki Kalwarii Zebrzydowskiej często wychodził Karol Wojtyła – najpierw jako dziecko, potem jako kapłan, kardynał i metropolita krakowski. W 1979 r. przybył tam już jako Jan Paweł II i prosił, by nie ustawać w przemierzaniu dróg tej polskiej Jerozolimy. Na kalwaryjskie dróżki można wychodzić nie tylko w Wielkim Poście, lecz także przez okrągły rok. Warto jednak pojawić się tam właśnie w okresie Triduum Paschalnego.

Zdaniem o. Paczkowskiego udział w kalwaryjskim misterium to unikalne doświadczenie. – Jesteśmy w Jerozolimie przeniesionej. Wierząc Andrychomiuszowi, przemierzamy nawet ten sam dystans, który przemierzał Jezus. Teksty rozważań są pisane w czasie teraźniejszym: Jezus idzie, spotyka, upada. To sprawia, że zupełnie inaczej przeżywamy tę drogę, doświadczamy tego, jak byśmy byli w Jerozolimie – podkreśla franciszkanin. I dodaje: – Łączymy się z Panem Jezusem nie za pomocą łączy internetowych czy telewizji, ale idąc za nim tymi ścieżkami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Koniec gry

Piotr Gociek

Dziesięć rzeczy, które powinieneś wiedzieć o „Grze o tron", nawet jeśli jej nie oglądałeś

Przed nami koniec fantastycznej sagi „Gra o tron". Przynajmniej wersji telewizyjnej. Z książkową inna sprawa. Wiele rzeczy jest bowiem niezwykłych w tej całej historii. Nie tylko postacie i zakręty fabuły. Także to, że popularny serial HBO pokaże widzom finał historii, która w wersji powieściowej nie została jeszcze dokończona.

O CO CHODZI?

Akcja „Gry o tron" rozgrywa się w fantastycznym świecie złożonym z kilku kontynentów, spośród których dla bohaterów serialu najważniejszy jest Westeros, kraina Siedmiu Królestw. Na północy Westeros znajduje się Mur, gigantyczna konstrukcja chroniąca cywilizowany świat przed dzikimi plemionami oraz niebezpieczeństwem dużo groźniejszym: Innymi zwanymi też Białymi Wędrowcami. To umarli, ożywieni pradawną magią.

Samo Westeros zostało niegdyś podbite i zjednoczone przez dynastię Targaryenów, ród, który dosiadał smoków. Niedługo przed rozpoczęciem akcji pierwszej powieści (i pierwszego odcinka serialu) ludy Westeros zbuntowały się i obaliły Targaryenów. Pokój jest jednak kruchy. Skoro korona mogła trafić w ręce przedstawiciela jednego z buntowniczych rodów (Baratheonów), to dlaczego nie mogliby o niej zamarzyć i inni? Największe ambicje przejawiają przedstawiciele rodu Lannisterów. Szczególnie niechętni do udziału w wielkiej grze są rządzący Północą Starkowie. Zostają w nią jednak wciągnięci, gdy jedno z dzieci namiestnika Neda Starka zostanie okaleczone przez Lannistera, a on sam skazany na śmierć przez przedstawiciela tejże rodziny. Tymczasem prawowity król Robert Baratheon umiera w podejrzanych okolicznościach, a wojna i chaos ogarniają Westeros. Skłóceni pretendenci do tronu ścierają się ze sobą, podczas gdy za morzem, na kontynencie Essos, do powrotu szykuje się młoda Daenerys z rodu Targaryenów. Podobnie jak przodkowie ma do dyspozycji smoki.

Jednocześnie rozgrywają się wydarzenia, które mogą okazać się dużo bardziej brzemienne dla całego świata, nie tylko dla Westeros. Król nieumarłych prowadzi zza Muru swoją krucjatę przeciw żywym. Wieloletnie lato się kończy, nadchodzi długa zima. Według kapłanów boga ognia wśród pretendentów do tronu jest dawno przepowiedziany przywódca, który poprowadzi siły światła przeciw siłom mroku.

KTO ZASIĄDZIE NA TRONIE?

Jak dotąd trup ścielił się gęsto i przy życiu pozostało niewielu kandydatów. Smocza królowa Daenerys, Jon Snow (uważany przez lata za bastarda Neda Starka, lecz w rzeczywistości znacznie szlachetniejszego pochodzenia), Cersei Lannister – przebiegła i okrutna, samozwańcza królowa Westeros – oraz jej brat Tyrion, karzeł i geniusz skłócony z resztą rodziny, zabójca własnego ojca. Kto wie, czy i oni wszyscy nie położą głowy. Kto wtedy będzie rządził? Może ktoś z pośledniejszych rodów.

Na drugim planie widzowie śledzą dzieje pomniejszych, lecz nie mniej cie-

eprasa.pl 690fe9c854

„Gra o tron" to fantastyka umiarkowanie fantastyczna, strawna nawet dla tych, którzy zwykle od fantasy stronią, za to lubią wielkie historyczne epopeje

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kawych postaci. Są to: córki Neda Starka, Sansa oraz Arya; brat i kochanek Cersei, Jaime Lannister; wzdychająca do niego dama rycerz Brienne z Tarthu; druh Jona Snowa – miłośnik ksiąg Sam Tarly; dwaj dzielni wojacy zakochani w Daenerys – Jorah Mormont oraz Daario Naharis – kolejny ocalały Stark, czyli sparaliżowany częściowo Bran; eunuch Varys – król szpiegów. Długo by wymieniać.

W miarę jak widz (i czytelnik) odkrywał kolejne sekrety fabuły, coraz bardziej jasne stawało się jednak to, że gra o żelazny tron to rozgrywka drugorzędna wobec innych kwestii. Kto ocali ludzi przed nieumarłymi? Jak zaczął się ten epicki konflikt? Skąd wzięła się armia trupów i jakie mroczne tajemnice kryje przeszłość Westeros?

KTO TO WYMYŚLIŁ?

Autorem serii powieści „Pieśń lodu i ognia", czyli literackiej podstawy serialu, jest amerykański pisarz George R.R. Martin (ur. 1948). Przez dwie dekady (lata 70. i 80. XX w.) znany był głównie fanom science fiction i horroru, a jego popularność nie wykraczała poza fanowskie konwenty. Jego dorobek z tego okresu zebrano w wydanej także w Polsce trzytomowej kolekcji opowiadań „Retrospektywa". Najbardziej cenione teksty to nagradzane i popularne „Piaseczniki", „Pieśń dla Lyanny", „Droga krzyża i smoka", a także cykl, którego bohaterem był Tuf Wędrowiec, międzygwiezdny podróżnik i kupiec. Powieści sprzed „Gry o tron" nigdy nie przyniosły Martinowi ani wielkiej sławy, ani wielkich pieniędzy. Najciekawsza z nich to horror „Ostatni rejs »Fevre Dream«".

Martin pisał także dla telewizji, ale sfrustrowany ograniczeniami stawianymi przez producentów i tęskniący za swą ukochaną fantastyką zabrał się do pisania „Gry o tron". Dzięki tej serii stał się gwiazdą pierwszej wielkości współczesnej popkultury, został okrzyknięty amerykańskim Tolkienem i jednym z najbardziej wpływowych ludzi świata (lista „Time", edycja z roku 2011).

Amerykański pisarz skrzętnie wykorzystuje możliwości, które przyniósł mu sukces serialu HBO. Bo jeśli nie teraz, to kiedy? Nie przejmując się więc sarkaniami fanów, którzy woleliby, aby poświęcał cały czas na dokończenie sagi, Martin ubija korzystne interesy, sprzedając prawa do ekranizacji swoich innych dokonań i biorąc udział w preprodukcji. Amerykański serwis Hulu (konkurent Netflixa) szykuje dwa seriale inspirowane cyklem „Dzikie karty" (seria opowiadań i powieści autorstwa Martina i jego przyjaciół o alternatywnej Ameryce pełnej zmutowanych superbohaterów). Niewykluczone, że powstanie także film kinowy. Kanał SyFy z kolei zekranizował niedawno nowelę SF „Nightflyers" (u nas efekt pokazał Netflix). Serial rozczarował i nie będzie kontynuowany, ale to na razie nie zaszkodziło reputacji Martina.

SKĄD TEN SUKCES?

George R.R. Martin zabrał się do pisania serii (która okazała się potem dziełem jego życia) jak pisarz historyczny do kreślenia fresku epoki. Wysiłek włożony w stworzenie fikcyjnego świata jest oszałamiający. Jednocześnie udało mu się uniknąć pułapki, w którą wpada wielu twórców fantasy – jego kreacja nie była zbyt dziwaczna i wydumana. Westeros przypomina nieco średniowieczną Europę, jego część północna to trochę Szkocja, trochę Skandynawia, a część południowa trochę Włochy, a trochę Grecja. Na konkurencyjnym kontynencie – Essos – mamy królestwa przypominające te znane z historii starożytnego Bliskiego Wschodu, ale także koczowników na koniach, mocno przypominających hordy Dżyngis-chana.

Jest to więc fantastyka umiarkowanie fantastyczna, strawna nawet dla tych, którzy zwykle od fantasy stronią, za to lubią wielkie historyczne epopeje. Jednocześnie Martin zaludnił swój świat świetnie skrojonymi postaciami, w tym dużą liczbą mocnych kobiet. Pochylał się z troską nawet nad zupełnie marginalnymi bohaterami, którzy pojawiali się na moment, by zaraz zginąć. Inspirując się dziejami wojny stuletniej, historią krucjat, a także sprytnie podglądając klasykę (tak, z Szekspirem włącznie), przygotował popkulturowe danie idealne.

GDZIE I KIEDY?

Wszystkie napisane dotąd powieści z serii „Saga lodu i ognia" są w ciągłej sprzedaży, także w polskich księgarniach. Są to kolejno: „Gra o tron", „Starcie królów", „Nawałnica mieczy", „Uczta dla wron" i „Taniec ze smokami" (trzy ostatnie tytuły doczekały się w Polsce edycji dwutomowych). Sagę uzupełniają „Ogień i krew" (także edycja dwutomowa na polskim rynku), czyli opowieść o dawnych dziejach dynastii Targaryenów, oraz encyklopedyczny przewodnik „Świat lodu i ognia". Oraz trzy minipowieści wydane w tomie „Rycerz siedmiu królestw".

Serial HBO „Gra o tron" miał premierę w kwietniu 2011 r. Nakręconych dotąd siedem sezonów oglądać można w serwisie HBO GO, są także dostępne w edycjach DVD i Blu-ray. Sezon ósmy i ostatni zadebiutuje w USA 14 kwietnia (polska premiera w poniedziałek 15 kwietnia) w telewizji HBO. Liczył będzie sześć odcinków, co oznacza, że całość zamknie się w 73 epizodach.

Czytelnicy sagi Martina będą musieli uzbroić się w cierpliwość. Ostatnie dwie powieści cyklu: „The Winds of Winter" oraz „A Dream of Spring" jeszcze się nie ukazały i nie wiadomo też, kiedy się ukażą. Pisarz wciąż nad nimi pracuje, dzieląc swój czas także pomiędzy inne przedsięwzięcia, o których wcześniej napomknąłem. Całkiem prawdopodobny jest scenariusz, w którym jesienna premiera DVD ostatniego sezonu serialu miałaby miejsce równolegle ze światową premierą szóstego tomu cyklu powieściowego, a więc „The Winds of Winter". Oznaczałoby to, że polski czytelnik dostanie część książki na Boże Narodzenie, a drugą część na wiosnę (nie mam wątpliwości,

eprasa.pl 690fe9c854

Król nieumarłych prowadzi zza Muru swoją krucjatę przeciw żywym

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

że z powodu objętości i ten tom będzie trzeba podzielić na pół).

CO DZIAŁO SIĘ WCZEŚNIEJ?

Tego częściowo dowiedzieć się możemy ze wspomnianej już książki „Ogień i krew", która cofa czytelników do wypadków, które miały miejsce o wiele wcześniej niż fabuła „Gry o tron". Jest to historia rodu Targaryenów. Martin szykuje także kolejną podobną publikację.

Jednocześnie w tym roku HBO rozpoczyna produkcję nowego serialu telewizyjnego, który będzie prequelem „Gry o tron". Wybrano już reżysera (S.J. Clarkson, znana m.in. z pracy przy „Orange is the New Black"), ogłoszono nazwiska pierwszych gwiazd. Są wśród nich Naomi Watts i Miranda Richardson. Martin upodobał sobie tytuł „Długa noc", ale jak dotąd szefowie HBO nie podzielają jego entuzjazmu. Premiera planowana jest najwcześniej w roku 2020.

Na tym nie koniec – według ostatnich doniesień stacja zamówiła drafty pięciu różnych prequeli „Gry o tron" i wcale nie jest przesądzone, że ten skierowany już do produkcji będzie jedyny. Jak to możliwe? Po prostu opowiadają o wydarzeniach i postaciach z różnych epok w dziejach Westeros.

ILE TO KOSZTUJE?

Pisarza, George'a R.R. Martina – tyle czasu, ile musi poświęcić pracy zarówno nad książkami, jak i dodatkowymi zadaniami związanymi z ekranizacjami. Telewizję HBO – małą fortunę. Odcinki pierwszego sezonu „Gry o tron" miały budżet ok. 6 mln dol. każdy. Każdy odcinek sezonu finałowego, czyli ósmego, kosztował już 15 mln dol. Budżet prequela ma być jeszcze wyższy. Dokładnych liczb jeszcze nie podano, ale wiadomo, że będzie to więcej niż 50–60 mln dol. za sezon.

DAVID BENIOFF, D.B. WEISS
„GRA O TRON", SEZON 8
USA 2019, HBO
PREMIERA PL: 15 KWIETNIA

KTO JUŻ WYGRAŁ?

Bez wątpienia aktorzy. Gdy zaczynali swą podróż przez Westeros, byli w większości nieznani. Dzisiaj wiadomo, że „Gra o tron" wykreowała wiele nowych gwiazd. Emilia Clarke (serialowa Daenerys Targaryen), gdy trafiła na plan serialu, była niemal zupełną debiutantką. Dzisiaj ma za sobą główne role w takich filmach jak romantyczny przebój „Zanim się pojawiłeś" czy „Han Solo: Gwiezdne wojny – historie". Gwiezdną sagę Lucasa (dziś kręconą już bez Lucasa) zasiliła także Gwendoline Christie (Brienne z Tarth) jako kapitan Phasma.

Richard Madden (grał Robba Starka) to teraz jedno z najgorętszych nazwisk na brytyjskim rynku aktorskim. Zebrał świetne recenzje za główną rolę w serialu kryminalnym „The Bodyguard" i jest wymieniany jako bardzo poważny kandydat na nowego Jamesa Bonda. Peter Dinklage (serialowy karzeł Tyrion Lannister) pojawił się m.in. w dwóch komiksowych superprodukcjach („X-Men: Przeszłość, która nadejdzie" i „Avengers: Wojna bez granic"). I tak dalej.

CZY TO CHWILOWA MODA?

Nie. Sukces „Gry o tron" udowodnił, że poważny telewizyjny serial fantasy, uważany przez dekady za gatunek ryzykowny, zbyt drogi i niedochodowy, przeżyje swój renesans. Nie będą to już kiczowate opowiastki w stylu „Xeny: Wojowniczej księżniczki" z obciachowymi efektami, lecz wielkie produkcje. Budżet serialu Amazona „Władca Pierścieni" według Tolkiena ma wynieść miliard dolarów. Ten sam internetowy gigant szykuje ekranizację epickiej sagi Roberta Jordana „Koło czasu". Autor nie doczekał, zmarł w 2007 r.

Moda na seriale fantasy dopiero się rozkręca, tytułów w produkcji lub preprodukcji jest kilkadziesiąt. Od kolejnych ekranizacji książek Terry'ego Pratchetta, „Gormenghastu" według Mervyna Peake'a i „Mrocznych materii" na podstawie książek Philipa Pullmana do nowych wersji historii o Conanie oraz ekranizacji najnowszych hitów literatury fantasy („Pęknięta ziemia" Nory K. Jemisin i „Kroniki królobójcy" Patricka Rothfussa). Netflix kupił prawa do cyklu o Narnii autorstwa C.S. Lewisa oraz szykuje nową wersję opowieści arturiańskich.

Jest w tym wszystkim i miły polski akcent: flagowym projektem fantasy Netflixa jest przecież „Wiedźmin" na podstawie prozy Andrzeja Sapkowskiego. Owszem, wielką popularność Geraltowi przyniosły gry, które rozsławiły albinosa z Rivii na całym świecie, ale nie miejmy złudzeń: gdyby HBO nie zarobiło fortuny na „Grze o tron", nikt na świecie nie myślałby poważnie o serialowym „Wiedźminie". Zarozumiały do granic możliwości Sapkowski nigdy głośno nie przyzna, że zawdzięcza cokolwiek innemu żyjącemu pisarzowi, ale my możemy powiedzieć to za niego: Dziękujemy ci, George'u R.R. Martinie!

JAK SIĘ TO SKOŃCZY?

W roku 2012 z okazji premiery drugiego sezonu serialu „Gra o tron" miałem przyjemność przeprowadzić wywiad z Martinem. Pytałem go wówczas, czy w finale sagi możemy liczyć na to, że rzeczy obrócą się wreszcie na lepsze dla jego bohaterów, których dotąd poddawał trudnym próbom. Oto, co odpowiedział autor „Gry o tron":

„Nie mogę obiecać nikomu serduszek, kwiatów, pocałunków i słodkich kociąt. Ale uwielbiam na przykład zakończenie »Władcy Pierścieni« Tolkiena, gdzie dobrzy wygrywają, ale kosztuje ich to tak bardzo, bardzo wiele… Kiedy miałem 13 lat, nie lubiłem tych fragmentów Tolkiena, nie rozumiałem ich. Teraz doceniam ich genialność. Frodo wypełnił misję, ale nie ma już dla niego szczęścia na tym świecie – i opuszcza Śródziemie. Oczywiście nie powtórzę tego chwytu w swoim cyklu, ale mogę zdradzić jedno – koniec będzie i słodki, i gorzki".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNERZY

KGHM POLSKA MIEDŹ

Poczta Polska

GRUPA CEDROB

eprasa.pl 690fe9c854

„Pompon” jeszcze nowszy

Waldemar Żyszkiewicz

Ci, którzy wcześniej zetknęli się z fenomenem „Nowego Pompona”, nie potrzebują żadnych wyjaśnień. Pozostałych warto i przestrzec, i zachęcić. W tej kolejności

Nowy Pompon”, krakowska osobliwość zawdzięczająca swe istnienie dwóm Krzysztofom: Janickiemu i Niedźwiedzkiemu oraz Markowi Grabie, pozostaje niewątpliwie dzieckiem XXI stulecia. Pierwszych sześć numerów tego miesięcznika satyrycznego, którego redaktorem naczelnym jest znany z Piwnicy pod Baranami Krzysztof Janicki, ukazało się w sieci. Dobry odbiór mocno przecież specyficznego humoru, jaki uprawiają autorzy „Pompona”, wpłynął na decyzję o wydawaniu papierowej wersji miesięcznika.

Samodzielnie na papierze, od jesieni 2004 r., „Nowy Pompon” wychodził jednak przez niecały rok. Potem zaistniał jeszcze w wersji drukowanej jako dodatek do tygodnika „Ozon”, również dość efemerycznego, by ostatecznie powrócić do swej kolebki, czyli do sieci. Determinacja Janickiego sprawiła jednak, że wydanie specjalne „Nowego Pompona”, datowane na rok 2019, ukazało się ponownie na papierze, w postaci wielkoformatowego magazynu ilustrowanego, o objętości zapewniającej lekturę na dość długi czas. Co najmniej na kwartał, jeśli nie na znacznie dłużej. Co nie powinno dziwić wobec podtytułu dumnie głoszącego, że mamy oto do czynienia z „Ostateczną wersją wiadomości”.

ABSURDY BEZ TABU

Śmiech, parsknięcie, gromki wybuch... Kontakt z zawartością „Nowego Pompona” może u odbiorcy wywołać najrozmaitsze reakcje ludyczne, ale z pewnością nie tak dziś popularny, bo wciąż usilnie podsycany, prostacki rechot. Owszem, rozbawienie, sarkastyczny chichot, niekiedy z szyderczą nutką. Albo niedowierzanie, że można aż tak... Nieraz wręcz zapowiedź świętego oburzenia, bo Janicki wraz kolegami nie znają żadnego tabu. Jeśli jednak czytelnik (i oglądacz, gdyż wydany tom jest również interesująco i gęsto ilustrowany) nie da się ponieść pierwszym emocjom, jeśli prześledzi zmyślnie – niczym zasadzka na pochopnego odbiorcę – ustawioną sekwencję kolejnych puent, to wnet dostrzeże, że w istocie jest całkiem inaczej, niż myślał, i że warto było tę wstępną reakcję odroczyć.

Tak, spokojny namysł naprawdę się przydaje, bo autorzy „Pompona” wypracowali własną metodę konstruowania tekstów, pozornie banalnych, które poprzez nagromadzenie piramidalnych nonsensów oraz obcesowe traktowanie językowych i myślowych przyzwyczajeń prowadzą do zaskakującego, niejednokrotnie brawurowego finału. Absurd? Tak, ale poprzez tropienie absurdów swojskich, codziennych, oswojonych, więc już niedostrzeganych. Tabu? Tutaj nie ma żadnego tabu: humor „Pompona” jest odważny, nie poddaje się restrykcjom politycznej poprawności, więc jest o Żydach, o Heglu, o Hitlerze, o zwolennikach aborcji, o kosmitach, o von Dänikenie, Zenonie z Elei, ale też o hejnale z wieży kościoła Mariackiego, rolniku z Michałowic, który miał niemleczną krowę, o psie Britney Spears i kapitanie niezatapialnego statku, który (kapitan, nie statek) utopił się w wannie.

ZAGINIONA FASTRYGA

Wiadomości magazynu, ale i telewizji „Nowy Pompon” (owszem, jest również telewizja, szczegóły w wydaniu specjalnym), zaczynają się niemal tak samo jak wiadomości z gazet, portali czy telewizyjnych programów informacyjnych. Nie bez kozery obecne wydanie „Pompona” jest dedykowane „Czytelnikom, którzy nie mają lepszego pomysłu na sensowne spędzanie czasu niż czytanie prasy codziennej”.

Rozwój wypadków idzie już jednak innym torem, nieraz radykalnie odmiennym niż w mediach mainstreamowych, bo zamiast przygnębienia wywołuje śmiech oraz inne pogodne nastroje. Kilka przykładowych tytułów powinno dać wyobrażenie, co oferują autorzy tej publikacji. „Nowy wynalazek ostatecznie zastąpi koło”; „Złapano sprawcę przyciągania ziemskiego”; „Władysław Łokietek pierwszym polskim speleologiem?”; „Wyrok śmierci zagraża egzystencji skazańca”; „Finlandia zsunęła się do morza”; „Astronomowie odkryli budę w konstelacji Psa”; „Znikł trójkąt bermudzki”; „Coraz więcej młodych par nie planuje małżeństwa, odwrotnie jest u par homoseksualnych”; „IKEA wycofuje się z produkcji kątów dla dzieci”.

Po tytułowym trzęsieniu ziemi napięcie zwykle narasta. Na przykład w zapowiedzi, że „Hitler zamierza napisać drugą część „Mein Kampf”, czytamy m.in. „»Noc długich noży« była jednak błędem – mówił

„Nowy Pompon”, wydanie specjalne: „Ostateczna wersja wiadomości”, Krzysztof Janicki, Marek Grabie, Krzysztof Niedźwiedzki, 2019

eprasa.pl 690fe9c854

RYS. MIROSŁAW DWICZAREK

Hitler. – Nie, żebym żałował wybicia tego całego pedalstwa w SA, ale część z nich to byli naprawdę świetni dowódcy. Ci dzisiejsi geje są kompletnie bez jaj i nie mają pojęcia o wojskowym drylu". Na koniec Hitler oświadczył, że wobec zakazu drukowania „Mein Kampf" w Niemczech na razie książka zostanie wydana w Polsce: „[...] Jestem już po rozmowach z wydawcą, który namawiał mnie, żebym coś wspomniał o polskim antysemityzmie. To powinno poprawić mój wizerunek. Heil!".

OJ, NIE MOGĘ SIĘ ZATRZYMAĆ

Autorzy „Pompona" penetrują też sferę wrażliwą dla ludzi wiary, której przykładem mogą być newsy: „Problem sukcesji w Królestwie Niebieskim" albo „Fiasko rozmów dwóch zwaśnionych zakonów ślubujących milczenie". Brak tabu nie oznacza jednak w tym przypadku ignorowania granic dobrego smaku, co tak często przytrafia się dziś kabareciarzom, i to bynajmniej nie jakimś pokątnym, amatorskim trupom, lecz niby współczesnym profesjonalistom, tak mocno obecnym w programach różnych stacji telewizyjnych.

Jeśli dowcip bardziej śmieszy, niż drażni światopoglądowo lub budzi niesmak swą obscenicznością, to jest akceptowalny. Takim, nieco intuicyjnym kryterium posługiwaliśmy się w smętnej epoce, która paradoksalnie sprzyjała produkcji „witzów", bo też dzięki nim można było lepiej przetrwać trudne czasy. I z czytelniczej próby z użyciem tego właśnie narzędzia „Nowy Pompon" wychodzi zdecydowanie zwycięsko. Rozbawia, rozluźnia, rozwesela, przy okazji skłaniając nieraz do refleksji.

Jeśli miałbym jakieś pretensje, to najwyżej o nieumiejętność zatrzymania się w chwili, gdy koncept jeszcze naprawdę śmieszy. Niech za przykład posłuży dowcip z okładki: „50 proc. Polaków nie zdaje sobie sprawy, że stanowi połowę społeczeństwa". Świetne! „87 proc. Polaków nie zdaje sobie sprawy, że nie jest połową społeczeństwa"... Żart przeciągnięty, zasługuje najwyżej na lekkie skrzywienie ust. „96 proc. Polaków w ogóle z niczego nie zdaje sobie sprawy". A to już nadużyte, nie śmieszy. W dodatku niesprawiedliwe. I jeszcze na okładce. Szkoda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Szpilka cesarzowej Sissi

Cmentarzysko kultury usiane jest nagrobkami twórców pochopnie okrzykniętych geniuszami. Czy László Nemes to kolejny przypadek artysty przereklamowanego?

Przyznaję – ja również byłem pod wrażeniem, nie tyle treści, ile formy „Syna Szawła". Węgierski debiutant pokazał koszmar Auschwitz w sposób „subiektywny". Kamera towarzyszyła członkom obozowego Sonderkommando, wpychającym ziomków do komór gazowych, lecz widzom oszczędzono pornografii śmierci. Obraz nie miał ostrości, tak jakby główny bohater był krótkowidzem, któremu jakiś wredny Niemiec zabrał okulary.

W „Schyłku dnia" Nemes zastosował ten sam manewr w scenerii zgoła odmiennej. Rzecz się dzieje w roku 1913, gdy Budapeszt uchodził za Paryż Wschodu, kobieta bez kapelusza była naga, zaś mężczyzna bez nakrycia głowy też tracił wiele na powadze. Kamera podąża śladem panny Irisz, modystki podejmującej pracę w firmie z tradycjami. Żona cesarza Franciszka Józefa, uwielbiana przez Węgrów Sissi, podczas zakupów zgubiła w sklepie szpilkę do włosów, której nikomu jak dotąd nie udało się znaleźć.

Irisz jest sierotą i zachowuje się jak somnambuliczka. Błądzi po skąpanej w świetle zachodzącego słońca metropolii w nadziei rozwikłania rodzinnej tajemnicy. Z każdą minutą atmosfera gęstnieje, a tych minut jest aż 144. Przypominają się „Oczy szeroko zamknięte" – łabędzi śpiew Stanleya Kubricka. Tam również mozolnie budowano nastrój zagrożenia, sugerując, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. Szarpanie nerwów oglądaczy okazało się jednak celem samym w sobie. Obiecane katharsis zniknęło w wiedeńskiej mgle.

U Nemesa „za odrobiną piękna kryje się bezmiar okrucieństwa". Ryba psuje się od głowy, zaś społeczeństwo od elit. Moralna rewolucja nadejść musi. Bunt wykluwa się na robotniczych przedmieściach, lecz na jego czele staną ekscelencje niemogące znieść degeneracji własnego środowiska. Belle époque zakończy swój płochy żywot w paroksyzmie przemocy.

Apokalipsa ma też wymiar bardziej konkretny. „Schyłek dnia" – jeden z tych filmów, których rozumem nie ogarniesz – aspiruje do miana requiem dla Austro-Węgier. Właśnie mija sto lat od rozbicia historycznego królestwa św. Stefana, sięgającego od tatrzańskich szczytów do adriatyckich wybrzeży, na państwa narodowe. Pierwsza wojna światowa, która dla nas była krwawym chrztem i zwiastunem zmartwychwstania, bratanków zepchnęła na dno upokorzenia.

Mniemam, że to nie koniec i węgierski specjalista od traum wyrastających z historii rozliczy także wiek XXI. Film mógłby nosić tytuł: „Orbán kontra Soros: decydujące starcie". Sukces gwarantowany. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. LÁSZLÓ NEMES
„SCHYŁEK DNIA" („NAPSZÁLLTA")
WĘGRY 2018

wyst. Juli Jakab, Vlad Ivanov, Marcin Czarnik

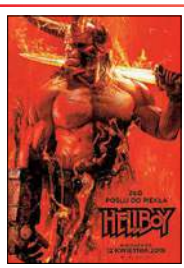

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „HELLBOY"

Hellboy to dziecię piekieł ściągnięte na świat nazistowskimi eksperymentami. Mimo tego ponurego pochodzenia służy siłom dobra, pomagając ludziom rozprawiać się z rozmaitymi nadnaturalnymi zagrożeniami. Bohater znany z komiksów Mike'a Mignoli gościł już na ekranie w dwóch filmach Guillermo del Toro. Szczególnie udany był ten drugi. Mimo to seria została zresetowana, a za jej nową wersję odpowiada Neil Marshall, reżyser takich filmów jak „Dog Soldiers", „Doomsday" czy „Centurion". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Hellboy", reż. Neil Marshall, wyst. David Harbour, Ian McShane, Milla Jovovich, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„After", reż. Jenny Gage, USA 2019***
- ***„Przypływ wiary", reż. Roxann Dawson, USA 2019***
- ***„Porwanie", reż. Frederik Meldal Nørgaard, Dania 2017***
- ***„Ocalić i zginąć", reż. Frédéric Tellier, Francja 2018***

eprasa.pl 690fe9c854

Mam wiersz!

Kryzys wieku średniego nie dotyczy tylko płci brzydkiej. Paniom, przekraczającym smugę cienia, również zdarza się popełniać głupstwa. Weźmy taką Lisę Spinelli. Ma wszystko, czego do szczęścia potrzeba: pracę, która ją kręci, i całkiem udaną rodzinę. Sęk w tym, że proza życia przestaje sfrustrowanej kobiecie wystarczać. Ona pragnie poezji. Trzeba trafu, jeden z podopiecznych egzaltowanej przedszkolanki okazuje się mistrzem układania haiku. Lisa odkrywa swoje posłannictwo: zostanie menedżerką pięciolatka, wbrew woli jego rodziny. Z cudownych dzieci zwykle wyrastają bezmyślni dorośli. Szkoła zabija oryginalność, otoczenie ściąga na manowce. Niedoszli geniusze dorośleją, tracą ciekawość świata. Uzależniają się od telefonów komórkowych, seksu, polityki i sklepowych wyprzedaży. Przedszkolanka chce oszczędzić Jimmy'emu takiego losu, lecz – dobrymi intencjami wybrukowane jest piekło. Maggie Gyllenhaal aktorskim talentem dorównuje bratu, tutaj zaliczyła prawdziwy benefis – ani na moment nie schodzi z ekranu. Podejrzewałem, że Lisa na koniec okaże się psychopatką i krew popłynie szeroką strugą. Na szczęście „Przedszkolankę" wymyślono na Bliskim Wschodzie, gdzie formatowanie produktu wciąż uważa się za diabelski wynalazek. ©℗

★★★★★★
REŻ. SARA COLANGELO
„PRZEDSZKOLANKA"
USA 2018

wyst. Maggie Gyllenhaal, Parker Sevak, Gael García Bernal

Wiesław Chełminiak

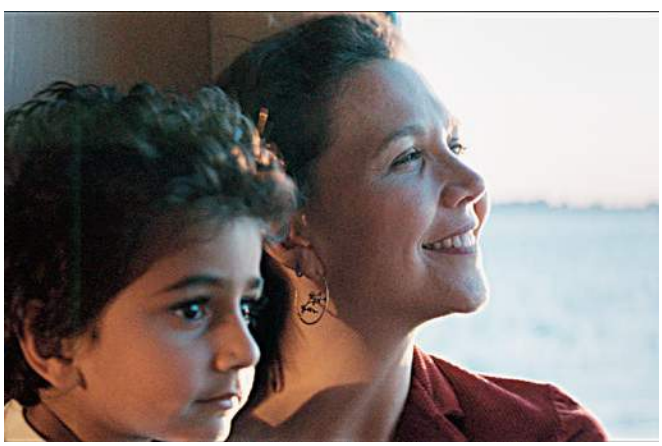

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TO, CO UTRACILIŚMY

Świetny „Pierwszy krok w kosmos" (1983) Philipa Kaufmana sławił heroizm i brawurę pierwszych pilotów maszyn naddźwiękowych oraz przyszłych kosmonautów. Było też o ciemnych stronach, ale rzadko, bo całość jednak miała nieco kowbojski wydźwięk. „Pierwszy człowiek" Damiena Chazelle'a (autora „La La Land") przypomina, jak wielkim, trudnym i często gorzkim wysiłkiem okupiony był sukces misji Apollo. Za kulisami propagandowych zdjęć fetowanych przez tłumy astronautów kryją się pot, krew, łzy, osobiste poświęcenie, walka z własnymi demonami. Udany lot na Księżyc był kosztownym cudem, spójrzmy, jak trudno dziś, przy o wiele bardziej zaawansowanej technologii, powtórzyć ten wyczyn. Chazelle nakręcił świetny, mroczny film, w którym Ryan Gosling jako Neil Armstrong stworzył mocną kreację, a Claire Foy w roli żony astronauty nie jest gorsza. To jeden z mocno niedocenionych filmów roku 2018. Cóż, nie afirmuje żadnej mniejszości, lecz opowiada o sukcesie cywilizacji białego człowieka. ©℗

★★★★★★
REŻ. DAMIEN CHAZELLE
„PIERWSZY CZŁOWIEK"
USA 2018, FILMOSTRADA

wyst. Ryan Gosling, Claire Foy, Jason Clarke

PARSZYWA PIĄTKA

Piątka armijnych weteranów wyrusza do Ameryki Południowej, by zabić narkotykowego barona i ukraść jego fortunę. To przedsięwzięcie prywatne: wszyscy klepią biedę, zysk zapowiada się spory, a ofiary nikt żałował nie będzie. Opowieść o skoku na fortecę w dżungli zamienia się w przypowieść o gorączce złota, bo ukradzione dolary mają hipnotyzującą moc. Obsada jest kapitalna, ale tempo nierówne, niespecjalnie też mamy czas, by poznać i polubić naszych bohaterów. J.C. Chandor, autor świetnej „Chciwości" i intrygującej metafory „Wszystko stracone" (z Redfordem), tym razem odnosi umiarkowany sukces. Jak wiele produkcji Netflixa jest to film „pomiędzy" – ani to emocjonujące kino, ani bolesny dramat. Najciekawsza jest tu sugestia, że czynienie złych rzeczy można sobie wybaczyć, gdy robi się to w imię wyższych celów, inaczej jesteś po prostu zwykłym bandziorem. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★★★★
REŻ. J.C. CHANDOR
„POTRÓJNA GRANICA"
USA 2019, NETFLIX

wyst. Ben Affleck, Charlie Hunnam, Oscar Isaac, Pedro Pascal

GRA TYGODNIA: „GENERATION ZERO" ★★★★★★

A co by powiedzieli państwo na wyprawę na szwedzką prowincję Anno Domini 1989? Że melancholijne plenery i nic się nie dzieje? Być może. Jednak jeżeli dodamy do tego inwazję przypominających koparki, dźwigi i miechy robotów? Możliwość połączenia sił z trzema innymi graczami, masę broni, otwarty świat, rozbudowaną sztuczną inteligencję przeciwników, których pokonywać trzeba – jak na potężne maszyny przystało – czujnik po czujniku, zużywają na nie pokaźny arsenał. Taki jest w skrócie klimat „Generation Zero". Produkcji ciekawej, ale graficznie dosyć przeciętnej, a dla jednego gracza – wymagającej i powtarzalnej. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Avalanche Studios/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl 690fe9c854

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Kartka po Różewiczu

Pięć lat temu zmarł Tadeusz Różewicz. Miał 92 lata. Przed laty pisał o tym, jak przeżył śmierć ówczesnego nestora poezji polskiej, Leopolda Staffa. I nagle zorientował się, że wspomina tego „starego poetę", będąc w jego wieku.

Sytuacja Jana Polkowskiego, autora „Rozmów z Różewiczem", nie jest bliźniacza, aczkolwiek porównania nasuwają się same. Twórca tomu „To nie jest poezja", pierwszy poeta debiutujący poza cenzurą PRL – od razu w drugim obiegu, rozmawiając dziś z autorem „Niepokoju", ma lat 66.

Z Różewiczem dzieli Polkowskiego niemało, a przecież ten ich dialog – choć jest w istocie sporem, i to zaciętym – prowadzony jest w uprzejmej tonacji, a Polkowski wykazuje wobec zmarłego poety daleko idącą rewerencję.

Jednak – na co zwraca uwagę w posłowiu do „Rozmów z Różewiczem" Józef Maria Ruszar – „nawet pełne miłości i przyjaźni wypowiedzi Różewicza o Leopoldzie Staffie wypełnione są ukrytą i jawną polemiką, Różewicz złośliwie komentował metafizyczne skłonności Miłosza, a Polkowski – mimo rewerencji i podziwu – nie może nie spierać się z Różewiczem". Z powodów, które pozwolę sobie nazwać zasadniczymi. Zbyt wiele bowiem – cytuję dalej Ruszara – „dzieliło młodego i zapalczywego poetę, którego antykomunizm spowodował, że został pierwszym poetą debiutującym poza cenzurą PRL, od starego poety związanego z »Polską lubelską«, nazywanego w latach 50. »najmłodszym klasykiem«, a który w latach 60. roztrząsał dylematy konsumpcjonistycznej cywilizacji przesytu na Zachodzie, podczas gdy inni buntowali się przeciwko brakowi wolności na Wschodzie. Takie rany długo się goją". Powiedziałbym wręcz, że o zagojeniu ich nie ma mowy. Dość wczytać się w ten dialog, rozpoczęty dawnym wierszem Tadeusza Różewicza z tomu „Pięć poematów" z 1950 r. – „Nie kładź mi rąk na sercu":

I
Nie kładź mi rąk na głowie
nie kładź mi rąk na ustach
na oczach i na sercu
nie kładź mi rąk na sercu

W gromadzie Ciążeniec
zatłukli na śmierć kijami
Leona Maciejewskiego
komunistę
II
Walili go po głowie
walili go po ustach
po oczach i po sercu

zła krew mówili

potem ręce umyli
plamy z ubrań wytarli
i myśleli że krew
zmyli że tak łatwo zmywa się krew
III
Nie kładź mi rąk na głowie
nie kładź mi rąk na ustach
na oczach i na sercu
Nie kładź mi rąk na sercu.

Tamten wiersz wziął się z artykułu w „Dzienniku Polskim" z 27 listopada 1948 r. pt. „Banda reakcyjna zamordowała działacza wiejskiego PPR": „Ofiarą napaści bandy reakcyjnej padł zasłużony działacz wiejski PPR, Maciejewski, rolnik z gromady Ciążeniec, pow. konińskiego. Ob. Maciejewski, jako pełnomocnik gminy powracał w tych dniach do domu z walnego zebrania gromadzkiego. Po drodze napadnięty został przez bandę reakcyjną i pobity do utraty przytomności. Skatowany przez bandytów dowlókł się, po odzyskaniu przytomności do domu i tam skonał. Ob. Maciejewski liczył lat 54. Pozostawił żonę i 5 nieletnich dzieci".

Replika Jana Polkowskiego „Kładę głowę na ziemi", zbudowana została – czytamy – „z obrazów przypominających śmierć, więzienie lub tortury milionów ofiar komunizmu (»nowego świata«), bez których nie można sobie wyobrazić fundamentów dzisiejszej wolnej Polski i innych postkomunistycznych krajów naszego globu":

***

Kładę głowę na ziemi
w celi zamykam przyszłość
ryję pod cudzym grobem
pod zmarzliną milczenia
szukam guzików i zębów
z których zbuduję dom

Kładę głowę na śmieciach
rośnie z żyznych piszczeli
los lat i smród słów
Dziurawe czaszki rodzą
lepią z prochów dzieci
Niewinne ręce pokoleń
zbierają wapno wiary
w potoczystą niepamięć

Nicość kość kładzie na kości
z kości wypada kula
pięści marzenia kata
szuka nowego świata.

„Rozmowy..." to inspirujący tom, przydatny i do pogłębienia znajomości twórczości Polkowskiego, i do interpretacji, wydawałoby się, nieźle znanych utworów Różewicza. Poety, w gruncie rzeczy obcego twórcy „Cantus", a przecież odwołującego się do jego poezji wprost w otwierającym tom wierszu „Stary poeta w grubych szkłach":

Stary poeta w papierowych butach
umierającej od pół wieku
matki wychodzi do kuchni
Arkadii Czyśćca Zebrzydowic
wsiada do zepsutej windy wieczności
umywa ręce
Razem z Witkacym
odchodzi
w nic
Zostaje pusta kartka
żadnego znaku
żadnego pokarmu
bezradny anioł
uśmiechu siada na niej
jak testament. ©℗

★★★★★★

JAN POLKOWSKI „ROZMOWY Z RÓŻEWICZEM" PWM EDITION, „BIBLIOTEKA »NAPISU«" 2018

eprasa.pl 690fe9c854

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Umrzeć w Zakopanem

Zakopane stolicą polskiej zbrodni? Nie przesadzajmy. Prawda, czasem strzelają się tam różne Kiełbasy, Marchewy czy inne polskie gangusy. Ale na co dzień największymi zbrodniami popełnianymi w tamtych okolicach są występki przeciw dobremu smakowi, czego dowodem pstrokacizna szyldów i rozmaite architektoniczne wynalazki. Tak się jednak składa, że w stercie kryminalnych nowości wyłuskałem dwie pozycje zakopiańskiej crime fiction. No więc czytam.

„Giełda milionerów" Mariusza Koperskiego to nowa powieść z komisarzem Karpielem. Poprzedniej („Po własnych śladach") nie odnotowałem, bo zdała mi się zbyt przekombinowana i chaotyczna. „Giełda milionerów" jest bardziej spójna, choć też wymaga od czytelnika dużej wyrozumiałości, przyjęcia paru rzeczy na wiarę. Miejski aktywista zostaje zabity w biurze prywatnej fundacji prowadzonej przez ludzi bardzo zamożnych, uważanych przez lokalnych urzędników za nieuczciwą konkurencję: dają za wiele i zbyt często, a przecież kto steruje pieniędzmi, ten ma władzę. Zatem: próba kompromitacji, osobiste porachunki, a może coś jeszcze? Trochę ciekawych obserwacji obyczajowych z życia Zakopanego i niezbyt oryginalny pomysł życia udającego teatr udający życie to za mało, by uznać tę książkę za w pełni udaną. OK, przyznam też od razu: tam, gdzie autor żałuje, że nowa władza odsuwa od policyjnej roboty weteranów ZOMO i MO, moja sympatia jest po stronie władzy, a nie autora.

Druga historia wiedzie nas w przeszłość. „Sprawa Hoffmanowej" to bowiem kryminał retro, choć, jak to często bywa, więcej tu historii obyczajowej niż czystego kryminału. Mamy więc trupy (nawet trzy) znalezione w Tatrach i tajemnicę związaną nie tylko z samymi zgonami, lecz także przede wszystkim z główną bohaterką, na którą opinia publiczna wydaje wyrok „winna", zanim ktokolwiek pozna podstawowe fakty. No, ale skoro jednym ze zmarłych jest mąż, a w tle da się dostrzec romans, to sprawa wydaje się jasna. „Sprawa Hoffmanowej" wpisuje się więc w rewanżystowski nurt feministyczny (galeria podłych facetów jest w tej książce spora), jest za to nieźle napisana. ©℗

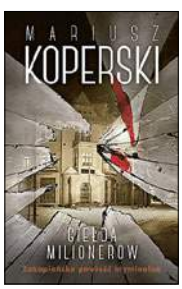

★★★☆☆☆
MARIUSZ KOPERSKI „GIEŁDA MILIONERÓW" MUZA 2019

★★★★☆☆
KATARZYNA ZYSKOWSKA „SPRAWA HOFFMANOWEJ" ZNAK 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Strategia, taktyka, kampanie, od wojen cesarza Justyniana po starcia z Seldżukami. Świetne wprowadzenie w temat. Polski czytelnik zna już Haldona z dwóch innych książek: „Bizancjum: zarys dziejów" i „Upadek Konstantynopola".

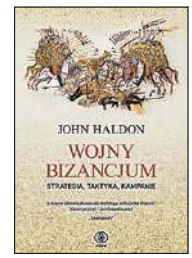

JOHN HALDON „WOJNY BIZANCJUM" REBIS

Nowa książka uznanego autora non-fiction („Helikopter w ogniu", „Polowanie na Escobara"). Tytuł oryginału bardziej wymowny od polskiego: „Punkt zwrotny amerykańskiej wojny w Wietnamie". Rzecz o najkrwawszej bitwie konfliktu.

MARK BOWDEN „HUE 1968: WIETNAM WE KRWI" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Potężne przedsięwzięcie powieściowe: w formie fikcji literackiej przybliżyć dzieje Rzeczypospolitej tuż przed upadkiem i rozbiorami. Fabuła na ponad tysiąc stron, wsparta obszernym aneksem z biogramami znanych z historii bohaterów.

STANISŁAW ZAŁUSKI „POZOSTAŁ BÓG I HONOR" BERNARDINUM

Debiut Dicka z roku 1955 mimo upływu czasu wciąż pozostaje świeży, zaskakujący i inspirujący. Klasyka SF ze wstępem Jarosława Grzędowicza, cenne uzupełnienie rebisowskiej serii dzieł amerykańskiego fantasty. ©℗ *poleca Piotr Gociek*

PHILIP K. DICK „SŁONECZNA LOTERIA" REBIS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Umorzenie" (Czwarta Strona) – dziewiąty tom kryminalnej serii o prokurator Joannie Chyłce (ostatnio znanej też z serialu TVN).***
2. ***Michelle Obama „Becoming. Moja historia" (Agora) – autobiografia byłej pierwszej damy, żony prezydenta USA Baracka Obamy.***
3. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
4. ***B.A. Paris „Pozwól mi wrócić" (Albatros) – nowa powieść autorki thrillerów psychologicznych „Za zamkniętymi drzwiami" oraz „Na skraju załamania".***
5. ***Cezary Gutowski, Aldona Marciniak „Niezniszczalny" (Axel Springer) – po ośmiu latach przerwy Robert Kubica wraca do Formuły 1. Oto jego historia.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 4 do 17 marca 2019 r.)

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Skandal czy przypomnienie?

Ubrani w pasiaki, z pętlami na szyjach, w oczekiwaniu na egzekucję wystąpili muzycy niemieckiego zespołu Rammstein w zwiastunie zapowiadającym teledysk do piosenki „Deutschland". Pół minuty wywołało skandal. „Rammstein wykorzystuje w celach rozrywkowych cierpienie i mord milionów ludzi, co jest lekkomyślne i obrzydliwe" – oceniała Charlotte Knobloch, ocalała z Holokaustu i była przewodnicząca Centralnej Rady Żydów w Niemczech. Felix Klein, pełnomocnik niemieckiego rządu ds. walki z antysemityzmem: „Taka inscenizacja jako skazanych na śmierć więźniów obozu koncentracyjnego jest przekroczeniem czerwonej linii. […] Jeśli ma to tylko napędzić sprzedaż, to jest niesmacznym wykorzystaniem wolności artystycznej".

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że wybranie akurat tego fragmentu na zapowiedź premiery teledysku miało wywołać kontrowersje. To strategia, która Rammsteinowi zawsze się sprawdzała. Czym głośniej było o zespole, który oskarżano w przeszłości m.in. o promowanie sadomasochizmu, tym dla słuchalności, oglądalności i frekwencji na koncertach lepiej.

Jednak nie wszyscy klip będący podróżą przez historię Niemiec, bez omijania najmroczniejszych jej obszarów, potępiają w czambuł. Iris Rosenberg, rzeczniczka Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie: „Yad Vashem nie krytykuje generalnie prac artystycznych przypominających o Holokauście. Pełen szacunku sposób prezentacji może być uzasadniony. Prezentacja nie może jednak obrażać, dyskredytować ani bezcześcić pamięci o Holokauście i nie być tylko »zwykłym narzędziem« wykorzystanym do przyciągnięcia uwagi". Również w Polsce odezwały się głosy chwalące niemiecki zespół za przypomnienie, kto stworzył przemysł śmierci. I to mimo tego, że w role niemieckich żołnierzy z czasów I i II wojny światowej wcielili się w większości Polacy z naszych grup rekonstrukcyjnych.

Teledysk jest majstersztykiem, który przejdzie do historii muzyki. Piosenka kontrowersyjna nawet w oderwaniu od brutalnego wideo. Opowiada o miłości do własnego kraju, mimo tak haniebnych momentów w historii („Chcę cię kochać i potępić"). A wyśpiewana ostro parafraza fragmentu usuniętego z hymnu naszych sąsiadów – „Deutschland, Deutschland über allen" („allen" u zespołu Rammstein zamiast „alles" z oryginału) – sprawia, że po plecach przebiega zimny dreszcz. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Udany eksperyment

Arcydzieło „Symfonię pieśni żałosnych" Henryk Górecki skomponował w 1976 r. 16 lat później album nagrany przez London Sinfoniettę pod batutą Davida Zinmana doszedł do szóstego miejsca brytyjskiej listy pop, wyprzedzając m.in. solowy album Micka Jaggera! Płyta osiągnęła milionowy nakład i jest do dziś najpopularniejszym albumem muzyki współczesnej.

Czternastą wersję płytową wspaniale zarejestrowała Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia w Katowicach, którą dyrygował Krzysztof Penderecki. Jest to jednak pierwsze wykonanie zaśpiewane nie przez klasycznie szkoloną sopranistkę, lecz wokalistkę rockową. Beth Gibbons z cenionego zespołu Portishead nie mówi po polsku i nie czyta nut. Siłą rzeczy pracowała z partyturą napisaną fonetycznie.

Mimo ograniczeń wokalnych (Beth jest kontraltem) Brytyjka wyszła z arcytrudnego zadania obronną ręką. Oczywiście trudno porównywać jej śpiew do Dawn Upshaw, ale jej interpretacja jest autentycznie emocjonalna. W pierwszej części jej głos jest zbyt oszczędny, ale w trakcie kolejnych partii nabiera kolorytu i intensywności, nadając dziełu poświęconemu śmierciom bliskich osób niezbędnego człowieczeństwa. ©℗

★★★★★☆

BETH GIBBONS/ KRZYSZTOF PENDERECKI „HENRYK GÓRECKI – SYMPHONY OF SORROWFUL SONGS" DOMINO

★★★★★☆

RA'ANAN CHELLED „W BOCZNEJ ULICY" IN ROCK

100 biografii mało i całkiem nieznanych (m.in. z Filipin i Rumunii) zespołów tworzących w latach 1968–1976. Niezbędnik dla wielbicieli bluesa, hard rocka, progresji, psychodelii, którzy szukają nowych wrażeń. Dobrze napisane i zacnie wydane.

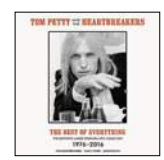

★★★★★☆

TOM PETTY „THE BEST OF EVERYTHING" GEFFEN

Dwukompaktowa składanka wybitnego amerykańskiego rockmana tragicznie zmarłego dwa lata temu. Solowe nagrania, duet ze Stevie Nicks oraz hity z zespołami The Heartbreakers i Mudcrutch. Jako bonus premierowa piosenka „For Real". ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

"Przepełniony autentycznością i rozbrajająco szczery"
ScreenDaily

"Przepiękna, rozdzierająca i przyprawiająca o bicie serca opowieść"
Screen Anarchy

A DESERT HIGHWAY PICTURES PRODUCTION

FILM A.B. SHAWKY'ego

YOMEDDINE
PODRÓŻ ŻYCIA

راضى جمال
RADY GAMAL

أحمد عبد الحفيظ
AHMED ABDELHAFIZ

CANNES 2018
NOMINACJA
DO ZŁOTEJ PALMY

A DESERT HIGHWAY PICTURES PRODUCTION IN ASSOCIATION WITH FILM CLINIC INTERNATIONAL SALES WILD BUNCH A FILM BY A.B. SHAWKY "YOMEDDINE" WITH RADY GAMAL AHMED ABDELHAFIZ CINEMATOGRAPHY FEDERICO CESCA PPODUCTION DESIGN LAURA MOSS ORIGINAL SCORE BY OMAR FADEL EDITED BY ERIN GREENWELL EXECUTIVE PRODUCER ELISABETH SHAWKY-ARNEITZ AHMED SHAWKY ALI BAGHDADI GILL HOLLAND A.B. SHAWKY MICHEL MERKT ASSOCIATE PRODUCER DANIEL ZISKIND CO-PRODUCER MOHAMED SAKR CO-PRODUCER MOHAMED HEFZY PRODUCED BY DINA EMAM WRITTEN AND DIRECTED BY A.B. SHAWKY

TRIBECA FILM INSTITUTE · FILM MAKER AWARD · NYU PRODUCTION LAB · wild bunch

W KINACH OD 5 KWIETNIA

PMPG POLSKIE MEDIA

eprasa.pl 690fe9c854

Z Érikiem Zemmourem, francuskim pisarzem i publicystą „Le Figaro"
rozmawia Krzysztof Tyszka-Drozdowski

Francja mimo wszystko

KRZYSZTOF TYSZKA-DROZDOWSKI: Czy współczesny Francuz, współczesny francuski patriota mógłby powiedzieć tak jak marszałek Lyautey na łożu śmierci: „Umieram na Francję!"?

ÉRIC ZEMMOUR: Ach, nie znałem tego cytatu, jest bardzo piękny. Naprawdę piękne zdanie. Tak, francuski patriota mógłby dzisiaj coś takiego powiedzieć. Nie wiem, w jakich okolicznościach wypowiedział on to zdanie, ale rzeczywiście ktoś, kto jest dzisiaj francuskim patriotą, ma powody do niepokoju, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że Francja to kraj, jak powiedział de Gaulle, niezwykłych zwycięstw i miażdżących klęsk. Jesteśmy teraz w okresie schyłku, powiedziałbym nawet dekadencji, w okresie rozpadu. Nigdy naród francuski nie był tak podzielony jak dzisiaj, nigdy nie było tak straszliwego konfliktu między zwykłymi Francuzami, „ludem" a elitą. Z przedmieść wyrasta jakiś nowy, zislamizowany lud pośród narodu francuskiego, to sytuacja dość niezwykła i brzemienna w skutki.

Czy Francja ma ciągle „najgłupszą prawicę na świecie"?

Bez wątpienia. To wyrażenie, „najgłupsza prawica na świecie", trzeba dobrze rozumieć. Jeżeli czytał pan moją książkę, to wie pan, że poświęciłem cały rozdział nieudanej próbie przywrócenia monarchii przez hrabiego Chambord. Opisuję, jak lewica przyjęła rolę sędziego, który ocenia,

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. AP/EAST NEWS

kto jest dobrym republikaninem, a kto nie, i dzieli w ten sposób prawicę. Prawica we Francji musi prosić lewicę o pozwolenie, aby mogła myśleć i działać. Na tym polega dramat francuskiej prawicy, że nigdy nie czuje się ona prawomocna. Natomiast lewica jest zawsze prawomocna, bez względu na to, co by robiła, choćby nas prowadziła w najgorsze. Prawica ciągle prosi lewicę o pozwolenie. Dawniej prawica była podzielona na prawicę legitymistyczną, orleańską i bonapartystowską. I dzisiaj to wraca, mamy Front Narodowy, Les Républicains i listę Dupont-Aignana, podczas gdy trzy czwarte tych ludzi myśli to samo. Mogliby, powinni się zjednoczyć w jakąś unię prawicową, unię dla Francji czy jakkolwiek zechcemy to nazwać. Fakt, że Front Narodowy nie posiada sojusznika z prawicy bardziej klasycznej, mieszczańskiej, stanowi główną przyczynę tego, co nazywam wielkim impasem w polityce francuskiej.

Jest pan jednym z nielicznych intelektualistów, którzy odwołują się pozytywnie do pojęcia populizmu. Czym jest dla pana populizm?

To bardzo proste. W słowie „populizm" mamy „lud" (le peuple). To nie przypadek, że to elity uniwersyteckie, medialne, dziennikarskie, polityczne i ekonomiczne stworzyły to pojęcie, aby wyrzucić poza nawias, aby wyrazić swoją pogardę wobec ruchu, który wyłonił się z klas ludowych. Populizm to krzyk narodów europejskich, które nie chcą umierać. Narodom europejskim grozi śmierć. Globalizacja stanowiła potworny cios dla europejskich narodów, z dwóch powodów. Po pierwsze, bo pozwoliła na wytworzenie klas średnich wyższych w krajach pozaeuropejskich, jak np. w Chinach, a przy tym zubożyła Europę. Z Polski tak tego nie widać, bo nawias komunistyczny w waszej historii was zubożył i przeżywacie okres doganiania, ale na Zachodzie, gdzie nie było komunizmu, był za to rozkwit lat 50., 60., 70., widzimy, i stąd bierze się w dużej mierze zjawisko „żółtych kamizelek", że cała kategoria ludzi, którzy zostali włączeni w klasę średnią w latach 60. i 70., cała ta kategoria ludzi została zdeklasowana, postępuje jej prekaryzacja, proletaryzacja. Globalizacja wywołała rozpad tej klasy średniej. Dezindustrializacja wywołała jej rozpad we Francji (choć nie w Niemczech), co pociągnęło za sobą takie zjawiska jak masowe bezrobocie. Po drugie, na płaszczyźnie tożsamości, w planie duchowym, Francja również uległa rozpadowi. Naród to obyczaje, nawyki, pewien sposób bycia, to przeszłość, to bohaterowie, to zdolność do współżycia, wszystko, o czym pisze Renan w „Czym jest naród?". Wraz z masową imigracją z globalnego południa, w przeważającej mierze imigracją muzułmańską, z całkowicie inną cywilizacją i religią, z całkowicie innymi obyczajami i nawykami, wraz z tą obcą cywilizacją ściągniętą na francuskie terytorium za zgodą i przy współudziale elit, najpierw ekonomicznych, potem medialnych, następnie akademickich i politycznych, naród francuski został wypędzony z przedmieść, z centrów miast itd. Na tym polegają „żółte kamizelki", o których mówi dziś cała Europa. Ci ludzie zostali przepędzeni, to przegrani globalizacji.

Czy Emmanuel Todd ma rację, gdy mówi, że tłem macronizmu jest poczucie wstydu z bycia Francuzem?

Po części ma rację. Czym jest macronizm? To sojusz burżuazji.

Ludwik Filip.

Tak jest, czytał pan moją książkę. Ludwik Filip, czyli sojusz burżuazji prawicowej i burżuazji lewicowej, w kontrze do opozycji z prawa i lewa, do skrajnej prawicy i skrajnej lewicy. Za Ludwika Filipa na skrajnej prawicy był Karol X, a na skrajnej lewicy republikanie. Dzisiaj byśmy powiedzieli: Marine Le Pen i Mélenchon. A pośrodku mamy blok burżuazji. Ten blok, lewicowa i prawicowa burżuazja złączona sojuszem, to właśnie macronizm, to właśnie Macron. Druga kwestia, bliższa tego, co mówi Todd, to zagadnienie francuskich elit – moim zdaniem to zaczyna się w 1815 r. – które mają za złe narodowi, że nie przeszedł na protestantyzm, że Francuzi pozostali katolikami. Mają za złe narodowi, że nie chciał się stać protestancki. To ciągnie się przez cały XIX w., Guizot to mówi, mówi to Renan. W XX w. już tego głośno nie mówią, lecz nadal tak myślą. Gdy Macron jedzie do Skandynawii i mówi, że z jednej strony mamy protestantów, którzy rozumieją potrzebę reform, a po drugiej stronie „opornych Galów", którzy nic nie rozumieją, to ma na myśli dokładnie to samo co tamci. Renan napisze po klęsce z 1870 r., że nigdy żaden naród katolicki nie pokona narodu protestanckiego, bo katolicyzm wychowuje ludzi mniej inteligentnych niż protestantyzm. Pisze to czarno na białym! Macron mówi dokładnie to samo. Gdy królowie francuscy zrozumieli, że państwa protestanckie rosną w siłę, tak jak Anglia czy Holandia w wiekach XVI i XVII, w pierwszym odruchu chcą się z nimi mierzyć. To Richelieu, La Rochelle, to Ludwik XIV, który przepędził protestantów z Francji i toczy wojnę z Anglikami i Holendrami. Od 1715 r., a szczególnie po wojnie stuletniej, gdy przegrywamy z Anglią i Prusami, potęgami protestanckimi, a potem po 1815 r., gdy znów przegrywamy pod Waterloo z Blücherem, pruskim protestantem, i Wellingtonem, wtedy francuskie elity dochodzą do wniosku, że wina leży po stronie narodu, który nie przyjął protestantyzmu, co dałoby naród

eprasa.pl 690fe9c854

bardziej inteligentny, kulturalny i zdolny do panowania nad Europą. To się ciągnie aż po dziś dzień.

Czym jest ta fascynacja Niemcami? Z jednej strony, jak pan czytał, odnosi się ona do niemieckiej kultury, literatury, filozofii, mamy to u pani de Staël. Jednak jest też coś więcej, ta fascynacja protestanckim narodem, który pracuje, oszczędza, eksportuje, który nie jest narodem „opornych Galów", jak ujął to Macron. Sądzę, że to stanowi głębokie źródło tego konfliktu, jaki rozgorzał między ludem a elitami, to ten stary spór wychodzi na wierzch.

Czy przypomina pan sobie artykuł Valéry'ego Giscarda d'Estaing z „Le Figaro", to było w latach 90...

„Imigracja czy inwazja".

... czy pana zdaniem nadal mamy do czynienia z imigracją, czy już możemy mówić o inwazji?

Przede wszystkim Valéry Giscard d'Estaing jest tu w niezręcznym położeniu, bo to on uruchomił tę inwazję. Parę miesięcy temu sam przyznał, że był to największy błąd jego życia. Łączenie rodzin stanowi tragiczny błąd. Uważam, że to najgorsza decyzja polityczna powojennej Francji. Oznacza to, że nie mamy już do czynienia z imigracją zarobkową, lecz z zaludnianiem, z kobietami, z dziećmi, co powiększyło znacznie część nieaktywnej zawodowo populacji we Francji. Z dnia na dzień powiększa się na naszym terytorium populacja, która nie chce mieć nic wspólnego z francuską cywilizacją, tym bardziej że ta populacja postrzega naszą cywilizację jako zdemoralizowaną. Ta populacja broni swojego boga, świętych tekstów, narzuca szariat na przedmieściach i w centrach miast, czyli prawa religijne, co skończy się, jak mówił poprzednik Macrona, Hollande, rozbiorami.

Czy przyszłość Europy będzie wyglądać tak, jak odmalował ją pan w „Mélancolie française": z jednej strony globalistyczna elita, mówiąca i myśląca po angielsku, a z drugiej zislamizowany lumpenproletariat?

Ależ tak! Już tak jest. Mamy jeszcze trzecią Francję, Francję „żółtych kamizelek", czyli Francję francuską, francuskich klas ludowych, rodowitych Francuzów albo Francuzów, którzy się zasymilowali, pochodzenia europejskiego itd.

Jak pan może zauważył, pośród „żółtych kamizelek" nie ma ludzi pochodzących z imigracji muzułmańskiej i afrykańskiej. To fakt, który rzuca się w oczy. Jak zatem pan widzi, są trzy Francje. Można to

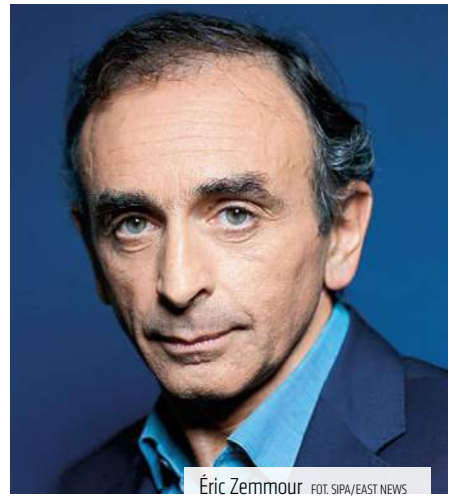

Éric Zemmour FOT. SIPA/EAST NEWS

ściągnąć do dwóch. Mamy Francję metropolii z kosmopolityczną elitą i muzułmańskimi przedmieściami, i Francję peryferyjną, Francję, gdzie żyje francuski lud. I te trzy Francje nie rozumieją się, pałają do siebie nienawiścią i pogardą. Współczesny dramat francuski polega właśnie na tym.

Napisał pan również książkę o feminizacji społeczeństwa. Pisze pan, że mężczyźni przyznali wyższość wartościom kobiecym nad wartościami męskimi. Zauważa pan również, że to zjawisko wiąże się z kapitalizmem, który marzy o człowieku wyzutym z tożsamości, wykorzenionym, bez płci...

Tak, o konsumencie. Najlepszym konsumentem jest kobieta. Kapitalizm dąży do tego, aby wszystkich przekształcić w konsumentki, feminizacja społeczeństw zachodnich stanowi żywotny interes kapitalizmu. Mamy do czynienia z sojuszem feminizmu i kapitalizmu, którego celem jest oddzielenie kobiet od mężczyzn i który przypuszcza atak na białego, heteroseksualnego mężczyznę. Mamy do czynienia z prawdziwą wojną toczoną przeciw białym, heteroseksualnym mężczyznom. Gdy mężczyźni nie są biali, gdy nie są heteroseksualni, łatwiej im o akceptację ze strony ruchu feministycznego. Wzięli sobie na celownik białych, heteroseksualnych mężczyzn. I znowu wracamy do „żółtych kamizelek". Chodzi o nienawiść do białej klasy robotniczej, o „prolofobię". Rzecz jasna, mężczyźni z Afryki czy muzułmanie nie są traktowani w ten sam sposób, ich męskość może się wyrażać i nie być atakowana czy diabolizowana w przestrzeni publicznej. Na przykład raperzy. Albo – jak pan pamięta – gdy mieliśmy skandal gwałtów w Kolonii, wszyscy siedzieli cicho. Nigdy nie mówi się o tym, skąd biorą się napaści na homoseksualistów, bo należy zdać sobie sprawę, że napastnicy zawsze pochodzą z tych samych miejsc, wywodzą się z jednej kultury. Z drugiej strony biedak, który powie jakieś świństwo albo położy dłoń na czyimś pośladku, traktowany jest jak zbrodniarz i nazista. Stosuje się w debacie publicznej ciągle dwie miary. Tłumaczę to w rozdziale o Simone de Beauvoir.

Ostatnie pytanie. To pytanie Alain Peyrefitte postawił gen. de Gaulle'owi, chciałbym jednak zastrzec, że nie może pan odpowiedzieć tak jak de Gaulle. Czy Francja istnieć będzie zawsze?

Ach. To bardzo dobre pytanie, ma pan rację. Czy Francja... To zależy od tego, co rozumiemy przez „Francję". Możemy mieć do czynienia z republiką, która będzie z nazwy „francuska", lecz z populacją, która nie będzie miała wiele wspólnego z narodem francuskim, a więc nie byłaby to już Francja. Myślę, że Francja będzie istnieć. Cytował pan de Gaulle'a, zna pan na pewno tę formułę, również wypowiedzianą przed Peyrefitte'em: Czym jest Francja? De Gaulle mówi, że to dobrze, że mamy żółtych, czarnych i śniadych Francuzów, ale muszą pozostać mniejszością, w przeciwnym wypadku nie będzie to już Francja, ponieważ jesteśmy narodem rasy białej, wiary katolickiej i kultury greckorzymskiej. Jeżeli większość Francuzów przestanie być rasy białej, wiary katolickiej i kultury grecko-rzymskiej, nie będzie to już Francja. Można wtedy zachować etykietę, lecz nie będzie to to samo, nie będzie więcej Francji. To dlatego należy walczyć, żeby Francja była Francją, mimo wszystko. Jeszcze nie zwyciężyliśmy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pełny tekst rozmowy Krzysztofa Tyszki-Drozdowskiego z Érikiem Zemmourem ukazał się w najnowszym numerze dwumiesięcznika „Arcana" (nr 145–146).

eprasa.pl 690fe9c854

NIESPOTYKANE BOHATERSTWO!

DZIECI I MŁODZIEŻ NA BARYKADACH LWOWA 1918–1919

PREMIERA

192 str.,
20 x 25 cm,
papier kredowy
135 g,
160 zdjęć,
twarda oprawa,
lakierowana
obwoluta

Cena detal. 82,95 zł

Z TEGO 10 zł NA BUDOWĘ POMNIKA ORLĄT LWOWSKICH W KRAKOWIE

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY" **KSIĄŻKA 35% TANIEJ!** WEJDŹ NA STRONĘ **WWW.BIALYKRUK.PL** I WYKORZYSTAJ KOD RABATOWY **DORZECZY35**

ZAMÓWIENIA: 12/260 32 90, 12/254 56 26, 12/254 56 19 lub e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl

Przy zamówieniu powyżej 120 zł koszty przesyłki (14 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl 690fe9c854

Z Piotrem Liroyem-Marcem, posłem, jednym z liderów Konfederacji
rozmawia Wojciech Wybranowski

Polska jest traktowana jak przed zaborami

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Kandyduje pan z Wielkopolski, choć jeszcze jakiś czas temu nie należał pan do ulubieńców wielu Wielkopolan. W latach 90. powstała bardzo tam popularna ostra piosenka o panu: „AntyLiroy" autorstwa innej z gwiazd polskiego rapu...

PIOTR LIROY-MARZEC: To jest taka półprawda, czyli cała nieprawda. Wielkopolska zawsze była drugim regionem po Świętokrzyskiem, gdzie moje płyty się najlepiej sprzedawały. Taka jest specyfika rapu. Jestem raperem bitewnym, jedni się ze mną zgadzają, inni nie. W Wielkopolsce mam rodzinę, przyjaciół i prężne struktury Skutecznych. Poza tym jako eurodeputowany chcę reprezentować całą Polskę.

Skoro ma pan tam przyjaciół, to pewnie też zaangażowali się w pomoc w kampanii. Jak idą prace nad zbieraniem podpisów poparcia dla Konfederacji potrzebnych do rejestracji list wyborczych?

Podpisy wszystkie są praktycznie zebrane, ale jest współzawodnictwo regionów, który zbierze ich więcej. My nie mamy tego problemu, który ma Paweł Kukiz z zaangażowaniem ludzi w terenie w zbiórkę podpisów. Mamy struktury i wolontariuszy, którzy docierają do sympatyków. Natomiast dziś zależy nam jeszcze, by akcję prowadzić i zebrać tych podpisów jak najwięcej, bo przecież zdarza się, że część podpisów zebranych przez komitety jest kwestionowana, także „górka" musi być odpowiednio duża.

Sam pan nawiązał do Pawła Kukiza, stąd moje kolejne pytanie. Rozstaliście się w atmosferze konfliktu w jego klubie parlamentarnym, odczuwa pan satysfakcję, że – jak Paweł Kukiz niedawno sugerował – może nie zebrać podpisów w liczbie wystarczającej do zarejestrowania list?

Nie mam żadnej satysfakcji. Chciałbym, aby obywatele mieli państwo, które do nich należy, i o to walczę, a odczuwanie radości, bo komuś noga się powinęła... Nie, nigdy nie miałem takich uczuć. Nigdy nie śmiałem się z osób słabszych ode mnie. Problemy Kukiza wynikają z braku struktur, najsilniejsze, jeśli niejedyne, jego ruch posiadał w Świętokrzyskiem, sam je budowałem i teraz w 98 proc. są strukturami mojego stowarzyszenia Skuteczni. Podobnie jest na Śląsku, gdzie struktury Kukiz'15 rozwiązały się i przeszły do Konfederacji. Paweł wcześniej rejestrując swoje listy, bazował szczególnie na narodowcach, którzy sprawnie zbierają podpisy. Z nimi też się skonfliktował. Ludzie w terenie są już Kukizem po prostu zawiedzeni, bo u niego nie szanuje się szeregowych działaczy i sympatyków. Mam jedno pytanie do Pawła. Niech powie, gdzie są podpisy zebrane w trakcie kampanii przeciw wpuszczaniu do Polski imigrantów?! Zebraliśmy ich dużo, a nie zostały w żaden sposób wykorzystane i nie wiemy, gdzie dziś są.

Wracając do Konfederacji, jak pan i pozostali liderzy tego ruchu zamierzają pogodzić wodę z ogniem? Pańskie poglądy czy Janusza Korwin-Mikkego, narodowców, Grzegorza Brauna i Kai Godek są w wielu kwestiach mocno sprzeczne.

Są spójne w zaskakująco wielu kwestiach, choć w niektórych miewamy odmienne zdania. Jesteśmy programowo bardziej bliscy sobie niż Kaczyński z Gowinem. Wielokrotnie podkreślałem, że Konfederacja jest dla nas świetnym wyjściem – będąc w szerszej komitywie wielu ugrupowań, nie wchodzimy

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 690fe9c854

sobie z butami w kwestie światopoglądowe, niektóre sprawy zostawiamy wyłącznie dla siebie i działamy z pełnym poszanowaniem ludzi, z którymi Konfederację zawarliśmy. Ponadto nie musimy się w tej chwili dogadywać za pośrednictwem mediów, jak miało to miejsce w 2015 r. przy układaniu list Kukiza, bo dzisiaj siedzimy przy wspólnym stole i rozmawiamy. W tym wszystkim najważniejsze jest to, że zgadzamy się w głównych kwestiach programowych, walczymy o obywatela i o Polskę. W gronie Konfederacji przyjęliśmy roboczo ponad 20 wspólnych postulatów, z którymi się wszyscy zgadzamy. Chodzi m.in. o walkę z marksizmem kulturowym, obronę rodziny, polskiej przedsiębiorczości i suwerenności państwa.

W 2004 r. głosowałem za zupełnie inną Unią Europejską niż ta, w której jesteśmy obecnie. Byłem za Unią, która szanuje naszą odrębność, naszą kulturę, i zostałem oszukany

Wyobraźmy sobie, że na forum parlamentu – czy to europejskiego, czy krajowego – pojawia się kwestia ochrony życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci. Korwin-Mikke to wolnościowiec, pan również, pani Godek czy pan Braun należą do tzw. pro-liferów...

Pyta pan o to ojca czworga dzieci...

Liderom Konfederacji nie udało się porozumieć z Markiem Jurkiem czy prof. Mirosławem Piotrowskim. Efekt będzie taki, że głosy elektoratu prawicowego zniechęconego PiS rozbiją się na kilka mniejszych bloków.

Kampania się jeszcze na dobre nie rozpoczęła, a jesteśmy już kilka długości przed nimi. Wyborcom będącym w centrum i na prawo od centrum już dość dobitnie się przedstawiliśmy, więc wiedzą, że Konfederacja istnieje. Oczywiście szkoda, że nie porozumieliśmy się z niektórymi mniejszymi siłami, ale Norwid pisał, że nie umiemy się różnić pięknie i mocno. My pokazujemy, że potrafimy różnić się pięknie.

Najsilniejszymi organizacjami dziś w Konfederacji są narodowcy i ludzie Korwin-Mikkego. Nie obawia się pan, że po wyborach do PE, gdy już wizerunki pana czy Grzegorza Brauna zostaną przez nich wykorzystane dla pozyskania poparcia, usłyszycie: „No to żegnajcie"?

Ani ja, ani chyba nikt w Konfederacji nie czuje się wykorzystany. Prowadzimy szczere rozmowy i cokolwiek się później wydarzy, myślę, że scenariusz rozłamowy się nie sprawdzi. Budujemy wielką rzecz, w którą – mam nadzieję – uwierzą Polacy, i będą wiedzieć, że to jest „ich sprawa" na wiele lat. To nie jest kwestia partii, naszych politycznych interesów – chodzi o reprezentowanie każdego obywatela, niezależnie od tego, czy jest katolikiem, czy nie, prawicowcem czy lewicowcem. To bez znaczenia. Wierzę, że pracą w Sejmie pokazałem, że nawet pojedynczy poseł może zrobić coś dobrego dla zwykłych ludzi i że mimo różnic możemy ze sobą rozmawiać. Marzyło się to także Kukizowi, ale tylko mu się marzyło.

Czy rozmawiacie już także o wspólnym starcie w jesiennych wyborach do Sejmu?

Oczywiście. Podchodzimy do tej kwestii bardzo poważnie. Jednak proszę zwrócić uwagę, że jesienne wybory do Sejmu to główny temat dyskusji wszystkich większych partii, boją się one natomiast dyskutować o wyborach do PE i tego, co się z tym wiąże. My na tym etapie chcemy skupić się na Parlamencie Europejskim, na tym, co w tej chwili się dzieje w Europie.

Raz słyszę, że Konfederacja chce walczyć o silną Polskę w UE, a za chwilę słyszę głosy ze środowiska narodowców, że z UE trzeba wyjść, że polexit jest niezbędny. Mało to spójne.

W 2004 r. głosowałem za zupełnie inną Unią Europejską niż ta, w której jesteśmy obecnie. Byłem za Unią, która szanuje naszą odrębność, naszą kulturę i zostałem oszukany. Niedawno na jedno z moich spotkań w Wielkopolsce przyszedł pan, którego nazwałbym radykalnym socjalistą i zapytał: „Skoro nie jest pan polexitowcem, to kim pan jest? Chyba wspiera pan Unię?". A ja jestem uniosceptykiem. Nie utożsamiajmy Europy z UE. Chciałbym Polski w silnej Europie, bo przecież tego potrzebujemy, bo jeżeli mamy mierzyć się z takimi mocarstwami jak Rosja, Chiny czy USA, to musimy to robić wspólnie w Europie. Jednak nie na zasadzie, że kopie się mniejszego i mówi mu się: „Leć po piwo", tylko na zasadach wzajemnego szacunku. Obecnie jesteśmy traktowani w Europie tak jak przed zaborami.

Wierzy pan, że UE, w której dzisiaj decydują ludzie mocno związani z interesami Berlina i Paryża, będzie w stanie się zreformować?

W Konfederacji spora część moich kolegów to zwolennicy exitu. Kiedy mówię, że UE należy reformować, śmieją się, że Związek Sowiecki też próbowano reformować... No cóż, jeżeli Europa się nie opamięta, to wyjście z UE może okazać się jedynym rozwiązaniem dla wielu krajów Europy. Jeżeli jedyną odpowiedzią na kryzys spowodowany przez rozpasane unijne kadry urzędnicze ma być proponowane przez Macrona poszerzenie uprawnień tych niewybieralnych decydentów, to jestem przerażony. Nie godzę się na takie traktowane, na oszukiwanie Polski i traktowanie jak kogoś gorszego. Wierzę też jednak, że Europa będzie w stanie przekształcić się w porozumienie wolnych państw, które będzie silniejsze, ale da wszystkim, również tym mniejszym, poczucie bycia we wspólnej rodzinie.

Obok polexitu jednym ze sztandarowych haseł, które pojawiają się w kampanii do PE, są tzw. prawa osób LGBT. Jak ocenia pan podpisaną przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego deklarację „LGBT+"?

Chciałbym, żeby Trzaskowski podpisał też deklarację „Hip-Hop+", żeby raperzy byli lepiej traktowani i hip-hop się w stolicy dobrze sprzedawał. Mam wrażenie, że niektórzy uważają się za lepszych od innych, w takim razie niech raperzy też będą lepiej traktowani, bo też są lepsi (śmiech).

Załóżmy, że Konfederacja wystartuje także w jesiennych wyborach do Sejmu, przekroczy próg wyborczy i... No właśnie, co dalej? Współpraca z PiS czy może sojusz z obecną opozycją z tzw. Koalicji Europejskiej/Obywatelskiej?

Liczę na to, że obywatele powierzą nam odpowiedzialność za rządy. Nie boimy się wyzwań, a w przeciwieństwie do ugrupowania Kukiza mamy kompetentnych ludzi, którzy będą w stanie dzisiaj objąć funkcje państwowe i godnie reprezentować obywateli.

Rządzić w koalicji i tu pytanie: Z kim?

W tej chwili o tym nie myślimy. To trochę jak na wojnie – trzeba zdobyć kolejny przyczółek. Ważniejsze jest, co chcemy zrobić dla Polski, dopiero potem z kim. Oczywiście najlepiej samodzielnie. Jeżeli trzeba zawierać koalicję, to z tym, kto zagwarantuje najpełniejszą realizację naszych postulatów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

System z trwałą

Ostatnio coraz więcej czasu spędzam w szpitalach. Spokojnie, ze mną wszystko dobrze, choć oczywiście trójglicerydy mam za wysokie. Ale rodzice już w tym wieku, że rozmawia się z nimi głównie o lekarzach i lekarstwach, a na wycieczki nie jeździ się już do Rzymu, lecz do placówek służby zdrowia.

Polska służba zdrowia to nie jest nic fajnego. Zdarzają się wyjątki, ale średnia jest umiarkowana. Tłok, kolejki, nerwy i tak dalej. Kto był raz, już nie chce wracać. Rozmawiałem ze swoimi znajomymi politykami, informując ich o dość oczywistej prawdzie, że kto odmieni służbę zdrowia, ten będzie rządził w Polsce całymi dekadami. Mówią, że wiedzą, ale to niemożliwe. Z jakichś powodów się nie da.

Zapewne. Wielu już próbowało i wszyscy ponieśli klęskę. Wydaje mi się jednak, że jest pewien drobiazg, który można zmienić dosyć łatwo, a który ma co prawda jedynie kosmetyczne znaczenie, ale który mógłby odmienić postrzeganie przez Polaków służby zdrowia. Tym czymś, a raczej kimś są panie, które urzędują w rozmaitych okienkach i rejestracjach. To one – nie lekarze – są dla przeciętnych twarzą opieki zdrowotnej. I powiedzmy sobie szczerze, że jest to zazwyczaj twarz dość przerażająca.

Nie wiem, czy jest jakiś zapis w konstytucji, a może w jakiejś ustawie, który nakazuje, żeby w rejestracji placówek służby zdrowia pracowały antypatyczne kobiety po pięćdziesiątce, ze spalonymi od trwałej włosami i makijażem à la Danuta Waniek Anno Domini 1994. To na nie trafiają najpierw ludzie zbolali, cierpiący i często starsi, zniedołężniali oraz zagubieni. I są traktowani jak bywalcy agencji towarzyskich gustujący w upokorzeniu oraz dominacji. Panie z rejestracji się nie certolą. Nie przesadzają z kulturą, uśmiechem czy empatią. Nie przejmują się czyimś cierpieniem. Biorą za pysk i – tak wynika z moich obserwacji – zwycięstwo nad zbolałym staruszkiem zawsze sprawia im specyficzną satysfakcję.

Każde uogólnienie jest niebezpieczne. Zapewne można spotkać w okienkach panie z sercem na dłoni, które kochają pracę z pacjentami i samych pacjentów. Ale ja osobiście spotykam je dość rzadko.

Nieprzyjemne, groźne kobiety w wieku balzakowskim spotykało się kiedyś w sklepach mięsnych, ale te wykończył kapitalizm. Były także na pocztach, w placówkach ZUS, urzędach skarbowych, ale i stamtąd zniknęły. Poczty i urzędy bywają koszmarne, ale pracujące tam panie nabrały ogłady i kultury. Często bywam w ZUS i choć to straszliwa instytucja, urzędniczki tam są bardzo miłe i pomocne. A nie zarabiają kroci.

Natomiast nawet w najlepszych warszawskich szpitalach wciąż można usłyszeć w rejestracji warczenie cerberów z mocnym makijażem. To nie może być przypadek. To system. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Bezprawie autorskie

Muszę powiedzieć, że do tzw. ACTA2 mam stosunek, delikatnie mówiąc – mieszany. Z jednej strony, wolność słowa uważam za niezbywalne prawo człowieka (co nie znaczy, że wolność ta nie powinna łączyć się z odpowiedzialnością za kłamstwo, oszczerstwo czy plagiat). Z drugiej strony, zdaję sobie sprawę z braku ochrony własności intelektualnej. Co gorsza, dla większości zjadaczy chleba (a zwłaszcza Internetu) problem nie istnieje.

Instytucja, której powierzyłem ochronę mych praw, cały czas działa na szkodę autora

O ile zabranie z półki w supermarkecie towaru bez zapłaty jest uważane za kradzież, o tyle kopiowanie w Internecie, powielanie pirackich nagrań itp. już za przestępstwo nie uchodzi. Tak jakby powieści, skecze, piosenki powstawały same, a ich autor powinien się cieszyć, że coś stworzył i inni chcą się z tym zapoznawać. Żeby nie wyjść na płaksę, wyjaśnię, że prywatnie pogodziłem się z tym, iż byłem, jestem i będę okradany na każdym kroku. Napisałem kilka tysięcy tekstów, blisko setkę książek i mnóstwo tego można znaleźć w sieci bez jakiejkolwiek korzyści dla autora.

Gorzej, instytucja, której powierzyłem ochronę mych praw, cały czas działa na szkodę autora. Kiedyś wynegocjowała tak wysokie tantiemy za tzw. wielkie prawa, że media nie mogąc sobie pozwolić na ich płacenie, po prostu do nich nie sięgają. W archiwach Radia i TVP zalegają setki moich słuchowisk i widowisk, skazanych na niepamięć, a ja nie mogę się umówić i pozwolić na udostępnienie ich np. za 10 proc. należnych tantiem. ZAiKS działa jak adwokat, który nie pozwoli klientowi bronić się samemu! W dodatku restrykcyjnie wymaga zgłaszania każdego najdrobniejszego utworu z tzw. małych praw, bo nie wypłaci ani złotówki, mimo że kasę od nadawcy dostaje.

Kiedyś działało to z automatu. Przychodziły wykazy i dzielono tantiemy między autorów, ale komuś to przeszkadzało. Jednocześnie nikt nie kontroluje pobrań na dziko. W Internecie można znaleźć wszystko – od kultowych seriali do „Polskiego zoo" i „Szopki". Pewnie mógłbym to ścigać na własną rękę, ale wtedy musiałbym nie zajmować się niczym innym.

Ministerstwo Kultury zrobiło mały kroczek wobec twórców, tantiemizując częściowo wypożyczenia biblioteczne. Efektu nie znam. W Internecie może i można czegoś zakazać, ale żeby uzyskać jakąś zapłatę za swą pracę…

I boję się, że efektem ACTA2 stanie się skuteczna cenzura (zwłaszcza polityczna), natomiast o ewentualnych korzyściach dla twórców nie warto nawet wspominać. ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

Łukasz Warzecha

Katastrofa smoleńska raczej już nie wróci jako główny temat w publicznej debacie w Polsce

Co takiego w ustaleniach podkomisji smoleńskiej mogłoby zbulwersować opinię publiczną? Nie wiadomo, ale Jarosław Kaczyński twierdzi, że coś takiego jest. Dziewięć lat po tragedii pod Smoleńskiem wydaje się jednak, że to twierdzenie mocno na wyrost. Jeśli coś mogłoby zbulwersować, to raczej kruchość hipotez. W ogóle o emocje jednak trudno, bo sprawa katastrofy z 2010 r. zniknęła z rejestru priorytetów i raczej do niego nie wróci.

O działania podkomisji, pracującej wciąż pod kierunkiem Antoniego Macierewicza, dzisiaj politycznie zmarginalizowanego, pytał niedawno prezesa PiS Krzysztof Ziemiec w głośnym wywiadzie dla Radia RMF FM. Kaczyński mówił:

– „[…] sądzę, że kierownictwo komisji podjęło taką decyzję, że będzie tę sprawę publikowało, może poza pewnymi fragmentami […] dopiero wtedy, kiedy będzie już oczywiście pewne, że wszystko, co trzeba było zrobić, zrobiono, i co można było zrobić, zrobiono, ten efekt będzie przedstawiony społeczeństwu. Jaki on będzie, tego w tej chwili nie mogę powiedzieć. Natomiast wiem, że te prace trwają i że tam po drodze pewne ustalenia następowały. Nie były ogłaszane, bo lepiej nie bulwersować opinii publicznej. […] Natomiast co do sprawy śledztwa prowadzonego przez prokuraturę, to uczciwie powiem, że się nie bardzo w tej sprawie w tej chwili orientuję.

– A wracając też do podkomisji, chyba też po to ona została powołana, żeby właśnie pewne sprawy wyjaśnić i upublicznić?

– Jednak już wtedy, kiedy to będzie wyjaśnione do końca. Powtarzam, kiedy były ujawniane jakieś fragmenty, jakieś domniemania, poszlaki, to tylko powodowało to różnego rodzaju niedobre, bulwersujące społeczne reakcje. Nic z tego nie wynikało z punktu widzenia celu, jakim jest ustalenie prawdy, a nawet być może to przeszkadzało w jej ustaleniu".

Słowa prezesa PiS są zaskakujące. Wprawdzie politycy jego ugrupowania – poza pojedynczymi wyjątkami – nigdy otwarcie nie deklarowali, że sprawa jest jasna i w Smoleńsku miał miejsce zamach, ale też nie pozostawiali wątpliwości, że uważają taki wariant za bardzo prawdopodobny. Tymczasem Jarosław Kaczyński stwierdza, że nie jest w stanie powiedzieć, jaki będzie efekt prac komisji. Tej samej komisji, która w swoich hipotezach szła znacznie dalej niż politycy. Bo przecież tym właśnie było zdecydowane uznanie wersji wypadku za nieprawdopodobną. Ba, z ich ust wprost padały stwierdzenia o zamachu. Tak mówił na przykład Wacław Berczyński. Zaskakujące jest także dość lekceważące potraktowanie przez Jarosława Kaczyńskiego kwestii prokuratorskiego śledztwa.

Z kolei diagnoza, że ujawnianie szczątkowych raportów zawsze prowadziło do „niedobrych społecznych reakcji", jest absolutnie trafna. Można sobie jednak zadać pytanie, dlaczego w takim razie przez lata Jarosław Kaczyński nie miał nic przeciwko kolejnym okresowym raportom zespołu smoleńskiego, a potem podkomisji. Jeśli dziś mówi, że są w ustaleniach tej ostatniej wątki, które mogłyby bulwersować, to co ma na myśli? Jakieś mrożące krew w żyłach hipotezy, niebudzące wątpliwości porażające ustalenia – czy raczej przeciwnie, tezy rażące swoją dezynwolturą, bezzasadnie forsujące daleko idące wyjaśnienia katastrofy? Wspominając dokonania niektórych współpracowników Antoniego Macierewicza, jak choćby wspomnianego Wacława Berczyńskiego – tego, który wyznał Magdalenie Rigamonti z „Dziennika Gazety Prawnej", że „wykończył caracale" – ten drugi wariant wydaje się bardziej prawdopodobny. Pamiętny wywiad zakończył zresztą karierę Berczyńskiego w podkomisji.

Na dalszym

SYMBOL JUŻ JEST

Dla słów Jarosława Kaczyńskiego istnieje jednak racjonalne, choć smutne wyjaśnienie. Smutne dla tych, którzy wciąż uważają, że uczciwe rozwikłanie przyczyn katastrofy należy się jej ofiarom i Polakom w ogóle, a za takie nie

eprasa.pl 690fe9c854

uznają oficjalnego raportu z czasów PO, firmowanego przez dr. Macieja Laska. Otóż można postawić tezę, że prezesowi PiS co najmniej tak samo jak na wyjaśnieniu katastrofy zależało na godnym upamiętnieniu Lecha Kaczyńskiego. To się w ciągu ostatnich trzech lat wydarzyło. Powstało wiele pomników, ulic, parków i skwerów, upamiętniających tragicznie zmarłego prezydenta i jego żonę. Na pl. Piłsudskiego ustawiono pomnik wszystkich ofiar katastrofy oraz

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

planie

pomnik Lecha Kaczyńskiego. Nawet Rafał Trzaskowski, nowy prezydent Warszawy, deklaruje, że były prezydent stolicy powinien mieć w mieście swoją ulicę, choć jej lokalizacja to kwestia do dyskusji. I mówi to już po wyroku sądu administracyjnego, który skasował zmianę al. Armii Ludowej na al. Lecha Kaczyńskiego.

Jest więc już symbol, jest upamiętnienie w publicznej przestrzeni. Dlatego – można założyć – w sprawie wyjaśnienia samej katastrofy prezes PiS wypowiada się dzisiaj bardziej realistycznie. Czyli niezwykle wstrzemięźliwie i w zasadzie bez większej nadziei.

Smoleńscy realiści czy agnostycy – do których i ja się zaliczam – w zasadzie od początku uważali, że bez współpracy ze strony Moskwy katastrofy wyjaśnić się nie da. Zaś symbolem tej „współpracy" pozostaje tkwiący wciąż na rosyjskim składowisku wrak rządowego tupolewa. Z niemożności jego sprowadzenia do Polski PiS wielokrotnie robił zarzut poprzedniej władzy. Zarzut o tyle celny, że PO postawiła na reset relacji z Rosją i bardzo się nim chwaliła, więc można było oczekiwać, że w ramach poprawy stosunków wrak zostanie zwrócony. Tak się oczywiście nie stało, co było łatwe do przewidzenia. Lecz równie łatwe do przewidzenia było, że PiS, mimo buńczucznych zapowiedzi z czasów w opozycji, też nic tu nie poradzi. I tak jak zwrot roztrzaskanego samolotu zależy od kaprysu lub zapotrzebowania Kremla na zabełtanie w polskiej polityce, tak od tego samego zależy dziś dostarczanie informacji o katastrofie przez rosyjską stronę.

Klucze i tropy do prawdy są na Wschodzie. W dodatku mamy do czynienia z paradoksem: czegokolwiek nie przekazałby nam obecny rosyjski reżim – i to niezależnie od tego, czy Putin nadal będzie prezydentem, czy nie – nie będziemy mieć nigdy pewności, jaki ma w tym cel, czy jest to prawda i czy to cała prawda.

PRZYGNĘBIAJĄCA PORAŻKA

Jeżeli tak podejść do sprawy, wątpliwości budzi cała działalność smoleńskiego zespołu, a następnie podkomisji – dokładnie na tej samej zasadzie, na jakiej wątpliwości budziła działalność gremiów wyjaśniających katastrofę za PO. Wszak eksperci, pracujący dla Macierewicza – nie kwestionując szczerego zaangażowania wielu z nich i ogromnego wysiłku włożonego w pracę – mogli prezentować jedynie bardziej lub mniej prawdopodobne spekulacje. Nawet jeżeli były to spekulacje ujęte w sztywne reguły naukowe. Problemem był jednak zawsze punkt wyjścia. Pracowano na tych danych, które były dostępne bez pomocy rosyjskiej. Albo które Rosjanie dostarczyli – ale przecież nigdy nie było pewności, że byli w tym uczciwi. A skoro tak, to można i należy mieć pretensję do byłego ministra obrony, ale też do jego politycznych patronów i zwierzchników, że owe spekulacje były prezentowane bardziej jako bezsprzeczne ustalenia. I wzbudzały – jak celnie zauważa dzisiaj sam prezes PiS – „niedobre, bulwersujące społeczne reakcje".

Ostatnie trzy lata – czas nieograniczonego dostępu PiS do wszystkich instrumentów polskiego państwa – to w gruncie rzeczy czas smutnej, przygnębiającej porażki. Śledztwo prokuratorskie nie pokazało niczego nowego, nic nie wyszło z zapowiadanej współpracy z Amerykanami, niewiele przyniosły kolejne raporty podkomisji, na której działalność wydano spore sumy. Jakie dokładnie – nie całkiem wiadomo, ponieważ posłowie opozycji, próbujący uzyskać na ten temat informacje, mieli problem z ich zdobyciem nawet po tym, jak wyrok w tej sprawie wydał Naczelny Sąd Administracyjny. Pierwotna informacja o budżecie planowanym na 2018 r. mówiła o 6 mln zł, potem pojawiła się suma 4 mln i informacja o wydatkach na poziomie 1,5 mln. To nie są sumy porażające w skali polskiego budżetu, o ile oczywiście zostałyby wydane na zbliżenie się do prawdy. Na to jednak nadzieja jest nikła.

Odrębna kwestia to zainteresowanie wyborców wyjaśnieniem przyczyn katastrofy. Upamiętnienie jej ofiar w wielu miejscach w kraju – z czym chyba powoli godzi się też wcześniej bardzo w tej sprawie zapiekła opozycja – przesuwa katastrofę w stronę kwestii bardziej symbolicznych i mitycznych niż realnych. Warto sobie uświadomić, że w tym roku w wyborach po raz pierwszy będą głosować Polacy, którzy w 2010 r. mieli zaledwie 9 lat. Sondaż, który przeprowadzono rok temu dla „Rzeczpospolitej", pokazał, że większość (55 proc.) uważa, że przyczyną katastrofy nie był wybuch, co można uznać za niemal równoznaczne ze wskazaniem, że nie było zamachu. „Nie wiem" odpowiadało 28 proc., 17 proc. uważało, że wybuch był. Ciekawie będzie porównać te dane z tegorocznymi.

Obchody dziewiątej rocznicy katastrofy nie będą się specjalnie różnić od wcześniejszych. Msza święta, marsz z portretami ofiar, wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego. Dziesiąta rocznica może się odbywać już w całkiem innych okolicznościach politycznych – ale czy to coś zmienia? Smoleńsk raczej nie wróci jako pierwszoplanowy temat. Prokuratura swoje śledztwo ma prowadzić jeszcze przynajmniej dwa lata. W końcu może zostać umorzone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Kozacka tragedia Rzeczypospolitej

Jacek Komuda

Rok 1648 był to dziwny i straszny czas, w którym zachwiała się potęga polskiej sztuki wojennej i polityki

Jak to się stało, że armia koronna, która zwyciężała pod Kłuszynem, Kircholmem, rozbiła wszystkie powstania na Ukrainie, została zniszczona przez Kozaków i Tatarów? Odpowiedź nie jest prosta i pokazuje zawiłości sytuacji nad Dnieprem w grudniu 1647 r., kiedy Bohdan Chmielnicki uciekł na Sicz, aby poderwać Zaporożców do kolejnego zrywu.

Powstanie w 1648 r. musiało wybuchnąć, kwestią było tylko, kto stanie na jego czele i czy ograniczy się do lokalnych rozruchów. Powody narastały przez ostatnie 10 lat „Złotego pokoju": ograniczenie wolności Kozaków, wyzysk ekonomiczny i religijny w królewszczyznach oraz majątkach magnackich dokonywany przez dzierżawców oraz Żydów. Poniżanie i okradanie Kozaków regestrowych pozostających na służbie Rzeczypospolitej przez ich własnych dowódców sprawiło, że trudno było im ufać.

Sam Chmielnicki reprezentował ugodowe stanowisko dopóty, dopóki nie został pozbawiony przez podstarościego Daniela Czaplińskiego futoru Subotów kobiety, oskarżony o zdradę i zaszczuty przez wrogów. Żaden z nich nie przypuszczał jednak, że setnik brał udział w tajnych rozmowach z królem na temat udziału Kozaków w wojnie przeciwko Turcji. Wypuszczony z lochu zbiegł na Sicz, wykradając Iwanowi Barabaszowi listy od króla. Pisma te okazały się glejtem do jego przyszłej sławy, pomogły mu stworzyć układ polityczny, dzięki któremu zdołał wstrząsnąć Rzecząpospolitą. Zawierały bowiem obietnice przywrócenia przywilejów i zwiększenia rejestru pod warunkiem, że Kozacy wezmą udział w wojnie przeciwko Turcji.

ZIMNA GRA CHMIELNICKIEGO

21 grudnia uciekinier przybył z listami na Sicz, a razem z nim, jak podaje Witold Biernacki, ok. 250–300 słabo uzbrojonych Kozaków – buntowników. Natychmiast przyłączyło się do niego kolejnych 300 z siczowego bractwa. Nieniepokojony przez wojska koronne wybudował na dnieprowym Niżu forteczkę na Bucku.

Wkrótce Chmielnicki opanował Sicz na Bazawłuku, gdzie stał czerkaski pułk Kozaków rejestrowych. Być może użył fortelu, aby przeniknąć na teren fortecy,

eprasa.pl 690fe9c854

„Spotkanie Chmielnickiego z Tuhaj-bejem", Juliusz Kossak (1885). Heliotypia barwna. Muzeum Wojska Polskiego

FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO/EAST NEWS

bo dopiero 5 lutego został zaatakowany przez pułkowników: Wadowskiego i Krzyczewskiego. Wciągnął ich w zasadzkę, a cztery dni później zmusił do odstąpienia. Wciąż jednak siły Chmielnickiego były zbyt słabe, aby powstanie skończyło się czymś więcej niż przygraniczną awanturą.

Bohdan Zenobi zagrał zatem głównym atutem – listami. Wysłał poselstwo do tatarskiego chana Islama Gereja i ujawniając pisma, przekonał o zagrożeniu ze strony Rzeczypospolitej. Władca i jego wezyr Sefer Gazi aga zgodzili się na sojusz niechętnie, gdyż nie wierzyli w siłę Chmielnickiego. Postanowili jednak uwolnić się od dwóch kłopotów – wysłać na pomoc buntowniczego Tuhaj-beja z 6 tys. ordy nogajskiej, pozbywając się go z Krymu. Przy okazji zaś liczyli na to, że Kozacy i tak zostaną rozbici, co uwalniało ich od Zaporożców nękających ułusów. Sojusz utrzymywany był w ścisłej tajemnicy.

NIEREALNY PLAN HETMANA

W tym czasie Mikołaj Potocki czekał z rozpoczęciem walki na koniec roztopów i pojawienie się trawy dla koni. Plan rozbicia buntowników, którego autorem był – jak podaje Wiesław Majewski, zaufany stronnik hetmana – Stefan Czarniecki, zakładał wysłanie na Zaporoże oddziałów regestrowych, dragonów i jazdy w celu rozbicia Chmielnickiego. W tym czasie hetman pozostawać miał na prawym brzegu Dniepru, a grupa Jeremiego Wiśniowieckiego – na lewym. Dodatkowo wojska wysłane na dnieprowy Niż zostały podzielone – część pod wodzą Barabasza i Krzyczewskiego – miała przemieszczać się łodziami, a grupa syna hetmana Stefana Potockiego – maszerować prawym brzegiem na Sicz.

Historycy nie zostawiają na tym planie suchej nitki, niesłusznie jednak. Nikt w obozie polskim nie wiedział o przymierzu z Tatarami! Wysłane na Zaporoże 1,4 tys. jazdy i dragonów oraz 5 tys. Kozaków wystarczyłyby aż nadto do pokonania sił Chmielnickiego, obliczanych ledwo na 900 ludzi. W dodatku Potocki musiał posłać tam rejestrowych, bo na Niżu będącym labiryntem dnieprowych wysepek, skał i zbuntowanych Kozaków pokonać mogli tylko inni Kozacy, ale nie jazda polska. Hetman rozdzielił rejestrowych – w grupie płynącej wodą znalazły się pułki czechryński, czerkaski, korsuński i kaniowski, ale także oddziały dragonów i poczty pułkowników. W oddziale Stefana – pułki białocerkiewski i perejasławski. Rejestrowi zatem mieli przez cały czas pozostawać pod kontrolą wojsk koronnych.

SZANTAŻ TATARSKI

29 kwietnia grupa Stefana Potockiego natknęła się na Tatarów. Doszło do walki, w której udało się odeprzeć ordyńców. Oddziały polskie – jak podaje Wiesław Majewski – zajęły pozycję przy Żółtych Wodach, blokując szlak z Siczy na Kryłów. Wstrząśnięci dowódcy wysłali gońców do hetmanów z wieściami, że Chmielnicki zawarł przymierze z chanem, jednak wysłannicy zostali schwytani lub przeszli na stronę przeciwnika. Wkrótce nadciągnął Chmielnicki, lecz jego wojska były nikłe. Największą siłę stanowiło 6 tys. Tatarów nogajskich Tuhaj-beja – „orda licha i niepozorna, w kożuchach i siermiężkach, bez szabel, bez łuków, najwięcej z maślakami, to jest kość wsadzona na gibkie drzewo" – pisali świadkowie. Rozpoczęło się oblężenie obozu Potockiego. Wbrew nadziejom Chmielnickiego regestrowi nie przeszli na jego stronę – dlatego o wszystkim zadecydować miało wsparcie drugiego oddziału kozackiego.

W tym samym czasie pułkownicy regestrowi, płynąc bajdakami w dół Dniepru, dotarli do Kamiennego Zatonu. Krzyczewski i Barabasz wraz z częścią Kozaków zdobyli Buck. Niestety, ich odejście sprawiło, że w obozie pojawili się wysłannicy buntowników – Filon Dziedziała, Topicha i Iwan Handża, który zaszantażował rejestrowych, mówiąc, że do Chmielnickiego przybył Tuhaj-bej z nogajcami. Kozacy przerażeni pojawieniem się Tatarów woleli przejść na stronę powstańców, ale zachować wolność i życie. Karaimowicz próbował stłumić bunt, jednak pobito go i schwytano razem z innymi pułkownikami: Wadowskim i Górskim. Następnie samozwańczy wodzowie wysłali kilkuset Kozaków za Barabaszem i Krzyczewskim, po czym zmusili ich podkomendnych, aby przyłączyli się do buntu. 5 maja rada czerni zamordowała posłusznych Rzeczypospolitej pułkowników – Barabasza, Karaimowicza, Pesztę, Hajduszenkę, Kalenienkę, Oleśkę, wcześniej wybito dragonię, która była ich ochroną. Jak widać, prawie cała starszyzna wywodząca się z Kozaków dochowała wierności Koronie.

NA UKRAINĘ!

13 maja zbuntowani rejestrowi przybyli do obozu pod Żółtymi Wodami. Siły Chmielnickiego wzmocniło 3,5 tys. dobrze uzbrojonej piechoty, która była tak potrzebna! Kiedy się pojawili, na ich stronę przeszli Kozacy z pułków białocerkiewskiego i perejasławskiego przebywający w taborze polskim. Sytuacja stała się tragiczna, a Potocki rozpoczął rokowania. Uzgodniono, że Kozacy pozwolą odejść jego wojskom, dadzą zakładników, w zamian Chmielnickiemu wydane zostaną armaty. Tatarzy jednak zatrzymali posłów – w tym Czarnieckiego, a Kozaccy zakładnicy – Krysa i Krzywonos – uciekli w zamieszaniu. Po odparciu kolejnego szturmu Potocki sformował tabor z 40 wozów i ok. 400 pozostałych żołnierzy, po czym w nocy 16 maja zaczął wycofywać się na północ – na Kniaże Bajraki. Nad ranem na Zielonej Bałce taborek wpadł w zasadzkę Kozaków, a dowódca został

eprasa.pl 690fe9c854

ranny. Po kilku godzinach walki, gdy deszcz zamoczył proch, Polacy poddali się i zostali wzięci do niewoli.

POTOCKI DOWODZI POD KORSUNIEM

4 maja wieści o oblężeniu obozu i przymierzu tatarsko-kozackim doszły do Mikołaja Potockiego. Jeśli wierzyć Joachimowi Jerliczowi, to w wojsku panowało rozprzężenie, hetman „więcej radził o kieliszkach i szklanicach niżeli o dobru Rzeczypospolitej i całości onej; jakoż w nocy radził o pannach albo o nadobnych żonkach". Potocki nie wiedział, co robić, wstrzymywał się od działań, bo niezakończona była koncentracja oddziałów. 7 maja ruszył z Czerkas na odsiecz, prowadząc 4,5 tys. żołnierzy i cztery dni później stanął w Czechryniu. Tego dnia wieczorem nadeszły wieści o zdradzie Kozaków rejestrowych – hetman wielki, widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli, rozpoczął odwrót, wydając w ten sposób wyrok na oddział syna Stefana oblężony u Żółtych Wód. Wycofywał się na Białą Cerkiew, jednak zatrzymał pod Korsuniem, czekając na dywizję Wiśniowieckiego.

Tatarzy byli szybsi – już 24 maja dotarli pod miasto. Wszystko wskazuje na to, że wydarzenia zaskoczyły hetmana. Obawiając się otwartego starcia, dzień później przyjął bitwę w oparciu o fortyfikacje. Walki zakończyły się bez rozstrzygnięcia. Wieczorem, na naradzie dowódców, doszło do kłótni między Potockim a hetmanem polnym Marcinem Kalinowskim, który chciał wydać walną bitwę. Potocki jednak postanowił wycofać się w głąb kraju. Tymczasem Chmielnicki wzmocniony przez Kozaków nierejestrowych i czerń z Ukrainy, miał już 11 tys. ludzi, do czego dochodziło 6 tys. Tatarów.

26 maja wojsko polskie wycofało się z Korsunia taborem, nie zdając sobie sprawy, że wszystkie okoliczne drogi są już obsadzone przez Kozaków. Ciągnące w długich kolumnach wozy, między którymi maszerowała piechota i podążała spieszona jazda, wpadły w zasadzkę w Grochowej Dąbrowie, gdzie – jak pisze towarzysz husarski Sierakowski – „Między górami trafił się wąwóz, którym się tabor przeprawiał, którego było wąwozu na stai szesnaście". Wrogowie przegrodzili drogę rowami i zasiekami zatrzymując czoło taboru, podczas gdy idące z tyłu wozy nie mogły się utrzymać – napierały na przednie, zjeżdżały i wywracały się. W tym samym czasie Kozacy i Tatarzy najpierw ostrzelali Polaków z dział i rusznic, potem przypuścili atak, który jednak odparto.

Wykrwawiony tabor trafił przy wyjściu z lasu, w Krutej Bałce na zasadzkę Krzywonosa – szańce przegradzające drogę. Co gorsza, z obu boków znajdowały się jary obsadzone strzelcami. Kiedy od tyłu zaatakowali Tatarzy, tabor został rozerwany, a z pogromu przebiła się tylko część jazdy Krzysztofa Koryckiego. Kozacy zdobyli ogromne łupy, broń i kosztowności. „Wojsko kozackie – podaje Samoił Wełyczko – zdobyło się na zbroje, na konie, na rzędy, na pancerze, na sajdaki, szable, broń różną, na pieniądze, sukna proste jako też drogie". Jedyną obroną Rzeczypospolitej pozostawały nieliczne prywatne oddziały i gwardia królewska. Ukraina wpadła w ręce Kozaków.

MOŚCI PANOWIE, NIC SIĘ NIE STAŁO!

W 1648 r. pierwszy raz zawiodły staropolska taktyka i strategia. Historycy są zgodni, że przyczyną klęski było nigdy wcześniej niespotykane połączenie sposobu walki Kozaków i Tatarów. Niewielu jednak tłumaczy dokładnie, na czym polegało. Wcześniej Zaporożcy dysponujący świetną piechotą, ale słabą jazdą zamykali się przed polską konnicą w warownym taborze i czasem tylko próbowali przedrzeć się pod osłoną wozów do innego, jeszcze bardziej obronnego miejsca. W tym czasie Polacy panowali w polu, osaczając tabor, z czasem otaczając go własnymi fortyfikacjami i w końcu zmuszając do kapitulacji.

Z Tatarami radzono sobie w inny sposób, gdyż orda jako lekka konnica nie walczyła w stałych szykach. Atakując ich, żaden dowódca nie mógł być pewien, czy nagle nie rozpierzchną się, aby pojawić w najmniej spodziewanych miejscach – np. na tyłach Polaków, gdyż stałym celem ordy było dążenie do oskrzydlenia i otoczenia przeciwnika. Dlatego stosowano przeciwko nim własny tabor, w oparciu o który działała jazda mogąca w razie potrzeby schronić się za zasłoną z wozów obsadzonych przez piechotę. Tatarzy rażeni ogniem z broni palnej mogli tylko krążyć wokół ruchomej fortecy. Nie byli jednak w stanie zablokować jej ruchu – stąd tabor wyjeżdżał w pole, przemieszczał się, odpierając ataki ordy, był też w stanie ją oskrzydlić.

Tymczasem połączenie tatarskiej jazdy z kozacką piechotą okazało się zabójcze dla jazdy polskiej. Atak na zaporoski tabor oznaczał, że za plecami husarzy i pancernych pojawiała się lotna konnica, zamykając Polaków między ziejącą ogniem ścianą wozów a szablami ordyńców. A jeśli żołnierze nasi cofali się do własnego obozu, to pojawiał się inny problem – nie mogli nim manewrować, aby zadać straty Tatarom. Na polu walki pojawiała się wówczas chroniona przez ordę piechota kozacka, która szturmowała obóz, okrążała go, przygotowując blokady okolicznych dróg, przejść lub osaczała kręgiem fortyfikacji polowych. Tak właśnie wyglądały obie bitwy na Ukrainie – Polacy najpierw w obawie przed Tatarami bronili się w taborze, nie mogli jednak przemieścić obozu, bo w terenie działali Zaporożcy, którzy blokowali jakikolwiek manewr i urządzali zasadzki, likwidując w nich wycofujący się tabor polski.

HAŃBA PLUGAWIECKA

Kozaków dałoby się jeszcze pokonać albo zmusić do rokowań i wypracowania jakiegoś kompromisu w sprawie Ukrainy, gdyby nie hańbiąca klęska pod Piławcami 23 września 1648 r. Wówczas słabo dowodzona i podzielona armia uciekła z pola walki na samą wieść o nadejściu Tatarów i zarządzeniu odwrotu do Konstantynowa. Klęska była wynikiem kolejnego fatalnego splotu okoliczności – wyznaczenia na regimentarzy dowódców nieumiejących utrzymać w ryzach żołnierzy, choć dwóch z nich – Aleksander Koniecpolski i Mikołaj Ostroróg – miało doświadczenie wojskowe. I fatalnego składu wojsk, chorągwie zaciągane były bowiem nie przez hetmana albo króla, ale przez ziemie i województwa, co sprawiało, że rotmistrzowie byli wierniejsi rodzimym sejmikom niż dowództwu. I wreszcie trzeci czynnik – strach przed Tatarami pojawiający się w poprzednich bitwach. Po Piławcach Kozacy stracili respekt przed armią Rzeczypospolitej, a skutki ich przymierza zaważyły na wojnach kozackich aż do roku 1654. To z powodu połączenia wojsk kozackich i tatarskich armia polska zamknęła się w obozie pod Zbarażem. Przegrała pod Batohem i została osaczona pod Żwańcem w 1653 r. Walczyć z połączonymi siłami kozacko-tatarskimi nauczył się dopiero hetman, a potem król Jan III Sobieski, gromiąc ich pod Podhajcami i Bracławiem. Tak jedno polityczne przymierze zapoczątkowało upadek wielkiego i świetnego państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Afery państwa podziemnego

Książkę „Polskie piekiełko" zawsze uważałem za najlepszą w dorobku Sławomira Kopra. Wydana siedem lat temu – jak ten czas leci! – monografia dotyczyła afer i aferek polskiej emigracji wojennej. Pełna była nieznanych faktów, anegdot i tajemnic. Dobrze nam znane, pomnikowe postaci ukazywała z zupełnie innej, prywatnej strony.

Minęło siedem lat i doczekaliśmy się sequelu. „Piekiełko nad Wisłą" to kolejne zestawienie afer II wojny światowej. Jednak tych, które miały miejsce nie na emigracji, ale w okupowanym kraju.

W książce możemy przeczytać o rozgrywkach między oficerami, bezpardonowo walczącymi o władzę u zarania Polskiego Państwa Podziemnego. O sensacyjnych kulisach ewakuacji na Zachód córki gen. Sikorskiego (w całej operacji palce maczała Abwehra). O zdumiewających losach księcia Janusza Radziwiłła, który konferował z Hermannem Göringiem i Ławrientijem Berią. O tajemniczej organizacji wywiadowczej Muszkieterowie, której szef zginął z rozkazu gen. Stefana Grota-Roweckiego.

A także haniebnym wyroku wydanym przez wileńską AK na najwybitniejszego polskiego prozaika Józefa Mackiewicza. Całe szczęście wyrok nie został wykonany! Zamordowania Józefa Mackiewicza kategorycznie odmówił Sergiusz Piasecki, inny znakomity pisarz, który w trakcie wojny zajmował się w Wilnie likwidacją konfidentów. Piasecki wiedział, że za wyrokiem na Mackiewicza stoją komuniści chcący go ukarać za to, że pojechał do Katynia, by zobaczyć ciała zgładzonych przez NKWD polskich oficerów.

„Ostro zaprotestowało kilku członków Organizacji – pisał Piasecki – uważając, że wyrok nie jest oparty na ścisłych danych, lecz na osobistych animozjach pewnych ludzi ze względu na działalność polityczną, antysowiecką Józefa Mackiewicza. Sprawa zatoczyła szeroki krąg. Udowodniono, że jeden z oskarżycieli Mackiewicza był »czerwony« i współpracował z pismem bolszewickim".

Na szczęście wyrok Mackiewicza trafił do kosza. A pisarz po wojnie napisał wiele wielkich powieści. Po skończeniu tego rozdziału książki Sławomira Kopra, trudno jednak nie zadać pytania: A ile podobnych wyroków wykonano? Ilu niewinnych ludzi zginęło z ręki podziemnych egzekutorów?

Mój sąsiad z łamów napisał bardzo ciekawą, frapującą książkę. ©℗

★★★★★★
SŁAWOMIR KOPER
„PIEKIEŁKO NAD WISŁĄ"
BELLONA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Lwów i piłka nożna

Wprawdzie pierwsza piłka futbolowa na ziemiach polskich trafiła do Krakowa (1889), ale jeśli miasto pod Wawelem szczyciło się pierwszeństwem w rozwoju piłki nożnej, to wyprzedziło Lwów minimalnie. Dwa lata później prawdziwa futbolówka pojawiła się także nad Pełtwią, ale nie sam sprzęt tworzy dyscyplinę sportową. We Lwowie już od 1867 r. prężnie działało Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" (krakowski oddział powstał dopiero 18 lat później) i dziwne by było, gdyby miejscowi sportowcy dali się wyprzedzić krakusom w miłości do piłki nożnej. Tym bardziej że to Lwów był stolicą Galicji i wszystkie nowinki docierały tu szybciej niż do nieco zaściankowego wówczas Krakowa.

> **Pierwszy polski klub piłkarski powstał w stolicy Galicji**

Wiadomo więc z całą pewnością, że w 1900 r. na łamach lwowskiej „Gazety Sportowej" po raz pierwszy w kraju opublikowano reguły gry w piłkę nożną, opracowane przez brytyjską Football Association. Pierwszy polski klub piłkarski także powstał w stolicy Galicji, chociaż do dzisiaj trwają spory, komu należy się palma pierwszeństwa. Lechię założono bowiem latem 1903 r., a podobno dopiero kilkanaście dni później, już we wrześniu, powstał zespół o nazwie Sława, który już niebawem miał zmienić nazwę na Czarni. Pod nią przeszedł do historii, podobnie jak jego barwy (czarno-czerwone), z powodu których piłkarzy nazywano powidlakami…

Miasto nad Pełtwią wciąż wiodło prym w rozwoju polskiej piłki nożnej. To lwowianin Stanisław Polakiewicz jako pierwszy Polak zdał w 1911 r. w Wiedniu egzaminy na sędziego piłkarskiego, a w czerwcu tego roku powstał Związek Polskiej Piłki Nożnej jako autonomiczny oddział federacji austriackiej, którego siedzibą stał się Lwów. Lwowskim piłkarzom zawdzięczamy także debiut międzynarodowy. Pogoń zmierzyła się w 1909 r. w dwumeczu z Kassai Atlétikai Club z Koszyc. Na wyjeździe uległa Słowakom 0:5, by kilka miesięcy później w rewanżu we Lwowie przegrać 1:4. Najwyraźniej lwowscy piłkarze prezentowali wówczas bardzo równą formę…

Pierwszy mecz w oficjalnych polskich rozgrywkach piłkarskich rozegrano jednak w Krakowie. 18 kwietnia 1920 r. Wawel Kraków uległ drugiej drużynie Cracovii. Rozgrywek jednak nie dokończono z powodu wojny z bolszewikami, a piłkarze trafili na front, by bronić niepodległości. Rok później mistrzem kraju została Cracovia, ale w kolejnym sezonie rozpoczęła się era Pogoni Lwów. Niebiesko-czerwoni zdobyli cztery tytuły mistrzowskie z rzędu, a przy okazji trzy korony królów strzelców. ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

Tomasz Wójcik na swoim ulubionym koniu Tarzanie, od którego przejął psuedonim. Stary Skoszyn, zima 1943/1944 r. FOT. ARCHIWUM

Z Andrzejem Nowakiem-Arczewskim, autorem książki o Tomaszu „Tarzanie" Wójciku
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Tropem Tarzana

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Bohater książki to dla mnie postać pomnikowa. A dla pana?

ANDRZEJ NOWAK-ARCZEWSKI: Tomasz Wójcik „Tarzan" to wybitny żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej. Zdecydowanie wyróżniał się podczas okupacji wśród dowódców oddziałów Polski podziemnej. To żołnierz, którego już za życia otaczała legenda i który obecnie nadal żyje w różnych, czasami sprzecznych opowieściach, przekazywanych w najrozmaitszych wariantach nam, współczesnym, młodym pokoleniom. Przekonywałem się o tym podczas licznych rozmów z mieszkańcami Sandomierza, Zawichostu, Ożarowa, Ćmielowa. Interesowała mnie legenda, która po nim pozostała, pamięć o nim wśród mieszkańców, gdzie przebywał. Czy to postać pomnikowa? Nikt nie jest od początku do końca bohaterem. Liczą się zawsze największe dokonania. W tym sensie jest to postać pomnikowa. Trzeba jednak wiedzieć, że „Tarzan" działał w niełatwych czasach wojny, podejmował różne decyzje, mniej lub bardziej odpowiedzialne, uzasadnione, na miarę swoich możliwości, wiedzy, doświadczenia, które przynosiły różne konsekwencje. To dlatego jego biografia wydawała mi się na tyle frapująca, barwna, żywa, pełna niesamowitych zwrotów, że postanowiłem napisać o nim książkę reporterską. Nie podjąłbym się tego, gdyby od początku do końca był postacią kryształową.

Jak to się stało, że zabił niemieckiego generała? I dlaczego przez lata o tym nie pamiętano?

Zdaniem wielu moich rozmówców dość przypadkowo zabił niemieckiego generała Kurta Rennera, dowódcę 174. Dywizji Piechoty Wehrmachtu, której sztab stacjonował w Lublinie. Doszło do tego 26 sierpnia 1943 r. tuż za Ożarowem, w kierunku Radomia. To w tym miejscu partyzanci „Tarzana" przygotowali zasadzkę, by odbić 14 mieszkańców Ożarowa, którzy mieli być przewożeni do więzienia w Ostrowcu Świętokrzyskim. Traf chciał, że zakładników przetransportowano wcześniej, o czym nie wiedział „Tarzan". Gdy zobaczył nadjeżdżające trzy samochody niemieckie, postanowił je zaatakować. Jeden z nich zawrócił, z dwóch wyskoczyli Niemcy i podjęli walkę. Wszyscy z nich zginęli, wśród nich generał, który jechał wtedy z Radomia do swego sztabu w Lublinie. To był najwyższy rangą generał niemiecki, który zginął podczas okupacji na ziemi polskiej. Nic dziwnego, że przez wiele lat po wojnie ten czyn przypisywali sobie różni partyzanci, zwłaszcza z oddziałów Armii Ludowej. O „Tarzanie" nie wspominano, bo rzeczywiście jego działalność w NSZ była niewygodna dla ówczesnych historyków.

ANDRZEJ NOWAK-ARCZEWSKI
„PSEUDONIM TARZAN. STAŃ DO APELU!"
BELLONA 2018

eprasa.pl 690fe9c854

Dopiero w końcu lat 80. w miejscu brawurowej akcji postawiony został obelisk z tablicą.

Zagłada jego oddziału stanowiła efekt denuncjacji czy zignorowania rozkazu dowódcy?

To właśnie jedno z wielu zdarzeń z biografii „Tarzana", które żyje w różnych relacjach. Przytaczam je w książce, wstrzymując się jednocześnie od jakichkolwiek sądów. Tę pierwszą wersję związaną z denuncjacją działającej w tym rejonie AL upowszechnili żołnierze „Tarzana", jego koledzy, by budować legendę wokół tej postaci. Wiele razy przytaczał ją Cezary Chlebowski w swoich publikacjach i wypowiedziach. Po 1990 r., mimo wielu prób, nie udało się definitywnie ustalić, kto zdradził, chociaż były ku temu różne możliwości. Trzeba przypomnieć, że do zagłady oddziału doszło 7 lipca 1944 r. w strefie przyfrontowej, gdy naprzeciw siebie stanęły dwie największe armie ówczesnego świata. „Tarzan" ze swym oddziałem miał tu przebywać jedynie do 12 godzin. Nie wykonał jednak rozkazu „Nurta" – mjr. Eugeniusza Kaszyńskiego – i postanowił przedłużyć pobyt w oczekiwaniu na pociąg pancerny, który miał jechać z kierunku Radomia. Niemcy otoczyli partyzantów i wystrzelali ich jak kaczki. Wymienia się także inne przyczyny zagłady oddziału, usunięcie czujek, nieostrożność, alkohol, kąpiel w stawie, wyjazd dowódcy. Moim zdaniem wszystkie one po części złożyły się na tragedię.

„Tarzan" (z lewej) i kpr. Józef Piwnik ps. Topola (brat „Ponurego") w sierpniu 1944 r. FOT. ARCHIWUM

Tomasz Wójcik przeszedł z NSZ do AK z powodu traumy po stracie podwładnych?

Formację zmienił wcześniej, po interwencji inspektora sandomierskiej AK Antoniego Żółkiewskiego „Lina". Stało się to na skutek zbyt dużej samodzielności „Tarzana" jako dowódcy oddziałów NSZ w tym rejonie. 8 września 1943 r. Tomasz Wójcik zameldował się w Górach Świętokrzyskich u Jana Piwnika „Ponurego". Po sześciu tygodniach przeszło połowa jego oddziału, z którym przybył na Wykus, wróciła w rejon Zawichostu.

Płytę na cmentarzu w Detroit ufundowała rodzina we wrześniu 2015 r.
FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA NOWAKA-ARCZEWSKIEGO

To byli ludzie, którym nie odpowiadała walka razem z AK.

Kiedy i w jakich okolicznościach opuścił Polskę?

Wyjechał z kraju przez zieloną granicę w rejonie Kłodzka 2 października 1945 r., bo był ścigany przez NKWD i UB, o czym sam pisał w kwestionariuszu wypełnionym w amerykańskiej strefie wojskowej w Niemczech, gdzie się znalazł. W Polsce nie było dla niego miejsca, nie pojawił się nawet na pogrzebie swojej matki w Zawichoście w marcu 1945 r., bo cały teren był obstawiony. Brawurowo uciekł UB z rejonu Skarżyska-Kamiennej, gdzie wcześniej został schwytany. Musiał opuścić Gdańsk, bo tam też go zdemaskowano. Wiedział, że pobyt w Polsce może zakończyć się dla niego tragicznie, tak jak dla jego kolegi z Ćmielowa, dowódcy oddziału AK, Konrada Suwalskiego, który został schwytany przez UB w Kielcach, skazany na karę śmierci i zastrzelony.

Skąd wzięła się hipoteza o udziale Mosadu w śmierci „Tarzana"?

Tak mówią moi rozmówcy. Osobiście zamiast o Mosadzie wolę mówić o siłach czy służbach żydowskich. Piszę o tym pod koniec książki w słowie „Od autora" i wyraźnie odróżniam te nazwy. Muszę przyznać, że nie było to dla mnie łatwe zadanie. Musiałem się zmierzyć z problemem Trójcy w biografii „Tarzana". To w czasie okupacji mała miejscowość koło Zawichostu, obecnie już włączona do granic miasta. Tutaj dochodziło do bestialskich mordów na mieszkańcach narodowości żydowskiej. Zachowały się relacje cudem ocalałych dwóch dziewczynek, które przytaczam w tekście. Wymieniają one nazwiska partyzantów, którzy dopuścili się niegodnych czynów. Zostali oni zresztą za nie osądzeni po wojnie. To byli podwładni „Tarzana". Niektórzy moi rozmówcy sugerują, że musiał on o tym wiedzieć. Nic nie działo się bez jego wiedzy. Co ciekawe, nazwisko „Tarzana" w tym kontekście nie jest wymieniane. Mieszkańcy w różnych relacjach, wspomnieniach spisywanych po wojnie przedstawiają ten ślad żydowski w biografii „Tarzana". Mówią wprost, że był po wojnie ścigany przez wywiad żydowski i musiał zginąć na skutek jego działań. Historyk Narodowych Sił Zbrojnych Leszek Żebrowski na moje pytania odpowiadał, że jeśli „Tarzan" likwidował Żydów, to mogli to być kolaboranci celowo wypuszczeni z getta, by naprowadzać Niemców na kryjówki i meliny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Nowak-Arczewski – dziennikarz, reporter, laureat Ogólnopolskiego Konkursu na Reportaż im. Zbigniewa Nosala. Autor głośnych książek reporterskich, m.in. „My z pałacu", „Zmiłuj się nad nami".

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. ADOBE STOCK

Wolność milczenia

Jacek Przybylski

Coraz więcej Amerykanów, Europejczyków i Azjatów boi się publicznie wypowiadać swoje poglądy w obawie przed zwolnieniem z pracy czy utratą stypendium studenckiego. Szczególnie zagrożona jest swoboda wypowiedzi konserwatystów i chrześcijan

Jeśli wolność w ogóle coś oznacza, to oznacza prawo do mówienia ludziom tego, czego nie chcą słyszeć – mówił George Orwell pytany o znaczenie wolności słowa w życiu społeczeństw. Tymczasem lewicowe środowiska w ostatnich latach osiągają coraz większe sukcesy w ograniczaniu prawa do prawdziwego opisywania rzeczywistości.

Walcząc z wymyśloną przez neomarksistów „mową nienawiści", miłośnicy „bardziej sprawiedliwego społeczeństwa" doprowadzili do zwycięstwa rozciągniętej do granic możliwości poprawności politycznej, cenzury oraz autocenzury na wielu uczelniach wyższych, w mediach społecznościowych, międzynarodowych koncernach, a także w coraz większej liczbie kodeksów i ustaw.

Według tegorocznego raportu Rady Europy wolność prasy na Starym Kontynencie jest obecnie najbardziej zagrożona od czasu zakończenia zimnej wojny. Nie lepiej jest w ojczyźnie wolnego słowa. Potrzeba ochrony fundamentalnego prawa wolnych ludzi jest na tyle duża, że pod koniec marca Donald Trump wydał rozporządzenie wykonawcze, mające wzmocnić ochronę wolności słowa na tych uniwersytetach, które korzystają ze wsparcia finansowego amerykańskich podatników. – Podejmujemy akcję obrony amerykańskich studentów i amerykańskich wartości, ponieważ są one zagrożone. Dlatego podpisuję akt, który ma na celu obronę wolności słowa na uczelniach. Cieszę się, że są z nami w Białym Domu odważni młodzi ludzie, którzy mimo zastraszania i presji stanęli po stronie wyznawanych wartości – ogłosił prezydent USA. Rozporządzenie zakłada, że instytucje rządu federalnego, które wspierają finansowo

eprasa.pl 690fe9c854

uczelnie wyższe, sprawdzą, czy uniwersytety korzystające z wielu miliardów dolarów rocznie nie tłamszą głosów innych niż lewicowe lub skrajnie lewicowe. Coraz częściej media donoszą bowiem, że władze uczelni karzą studentów za wygłaszanie konserwatywnych, a zwłaszcza chrześcijańskich poglądów, które mogłyby np. urazić gejów, lesbijki czy zwolenników prawa do aborcji. – Uniwersytety, które chcą korzystać z pieniędzy podatników, muszą promować wolność słowa, a nie wolność milczenia – podkreślał Donald Trump, podpisując rozporządzenie, za którego wprowadzeniem w sondażu firmy McLaughlin & Associates opowiedziało się aż 73 proc. ankietowanych Amerykanów, a przeciwko któremu było jedynie 18 proc. pytanych.

CHRZEŚCIJANIE BEZ STYPENDIUM

Jak zauważył Gerald F. Uelmen, dziekan Uniwersytetu Santa Clara, w roku 1990 na amerykańskich uniwersytetach i uczelniach wyższych istniało ok. 75 kodeksów „mowy nienawiści". Rok później liczba ta wzrosła do ponad 300, a następnie wystrzeliła do gigantycznych rozmiarów. Jednocześnie uniwersyteckie kampusy – będące dotąd na całym świecie miejscem zagorzałych intelektualnych dyskusji i wylęgarniami społecznych buntów – zmieniły się w miejsca, w których wolność opinii została stłamszona i ograniczona.

Pod płaszczykiem tych kodeksów, tzw. stref bezpieczeństwa dla gejów i lesbijek, czy przy użyciu innych mechanizmów uczelnie próbują ograniczać wolność słowa, narzucać konformistyczne zachowania i nie dopuszczać do głosu osób myślących inaczej. Niekiedy lewicowi ekstremiści biorą sprawy we własne ręce i dopuszczają się fizycznych ataków na osoby głoszące na uczelniach konserwatywne poglądy (w lutym na University of California-Berkeley jeden z mężczyzn zachęcających studentów do wstąpienia do konserwatywnej organizacji University of California-Berkeley został brutalnie pobity). Jak na ironię bowiem, wśród osób tak dużo mówiących o promocji „tolerancji" i „społecznej sprawiedliwości" nietrudno znaleźć te, które można by uznać za najmniej tolerancyjne w całym społeczeństwie.

Karą za niewłaściwe poglądy jest nie tylko wykluczenie z dyskursu publicznego, ale również pozbawienie pieniędzy. Jak poinformował portal LifeSiteNews, władze Szkoły Prawa Uniwersytetu Yale pozbawiły ponoć udziału w programach stypendialnych tych studentów oraz absolwentów, którzy pracują w organizacjach wyznających poglądy zgodne z nauczaniem Biblii na temat homoseksualistów. Według Yale są to bowiem organizacje „dyskryminujące" ze względu na „orientację seksualną i tożsamość płciową".

O tym, że wolność słowa jest obecnie mocno ograniczona, przekonują się także Brytyjczycy. W zeszłorocznym sondażu YouGov 48 proc. ankietowanych stwierdziło, że „istnieje wiele ważnych spraw, o których ludzie po prostu nie mogą mówić tego, co myślą". Jedynie 35 proc. pytanych uważa zaś nadal, że „mogą swobodnie mówić to, co sądzą". Przykłady? Proszę. Kilka lat temu na Uniwersytecie Oksfordzkim zaplanowano debatę na temat aborcji. Argumenty w dyskusji mieli jednak wymieniać studenci płci męskiej. Niektóre studentki argumentowały, że czułyby się „zagrożone", gdyby mężczyźni dyskutowali o tym, co kobietom wolno robić z „ich własnym ciałem", i debatę anulowano. „Odkryłem, że o aborcji można debatować tylko jeśli a) jesteś kobietą; b) jesteś jej zagorzałym zwolennikiem" – pisał po tym incydencie na łamach „The Daily Telegraph" Tim Stanley, któremu słynny uniwersytet odebrał prawo głosu. Inny z uczestników odwołanej dyskusji – Brendan O'Neill – zauważył zaś na łamach tygodnika „The Spectator", że nadeszła nowa era studentów-robotów, których umysły zostały pozbawione zdolności krytycznego myślenia i zaprogramowane na konformizm.

I nie jest to tylko problem głupiutkich studentek, przekonanych najwyraźniej, że jeśli zakażą publicznej debaty, to poglądy ich przeciwników znikną jak za machnięciem różdżki Harry'ego Pottera. Jeannie Suk, profesor prawa na prestiżowym Uniwersytecie Harvarda, skarżyła się przed kilku laty, że studenci naciskają na nią i jej kolegów, aby na egzaminach unikać pytań dotyczących przestępstw na tle seksualnym lub najlepiej w ogóle unikać głoszenia wykładów na temat przepisów dotyczących przemocy seksualnej. Dlaczego? Tego typu kwestie u niektórych studentów mogą bowiem wywoływać dyskomfort. Inny profesor został zaś poproszony przez słuchaczy, aby podczas wykładów unikał takich słów jak „pogwałcać" czy „naruszać", bo mogą być uznane za drażliwe i wywołujące emocjonalną reakcję. Tymczasem współczesna kultura coraz częściej nad prawdę stawia właśnie intelektualny i emocjonalny komfort uczniów i uczennic. Strach tylko pomyśleć, co się stanie, gdy u drzwi kancelarii takich wydelikaconych adwokatów zjawią się kiedyś prawdziwe ofiary gwałtów i innych brutalnych zbrodni.

PRACA TYLKO DLA POPRAWNYCH

Problem ograniczenia wolności słowa dotyczy rzecz jasna również dorosłych. Aż 68 proc. dorosłych Amerykanów przyznaje, że aby uniknąć kłopotów, musi uważać, aby nie powiedzieć czegoś politycznie niepoprawnego. Tylko 26 proc. mieszkańców USA uważa zaś, że nadal cieszy się prawdziwą wolnością słowa – wynika z grudniowego sondażu Rasmussen Reports.

Obawy Amerykanów nie są bezpodstawne. Wprowadzona w 1791 r. słynna pierwsza poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych nie chroni bowiem przed zwolnieniem z pracy za wyrażane poglądy. I chociaż inne ustawy mówią, że pracodawcy nie mogą zwolnić nikogo ze względu na rasę, płeć, kraj pochodzenia, niepełnosprawność czy religię, to znów wolności słowa w biurze już niestety nie bronią. Przekonał się o tym James Damore, starszy inżynier w Google, który w wewnętrznej notatce napisał, że „kobiety rzadko obejmują wysokie stanowiska w branży technologicznej nie z powodu uprzedzeń i dyskryminacji, ale z powodu różnic biologicznych i psychicznych między mężczyznami a kobietami". Przekonywał też, że „należy przestać zakładać, że różnice między płciami oznaczają seksizm". Za te słowa szefowie technologicznego giganta wyrzucili inżyniera z pracy. Damore w pozwie przekonywał, że jego zwolnienie było zemstą za poglądy polityczne. Zachęcał również, aby do pozwu dołączyły wszystkie osoby, które czują się dyskryminowane przez Google za „bycie białymi, mężczyznami lub osobami o konserwatywnych poglądach".

Pozew przeciw koncernowi złożył też inny pracownik Google – Tim Chevalier – który przekonywał, że został zwolniony za to, że stanowczo przeciwstawił się poglądom Damore'a i oskarżył go o korzystanie z przywileju „białego chłopca". Chevalier dla prawników to trudniejszy przeciwnik. Sam siebie określa bowiem jako człowieka „niepełnosprawnego, biseksualnego i transpłciowego", co – jego zdaniem – powinno dawać mu prawo do ścigania tych, którzy nękają

eprasa.pl 690fe9c854

„zmarginalizowane i nieliczne grupy". O tym, że wolność słowa i przekonań w USA jest już dawno passé, przekonał się też prezes Mozilli – firmy znanej z popularnej przeglądarki internetowej Firefox. Gdy w 2014 r. zajął to stanowisko, środowiska gejowskie wypomniały, że Brendan Eich wsparł w 2008 r. kwotą 1 tys. dol. kampanię przeciwko małżeństwom gejów w Kalifornii. Po dziesięciodniowej burzy – podczas której współzałożyciel firmy i współtwórca języka skryptowego JavaScript obiecywał homolobby, że nie tylko słowami, ale i czynami zademonstruje zaangażowanie w równość i otwartość na środowiska LGBT – Eich został zmuszony do podania się do dymisji. Jeden rasistowski tweet wystarczył też, aby błyskawicznie zakończyć karierę szefowej działu komunikacji nowojorskiej firmy IAC. „Lecę do Afryki. Mam nadzieję, że nie zarażę się AIDS. Żartowałam. Jestem biała" – napisała w grudniu 2013 r. przed wejściem na pokład samolotu Justine Sacco, a wkrótce po wylądowaniu na Czarnym Lądzie była już bezrobotna. Kobieta do pracy w koncernie wróciła dopiero na początku zeszłego roku, a i wtedy jej szefowie musieli się tłumaczyć, dlaczego zdecydowali się ją zatrudnić. Podobnych przypadków jest tak wiele, że część kancelarii adwokackich utworzyła na stronach internetowych osobne działy dla klientów „zwolnionych za wolność słowa".

FRANCUSCY „WERYFIKATORZY"

Wątpliwości wielu internautów budzą cenzorskie zapędy administratorów Facebooka. O problemach polskich użytkowników największego portalu społecznościowego związanych z blokadami lub wręcz kasowaniem kont oraz profili o charakterze patriotycznym, prawicowym i katolickim wielokrotnie pisały polskie media – od „Do Rzeczy" poczynając poprzez Polskie Radio czy TVP. Amerykański portal usuwał m.in. zdjęcia należące do działacza pro-life dr. Bawera Aondo-Akaa, przez kilkadziesiąt godzin portal blokował również treści promujące Marsz Niepodległości. Cenzorzy Marka Zuckerberga tymczasowo zablokowali także konto posła i przedsiębiorcy Marka Jakubiaka.

Facebook w zeszłym tygodniu oburzył część internautów w Polsce, informując, że przed tegorocznymi wyborami parlamentarnymi w Polsce rolę cenzorów postów będą odgrywać pracownicy Agence France Presse (AFP). Należąca do francuskiego rządu agencja prasowa – utworzona w wyniku dekretu wydanego przez rząd w Paryżu w roku 1944 – która na swojej oficjalnej stronie nie ma polskiej wersji językowej (choć ma wersję angielską, hiszpańską, portugalską, niemiecką i arabską) – będzie „oceniać rzetelność i prawdziwość treści na Facebooku, począwszy od tego miesiąca". „Gdy weryfikator informacji oceni treść jako fałszywą, pokazujemy ją niżej w Aktualnościach, znacznie zmniejszając jej dystrybucję. Zapobiega to rozprzestrzenianiu się oszustw i zmniejsza liczbę osób, które je widzą. Zasięg stron i domen, które notorycznie udostępniają fałszywe wiadomości, także zostanie zmniejszony. Zostaną one również pozbawione możliwości korzystania z narzędzi reklamowych i monetyzacyjnych na Facebooku. Pomaga to ograniczyć rozpowszechnianie fałszywych wiadomości motywowanych finansowo. Z naszego doświadczenia wynika, że gdy dany materiał zostanie oceniony jako fałszywy, udaje nam się ograniczyć jego zasięg o 80 proc." – napisał Facebook w informacji prasowej, podkreślając, że w programie weryfikacji informacji Facebooka uczestniczy już 43 zewnętrznych partnerów na całym świecie, którzy sprawdzają prawdziwość treści w 24 językach.

Do otwartej cenzury w mediach społecznościowych musieli już przywyknąć mieszkańcy Francji czy Niemiec, w których od ponad roku obowiązuje prawo (zwane w skrócie NetzDG), które wymaga od największych serwisów społecznościowych skutecznej reakcji na tzw. mowę nienawiści. Za brak szybkiej reakcji tacy giganci jak YouTube, Twitter czy Facebook mogą zapłacić nawet 50 mln euro kary. Konieczność usunięcia obraźliwych postów nie wynika z decyzji sądu – wystarczą zgłoszenia od użytkowników serwisu. Tempo działania cenzorów sprawdza specjalna kilkudziesięcioosobowa komórka w niemieckim resorcie sprawiedliwości. Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich już roku temu wyraziło więc zaniepokojenie wprowadzeniem w Niemczech przepisów, które mogą zagrażać realizacji zasady wolności słowa. W ocenie CMWP SDP przepisy te „w praktyce mogą stać się ukrytą cenzurą represyjną".

Obserwując działania współczesnych cenzorów, łatwiej można zrozumieć komentarz jednego z pierwszych inwestorów Facebooka Rogera McNamee'a, który w wywiadzie dla „The Daily Telegraph" już w 2017 r. porównał działania największego portalu społecznościowego świata do metod stosowanych przez szefa propagandy Trzeciej Rzeszy.

O WŁADZY TYLKO Z MIŁOŚCIĄ

Idąc śladem amerykańskich koncernów i europejskich ustawodawców, politycy rządzący w Azji, pod pretekstem walki z fake newsami, również wprowadzają przepisy służące ograniczaniu swobody wypowiedzi. W zeszłym tygodniu parlamentarzyści w Singapurze zaczęli debatę nad wyjątkowo surową Ustawą o ochronie przed internetowym fałszem i manipulacjami, która – zdaniem krytyków – może służyć rządowi do ograniczania wolności słowa i walki z dysydentami.

Zgodnie z projektem ustawy media społecznościowe będą zobowiązane do specjalnego oznaczania tych postów, które zdaniem rządu są fałszywe, a także usuwania wszystkich komentarzy, które są sprzeczne z „interesem publicznym". Dzięki temu zapisowi władze będą mogły żądać usunięcia wszelkich postów, które uzna za zagrożenie dla bezpieczeństwa, stosunków międzynarodowych, integralności wyborczej, a także dla publicznego postrzegania rządu oraz instytucji państwowych. Za taką „mowę nienawiści" osobie indywidualnej może grozić grzywna równowartości 140 tys. zł i pięć lat więzienia. W przypadku, gdy przestępstwo zostanie dokonane za pomocą fałszywego konta lub profilu kontrolowanego przez bota, potencjalna kara rośnie do równowartości ok. 280 tys. zł oraz 10 lat więzienia. Facebook i inne firmy – jeśli zostaną uznane winnymi szerzenia fałszywych newsów – mogą być ukarane grzywną w wysokości niemal 3 mln zł. Podczas debaty o „mowie nienawiści" minister spraw wewnętrznych Singapuru zaprezentował też listę utworów, które mogą być uznane za obraźliwe lub promujące przemoc. Na liście znalazły się m.in „Judas" Lady Gagi, „Take Me to Church" Hoziera czy „God is a Woman" Ariany Grande.

Jest rzeczą oczywistą, że „fałszywe wiadomości" niosą za sobą wiele niebezpieczeństw. Nie są one jednak niczym nowym. Na fake newsach oparta była już prowadzona przez ludzi Oktawiana propagandowa kampania oskarżeń wobec Marka Antoniusza kilkadziesiąt lat przed naszą erą. Walka z dezinformacją za pomocą cenzury jest karygodnym błędem i to niezależnie od tego, czy władzę nad prawdą i publicznym oświeceniem chcą przejąć sowieccy propagandziści, Joseph Goebbels czy Mark Zuckerberg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

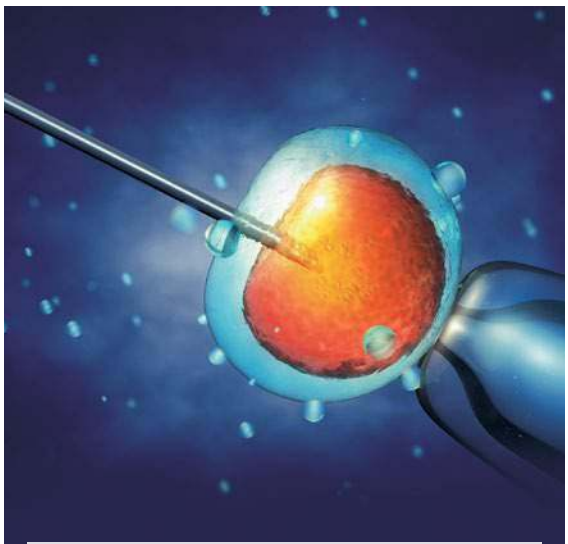

FOT. ADOBE STOCK

URODZIŁA DZIECKO SYNA I JEGO MĘŻA

W USA dwóch panów tworzy „małżeństwo". Zawsze marzyli, by zostać rodzicami. Pomogła mama jednego z nich. Urodziła im córkę. Dziewczynka narodziła się dzięki zabiegowi in vitro. Dawcą nasienia był... syn kobiety. Komórki jajowe pobrano od siostry jego życiowego partnera. W dodatku matkobabcia ma 61 lat. Cały ten absurdalny pomysł podsunęła rodzinie specjalistka endokrynologii ginekologicznej.

PAPIEŻ O MESSIM

Franciszek udzielił wywiadu hiszpańskiej telewizji La Sexta. W trakcie rozmowy padło pytanie o to, czy porównywanie świetnego piłkarza Lionela Messiego do Boga jest świętokradztwem. Papież stwierdził, że „teoretycznie jest to świętokradztwo", ale zaraz dodał, że on w to nie wierzy. Stwierdził, że ludzie mogą mówić, iż piłkarz jest Bogiem, tak samo jak mogą go ubóstwiać. Zdaniem Franciszka to tylko popularny sposób mówienia o sportowcu.

JAK PREMIER DO PIOSENKARKI PISAŁ

Premier Irlandii pół roku temu wysłał list do Kylie Minogue. Napisał go na oficjalnym, urzędowym papierze, więc media zażądały jego ujawnienia. Premier wstrzymywał to pół roku, w końcu ustąpił. Okazało się, że napisał do piosenkarki jak nastoletni fan. Wspominał, że nie może się już doczekać jej koncertu, i oferował, że może ją osobiście powitać w swoim kraju. Czy list pomógł? Wiadomo, że na koncercie polityk spotkał się z gwiazdą. Zarzucano mu, że dzięki temu załapał się na darmowy obiad.

NAGOŚĆ DLA KLIMATU

Jak wiadomo, najskuteczniejszym sposobem wpływania na rzeczywistość jest rozbieranie się do rosołu, najlepiej w miejscach publicznych. Tym razem 12 osób postanowiło ocalić świat i zwrócić uwagę na zmianę klimatu. Dlatego rozebrali się do naga w budynku Izby Gmin w Wielkiej Brytanii. Ponieważ nagusy nie chciały dobrowolnie opuścić brytyjskiego parlamentu, interweniowała policja. Scotland Yard zatrzymał wszystkich 12 nagich ludzi. Nie wiadomo jeszcze, jak to wpłynie na klimat.

PO MECZU PRZEJECHAŁ KIBICÓW

Sąd wydał wyrok w sprawie piłkarza walijskiej ligi. Członek amatorskiej drużyny Margam Football Club zdenerwował się, gdy w ubiegłym roku jego ekipa przegrała mecz 0:5. Wsiadł w samochód i rozjechał grupę fanów. Bronił się, twierdząc, że tylko próbował uciec przed nastolatkami krzyczącymi do niego: „Grubas". Sąd uznał jednak, że zareagował tak, bo stracił nad sobą panowanie. Uznał go winnym. ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Wstrętni kapitaliści

Źli, niewdzięczni, paskudni przedsiębiorcy! Po blisko już czterech latach hołubienia, dopieszczania, dbania i przychylania nieba przez rząd PiS na tę partię chce głosować 26 proc. właścicieli firm, a na Koalicję Europejską – 39 proc. Próba to 500 przedsiębiorców, sondaż zrobiony w marcu.

Wyjaśnienie jest proste: przedsiębiorcy to źli liberałowie, którzy chcieliby nadal móc wyzyskiwać lud pracujący miast i wsi, a dobry PiS im na to nie pozwala, więc go nie lubią. Poza tym większość w naturalny sposób wspiera targowicę, więc nie ma co ich żałować. Nie doceniają tego, co dla nich zrobiono, więc nie ma sensu robić nic więcej.

A może jest inaczej? Może przedsiębiorcom wcale nie jest tak świetnie? Może słynne uszczelnianie VAT dla wielu z nich, choćby byli najuczciwsi, oznacza więcej kontroli i pracy? Może część z nich zabija zakaz niedzielnego handlu? Może przerażają ich wypowiedzi takie jak ministra Ardanowskiego, zapowiadającego, że ustawą nakaże się, żeby połowa towarów w sklepach była polska? Czyli, krótko mówiąc, może przedsiębiorcy wybierają racjonalnie, a to z rządzącymi jest coś nie tak?

E tam, niemożliwe. Odrzućmy te nieprawomyślne i zdradliwe tezy. Na pewno prawdziwa jest pierwsza przyczyna.

A skoro tak, to można będzie już bez żadnych oporów w przyszłości wprowadzać choćby kolejne testy przedsiębiorcy, żeby odsiać oszustów, którzy nie chcą wspierać patriotycznej władzy i uparcie starają się płacić podatek liniowy. Wstrętni kapitaliści, niech się nogami nakryją! ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

Witold Repetowicz

Turecki prezydent postanowił cynicznie wykorzystać zamach na meczet w Nowej Zelandii do nowych ataków przeciwko Zachodowi. W ten sposób buduje swoją V kolumnę w Europie i inspiruje takie zamachy jak ten dokonany przez tureckiego terrorystę w Utrechcie

Erdoğan szczuje na Europę

FOT. UMIT BEKTAS/REUTERS/FORUM

Chodźmy zniszczyć Europę!" – krzyczał 19 marca tłum zwolenników Erdoğana na wiecu przedwyborczym w tureckim mieście Kocaeli. Dzień wcześniej ich rodak, 37-letni Gokmen Tanis, ostrzelał w holenderskim Utrechcie tramwaj, zabijając trzy osoby i raniąc siedem. Media tureckie od razu ogłosiły, że był to efekt „rodzinnej sprzeczki" niemający jakoby nic wspólnego z polityką ani terroryzmem. Takie wytłumaczenie było wygodne dla Erdoğana, który nie miał zamiaru ani zrezygnować z dalszego podjudzania Turków przeciwko Zachodowi, ani brać odpowiedzialności za to, co się stało w Utrechcie. Jednak turecka wersja zamachu okazała się wyssana z palca. Policja holenderska szybko sprawdziła, że ofiar nic nie łączyło ze sprawcą, który pozostawił list wskazujący na polityczne motywy ataku. W sprawie aresztowano też dwie inne osoby, co zdaje się sugerować, że nie działał on sam, choć holenderska prokuratura jest bardzo wstrzemięźliwa w podawaniu szczegółowych informacji. Pojawiły się zresztą również informacje o tym, że Tanis miał kontakty z Państwem Islamskim i jeździł do Czeczenii, by walczyć w tamtejszych oddziałach dżihadystów.

SIEĆ TURECKICH WPŁYWÓW

To, że zamach w Utrechcie odbył się zaledwie trzy dni po ataku terrorystycznym na meczet w nowozelandzkim Christchurch, nie było przypadkowe. Zbiegiem okoliczności nie było również to, że sprawcą był Turek, a turecki prezydent, jak nikt inny w świecie muzułmańskim, od razu przystąpił do politycznego eksploatowania zamachu w nowozelandzkim meczecie. Jeszcze tego samego dnia Erdoğan stwierdził, że wydarzenia w Christchurch były „ostatnim przykładem nasilających się rasizmu i islamofobii" oraz były efektem „długiego planowania". Wezwał też kraje zachodnie do tego, by niezwłocznie przystąpiły do „zwalczania islamofobii", dodając, że „ta mordercza tendencja, atakująca również jego kraj, rozprzestrzenia się na Zachodzie niczym rak". W następnych dniach na każdym swoim wiecu puszczał nagranie z meczetu w Christchurch, przekonując zgromadzone tłumy swoich zwolenników, że manifest zamachowca był „przygotowany przez Zachód".

Erdoğan oczywiście nie wspomniał o tym, że atak w Christchurch był pierwszym takim terrorystycznym aktem dokonanym na szeroko rozumianym Zacho-

eprasa.pl 690fe9c854

dzie motywowanym niechęcią do islamu. Jeśli chodzi o Breivika, to abstrahując od tego, że w pierwszej diagnozie uznano go za schizofrenika paranoidalnego, warto pamiętać również, że jego ofiarami nie byli muzułmanie. Tymczasem według raportów Europolu tylko na naszym kontynencie w wyniku ataków dżihadystycznych terrorystów w ostatnich czterech latach zginęły 383 osoby. Do tego należy doliczyć ofiary Erdoğanowego szczucia zabite w Utrechcie.

Zamach tureckiego terrorysty nie był jednak zbyt wygodny dla Erdoğana, ale tylko ze względu na czas jego dokonania. Tureckie służby specjalne same angażują się ostatnio w planowanie porwań i zabójstw w Europie. Erdoğan ma jednak również plan politycznej aktywizacji tureckiej społeczności zamieszkującej niektóre kraje europejskie. Do niedawna tylko w jednym kraju Unii Europejskiej turecka partia miała przedstawicieli w parlamencie. Chodzi o Bułgarię, w której Turcy stanowią niespełna 10 proc. populacji. Znaleźli się tam jednak w wyniku kolonizacji jeszcze z czasów osmańskich. Ponadto partia bułgarskich Turków, Ruch na rzecz Praw i Swobód (DPS), utrzymuje raczej chłodne relacje z reżimem Erdoğana, co skłoniło tureckiego przywódcę do dokonania rozłamu w DPS i stworzenia konkurencyjnej, proerdoğanowskiej partii DOST, która jednak w wyborach w 2017 r. zdobyła tylko 2,9 proc. głosów i nie dostała się do parlamentu. DPS ma też czterech przedstawicieli w europarlamencie. Sondaże przedwyborcze wskazywały ostatnio, że Turcy mogą liczyć również na jeden mandat lub dwa w europarlamencie z Holandii. Nie chodzi przy tym o polityków tureckiego pochodzenia, działających w różnych ogólnokrajowych partiach, ale o przedstawicieli partii tureckiej, w dodatku proerdoğanowskiej. Nosi ona nazwę Denk.

Zamach dokonany przez Gokmena Tanisa nastąpił dwa dni przed holenderskimi wyborami do rad prowincji i senatu. Ostatnie sondaże pokazywały, że Denk mogło liczyć na 5 proc. poparcia, co oznacza wzrost o 3 punkty procentowe w porównaniu z wynikiem w wyborach parlamentarnych w 2017 r. Denk uzyskało wówczas trzy mandaty w holenderskim parlamencie, stając się pierwszą islamsko-migrancką partią w Europie z reprezentacją parlamentarną. W wyborach do parlamentów prowincjonalnych turecka partia poniosła jednak całkowitą klęskę, zdobywając tylko trzy spośród 570 mandatów, i nie będzie reprezentowana w 75-osobowym senacie. Co więcej, wybory wygrało antyimigranckie Forum na rzecz Demokracji.

Rozszerzaniu tureckich wpływów w Europie służy sieć tureckich meczetów, w których imamowie bezpośrednio podlegają pod turecką agencję rządową ds. religii o nazwie Diyanet. Powoduje to, że na terenie Europy działają tysiące tureckich agentów, którzy przesyłają do Ankary donosy i szerzą erdoğanowską propagandę wśród mieszkających w Europie Turków. Chodzi m.in. właśnie o ten przekaz nienawiści do świata zachodniego, chrześcijańskiego, w którym ci Turcy często żyją od dekad. Dotyczy to jednak również agitacji za takimi ugrupowaniami jak Denk, a także prowadzenia kampanii wyborczej na rzecz Erdoğana w wyborach tureckich. Wiosną 2017 r. plany prowadzenia w Holandii kampanii przed tureckim referendum konstytucyjnym kolidowały z holenderską kampanią przed wyborami parlamentarnymi. Erdoğan, ignorując to, doprowadził wówczas do faktycznego zawieszenia stosunków dyplomatycznych między obydwoma krajami. Jednak to wtedy właśnie do parlamentu w Hadze weszło Denk.

TEN STRASZNY ZACHÓD

Erdoğan, rzucając ciągłe oskarżenia o rasizm i islamofobię, rozpościera zasłonę dymną, która ma ochronić agenturalną siatkę turecką w Europie. A jej działalność obejmuje także akcje o charakterze kryminalnym i terrorystycznym. W styczniu 2013 r. w Paryżu zabito trzy kurdyjskie aktywistki, a francuski sąd wskazał później na zaangażowanie w ten mord tureckich służb specjalnych. W 2018 r. media niemieckie, szwedzkie i szwajcarskie donosiły natomiast o planach porwań i zabójstw tureckich dysydentów. Zbrodni miał dokonywać turecki gang działający w Niemczech i noszący nazwę Osmanen Germania, a finanse mieli zapewniać bliscy współpracownicy Erdoğana.

Ataki prezydenta Turcji na Europę i szeroko rozumiany Zachód miały oczywiście również związek z toczącą się do niedawna kampanią przed wyborami samorządowymi w Turcji, które odbyły się 31 marca. Problem w tym, że to odwoływanie się do islamistyczno-nacjonalistycznych emocji jest powtarzane przy każdych wyborach i za każdym razem robione jest to z coraz większą agresją. Wynika to m.in. z tego, że pogarszająca się sytuacja gospodarcza Turcji powoduje narastającą obawę Erdoğana przed upadkiem jego reżimu. Na swoich wiecach Erdoğan, pokazując nagranie z zamachu w Christchurch, łączy je z wyrwanymi z kontekstu wypowiedziami lidera tureckiej opozycji Kemala Kiliçdaroğlu, z których wynikać ma, że uznał on, iż po stronie świata muzułmańskiego też istnieje obowiązek przeciwdziałania terroryzmowi. Erdoğan oskarżył go zatem o obrażanie islamu poprzez sugerowanie, że może on być źródłem terroryzmu.

Jakkolwiek by to brzmiało absurdalnie, dla Erdoğana i jego zwolenników sprawa jest prosta: chrześcijański Zachód jest źródłem antymuzułmańskiego terroryzmu, który jest ogromnym problemem. Natomiast wiązanie terroryzmu z islamem jest całkowicie niedopuszczalne i musi być zwalczane. Takie podejście nie powinno nikogo dziwić, zważywszy na współpracę i pomoc, na jaką ze strony Turcji od lat może liczyć syryjska Al-Kaida. Erdoğanowska Turcja utrzymywała również kontakty z Państwem Islamskim, co potwierdził nieformalny ambasador „kalifatu" w Turcji Abu Mansour al Maghrebi (znajdujący się obecnie w więzieniu w Iraku). Trudno się spodziewać, że rząd z takimi powiązaniami uzna, iż istnieje islamski terroryzm, gdyż musiałby równocześnie przyznać, że jest jego sponsorem.

BRAK REAKCJI

Gdyby Erdoğan naprawdę troszczył się o życie muzułmanów, to powinien spojrzeć w lustro. Zobaczyłby tam człowieka odpowiedzialnego np. za spalenie żywcem ponad 100 kurdyjskich obywateli Turcji w Cizre w lutym 2016 r. Oni też byli muzułmanami. Ani Erdoğana, ani podporządkowanego mu aparatu propagandowego nigdy nie obchodziły też masakry dokonywane na szyitach czy to w irackim Camp Speicher, gdzie wymordowano 1,7 tys. osób w ciągu jednego dnia, czy w Tel Afar, choć tam byli to Turkmeni. Próżno też szukać takiego oburzenia zamachami dokonywanymi przez sunnickich dżihadystów na szyickie meczety, np. w czerwcu 2015 r. w Kuwejcie (zginęło tam 27 osób). O reakcjach Turcji, a raczej ich braku, na mordy dokonywane przez muzułmanów na chrześcijanach czy jezydach już nawet nie warto wspominać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Poroszenko albo

Każdy oprócz Petra Poroszenki będzie lepszym prezydentem Ukrainy z punktu widzenia Rosji

FOT. AP/EAST NEWS

Marek Budzisz

Dotychczasowy prezydent będzie próbował ograć aktora Zełenskiego albo się z nim dogadać. Tylko to już mogą zrobić sami oligarchowie, bez Poroszenki

Mamy już informacje o wynikach wyborów na Ukrainie na podstawie 100 proc. zebranych protokołów. Nie jest to jeszcze oficjalny komunikat, ale to już raczej kwestia formalna. Zełenski zdobył 5,7 mln głosów (30,24 proc.), jego główny, jak się okazało, konkurent, czyli urzędujący prezydent Petro Poroszenko – 3 mln (15,95 proc.). Teraz na Ukrainie trwają dyskusje, czy w ciągu 21 dni (druga tura odbędzie się 21 kwietnia) będzie on w stanie nadrobić stratę. Większość socjologów uważa, że będzie to co najmniej bardzo trudne.

Jedno przynajmniej w ciągu kilku powyborczych nocy się wyjaśniło – na Ukrainie nie będzie kolejnego Majdanu, a przynajmniej nie zorganizują go zwolennicy wielkiej przegranej, czyli Julii Tymoszenko. Na początku wydawało się, że nie będzie ona chciała uznać swojej wyborczej porażki. Z jej sztabu wyborczego napływały informacje, że sami liczą głosy, zbierając kopie protokołów z komisji wyborczych, czyli – jak publicznie mówiono – „twarde dokumenty", a nie elektroniczne raporty. I z przekazywanych publiczności informacji wynikało, że zdaniem Tymoszenko to ona, a nie urzędujący prezydent, jest na drugim miejscu. Ostatecznie jednak pogodziła się z porażką. Wystąpiła na konferencji prasowej, w trakcie której rutynowo oskarżyła obóz prezydencki o sfałszowanie wyborów, ale jednocześnie stwierdziła, że nie zaskarży ich wyniku w sądzie. Międzynarodowi obserwatorzy już wydali komunikat, w którym stwierdzili, że wybory były uczciwe, a ponadto niewielki rozdźwięk między wynikami wielu exit poll a ostatecznymi rezultatami zdecydowanie ostudził emocje.

Stanowisko Julii Tymoszenko jest ważne przede wszystkim z tego powodu, że zakwestionowanie przez nią wyników z pewnością byłoby na rękę Moskwie. Jednak tylko w jednym wypadku – jeśli wygra Poroszenko. Bo jeśli zwycięzcą będzie Zełenski, to wówczas Kreml raczej nie będzie kontestował wyników ukraińskiego głosowania.

CELE KREMLA

Po pierwszej turze w izbach rosyjskiego parlamentu słychać było głosy, że wybory na Ukrainie to „farsa" i Moskwa nie powinna uznawać ich wyników. Argumentem ma być decyzja Kijowa o niewpuszczeniu rosyjskich obserwatorów (tak jakby obecność tysięcy wysłanych przez Radę Europy i państwa szeroko rozumianego Zachodu nie miała znaczenia). Rosyjscy politolodzy zwracają z kolei uwagę na stonowaną reakcję Kremla. Rzecznik Putina Pieskow odniósł się jedynie do słów Zełenskiego wypowiedzianych w przededniu głosowania, kiedy ten zapytany, co powie, kiedy po raz pierwszy spotka się z rosyjskim prezydentem, odparł, że zapyta go, ile Rosja po

eprasa.pl 690fe9c854

tandemokracja?

Wołodymyr Zełenski nie ma doświadczenia ani wiedzy. Czy stworzy z Poroszenką polityczny duet?

FOT. PAVLO CONCHAR/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

tym, jak już zwróci okupowane ukraińskie terytoria, ma jeszcze zamiar zapłacić w charakterze rekompensaty. Pieskow powiedział, powtarzając oficjalną linię Kremla, iż „możemy wyjaśnić każdemu obywatelowi Ukrainy, że w ogóle nie może być mowy o tym, iż Rosja okupuje jakiekolwiek ukraińskie terytoria". Dodał przy tym, że kwestia Krymu jest „raz i na zawsze" zamknięta, a czas na oficjalne komentowanie wyników głosowania na Ukrainie nadejdzie, kiedy wybory się zakończą.

Rosyjscy politolodzy uważają jednak, że głosy, które dało się słyszeć w Dumie, to część przygotowania „pola boju" na wypadek finalnego sukcesu Poroszenki, z czym na Kremlu poważnie się liczą. I dodają, że z punktu widzenia Moskwy każdy kandydat, który nie jest Poroszenką, jest lepszy.

Warto też zwrócić uwagę na to, jak w Rosji komentuje się słowa Zełenskiego o zwrocie Ukrainie okupowanych terytoriów. Otóż dość zgodnie zwraca się tam uwagę na moment, kiedy zostały one wypowiedziane – niemal w przededniu niedzielnego głosowania. Zdaniem analityków trzeba je więc traktować nie jak deklarację stricte programową, ale chwyt wyborczy. Wiadomo już było po ubiegłotygodniowych sondażach opinii publicznej, że kandydat aktor wejdzie do drugiej tury, więc trzeba było wysłać komunikat skierowany do tej grupy wyborców, którzy popierali kandydatów o jednoznacznie antyrosyjskim nastawieniu. Tak przynajmniej uważają w Moskwie.

Oczywiście nie można tego poglądu absolutyzować, bo Rosjanie, choć znacznie lepiej niż my poinformowani o tym, co się dzieje na Ukrainie, również popełniają błędy w swoich ocenach. Przykład? Jeszcze w przededniu wyborów analitycy portalu Regnum byli zdania, że do drugiej tury wejdzie Jurij Bojko, kandydat prorosyjski, lider formacji Za Życie, który wygrał wybory w najbardziej na południowy wschód wysuniętych częściach Ukrainy. W świetle ostatnich informacji zdobył on 11,67 proc. głosów, co daje mu mocne czwarte miejsce. Oczywiście gdybyśmy do tej puli doliczyli 4,15 proc. głosów, które padły na Aleksandra Wilkula, innego wyraźnie prorosyjskiego kandydata, to prognoza była bliska ziszczenia się, bo łącznie na teoretycznego „kandydata Wschodu" mogło paść 15,82 proc. Drugi w wyścigu Poroszenko ma 15,95 proc.

Ukraińscy socjologowie komentujący wyniki pierwszej rundy są zdania, że to raczej dobry wynik Zełenskiego spowodował słaby rezultat prorosyjskiego Bojki, bo wyborcy ze wschodu i południa Ukrainy „właściwie nie widzą między nimi różnicy". Jednak od początku było wiadomo, że wysunięty przez Rinata Achmetowa Wilkul nie kandyduje po to, aby wygrać, ale po to, aby odebrać głosy Bojce. Cały manewr z wizytą Bojki w towarzystwie Medwiedczuka (ukraińskiego polityka nazywanego nieformalnym ambasadorem Putina) w Moskwie, by po transmitowanym w telewizji spotkaniu z premierem Miedwiediewem i szefem Gazpromu Millerem uzyskać zapewnienie, że Rosja jest gotowa obniżyć ceny dostarczanego na Ukrainę gazu nawet o 25 proc., okazał się z punktu widzenia wpływu na wybory nieskuteczny. Wydaje się jednak, że w ciągu najbliższych dni sporo jeszcze o tym usłyszymy, bo od 2014 r. ceny gazu dostarczanego ludności wzrosły już 10 razy.

eprasa.pl 690fe9c854

Na co liczą sztaby dwóch głównych kandydatów, a przede wszystkim goniącego Poroszenki? Z jego obozu dobiegają głosy, które pozwalają sądzić, że strategią urzędującego prezydenta będzie obnażanie nieprzygotowania i niedoświadczenia, a także braku samodzielności Zełenskiego. Kampania będzie niezwykle brutalna. Poroszenko już powiedział o swym rywalu, że „jest marionetką Kołomojskiego", oraz dodał, iż Ukraińcy muszą pamiętać, że Rosji w ewentualnych rozmowach z Kijowem nie będą reprezentowali Gałkin i Petrosjan (znani rosyjscy komicy), tylko prezydent Putin.

WYZWANIA NA DEBATĘ

Zełenski do tej pory uchylał się z przedstawieniem swego programu i członków swojej ekipy. Nie uczestniczył też w debatach. Obóz Poroszenki złożył w Radzie Najwyższej nawet projekt specjalnej ustawy, w myśl której przed drugą turą wyborów kandydaci mają obowiązek uczestniczyć w debatach, a odmowa przyjścia do studia może być powodem do wykreślenia kandydata z rejestru. Na taki „numer" obecna władza raczej nie pójdzie, bo byłby to ruch w stylu Mołdawii, ale z pewnością będzie lansowany pogląd, że Zełenski to postać niesamodzielna, podejrzana, bez doświadczenia, bez zaplecza i na dodatek tchórzliwa. Jednak Zełenski niespodziewanie sam zaproponował debatę, wyprzedzając manewry sztabu swego konkurenta. A przy tym nie taką zwykłą, ale prowadzoną na stadionie olimpijskim w Kijowie, przed wielotysięczną publicznością. Postawił przy tym kilka dość szczególnych warunków, których niespełnienie może mu dać pretekst do wycofania się. Niektóre z nich, jak np. ten, że Poroszenko przed rozpoczęciem „pojedynku" ma powiedzieć przed milionami widzów, iż staje do walki nie z komikiem, nie z marionetką Kołomojskiego, ale z kandydatem na prezydenta Ukrainy, są trudne dla urzędującego prezydenta. Inny warunek – Poroszenko ma się poddać badaniu lekarskiemu, które ma na celu sprawdzenie, czy nie jest alkoholikiem lub narkomanem.

Tymczasem prezydent oświadczył, że jest gotów poddać się badaniu lekarskiemu i czeka w ambulatorium na swego rywala. Liczy, że w poważnym starciu, kiedy dyskutować się będzie o realnych problemach, uda mu się obnażyć to, że Zełenski ponoć nie ma zupełnie pojęcia o sprawach międzynarodowych. Jest sympatycznym przedstawicielem „nowej generacji", ale na kwestiach publicznych się nie zna. Dyplomaci państw zachodnich, którzy poprosili o spotkanie z nim w lutym, byli wprost zszokowani poziomem jego wiedzy czy raczej niewiedzy. Udzielał ponoć takich odpowiedzi, że myśleli, iż żartuje.

KRAJ Z DŁUGAMI

A sprawy są poważne. Pomijając kwestie militarne, trzeba przypomnieć, że Ukraina ma w tym roku do spłacenia wierzycielom 16,5 mld dol. Tych pieniędzy nie ma. Jeśli międzynarodowe instytucje finansowe nie zrolują długu, to może być naprawdę źle. Niedawno, oczekując na wyniki ukraińskich wyborów, Bank Światowy wstrzymał kolejną transzę finansowania, więc wcale nie ma pewności, że pieniądze napłyną. Panuje takie napięcie, że reprezentanci niemieckiej socjaldemokracji wezwali Zełenskiego do ujawnienia swej ekipy i programu jeszcze przed drugą turą. Zachodnie, głównie anglosaskie media piszą o triumfatorze pierwszej tury per „komediant". A na dodatek pisze się o nim jako o przedstawicielu wzbierającej w Europie fali populizmu, co – zgódźmy się – nie jest dobrą rekomendacją. Nie można zatem wykluczyć jakiejś mniej lub bardziej zawoalowanej formy poparcia przez Zachód dla urzędującego prezydenta.

Obóz Poroszenki złożył w Radzie Najwyższej projekt ustawy – przed drugą turą kandydaci mieliby obowiązek uczestniczyć w debatach

Wreszcie sztab Poroszenki liczy na katolicką Wielkanoc, bo wówczas przypada druga tura wyborów. Mają przyjechać ukraińscy gastarbeiterzy, pracujący głównie w Polsce, i oddać swe głosy na prezydenta. Dość odważna to teza, bo Zełenski wygrał w Warszawie, a skala jego przewagi jest tak duża, że przyjazd emigrantów zarobkowych może nie wystarczyć.

W takiej sytuacji obecny obóz rządzący może pokusić się o sprowokowanie starć w Doniecku i próbę grania argumentem patriotycznym. Już przed pierwszą turą pojawiły się w prasie ukraińskiej doniesienia, że wzmocnione siły pancerne ukraińskiej armii zbliżyły się do Gorłowki, ważnego miasta położonego na linii rozgraniczenia. Taka „mała zwycięska" wojna mogłaby być z punktu widzenia Poroszenki przesądzająca. Problem w tym, że nie wiadomo, czy będzie zwycięska. A i wzrost poparcia nie jest gwarantowany, bo w okręgach zamkniętych (jednostki wojskowe) Poroszenko wygrał z Zełenskim różnicą tylko 2 punktów procentowych, mimo że szef sztabu ukraińskiej armii oficjalnie popierał prezydenta.

Czy mamy zatem, z punktu widzenia sztabu Poroszenki, do czynienia z sytuacją beznadziejną? Wydaje się, że nie, bo nawet jeśli te wszystkie chwyty „nie zagrają", to pozostaje jeszcze jedna możliwość – polityczny targ. Nie po to, aby Zełenski się wycofał, ale by stworzyć na wzór rosyjskiego duetu Miedwiediew-Putin, ukraińską wersję tandemokracji. Słaby i niedoświadczony prezydent współpracujący z silnym i wpływowym premierem.

Targi już trwają. Jak wieść niesie, kandydatów na „silnego premiera" jest co najmniej kilku. Mówi się o Julii Tymoszenko, ale pada też nazwisko wpływowego Arsena Awakowa, ministra spraw wewnętrznych, który trzymał się trochę z boku (chociaż zdaniem wielu wspierał obóz Tymoszenko, choć jego formacja jest w Radzie częścią Bloku Poroszenki). Problemem Poroszenki jest to, że ukraińscy oligarchowie, którzy policzyli swoje szable (tak jak Achmetow w przypadku kandydatury Wikula), mogą chcieć sami prowadzić tego rodzaju negocjacje. Bo do czego potrzebny jest im prezydent?

O Polsce, oprócz ogólnych deklaracji o woli poprawy relacji między naszymi krajami, wiele się w ukraińskiej kampanii nie mówiło. Część prasy pisze wprost o tym, że Polska „ukradła" Ukrainie ewentualny sukces związany z integracją tamtejszej gospodarki z Unią. Bo drenujemy ich z najlepiej wykształconych, młodych i dynamicznych rąk do pracy i do siebie ściągamy inwestycje z Zachodu. W Unii i w nowych firmach ma kto pracować. To ma być powód tego, że strumień inwestycji zachodnich napływających na Ukrainę jest wąziutki.

Warto zauważyć, że Zełenski powiedział w kampanii, iż polskie firmy winny wziąć udział w prywatyzacji ukraińskiego sektora rolnego i przetwórstwa żywności. To branża, która w ubiegłym roku ściągnęła najwięcej inwestycji zagranicznych na Ukrainę. Polska powinna przygotować plany w tym zakresie. Bo mamy w Kijowie młodego, dynamicznego, nowego ambasadora. Trzeba teraz czekać na pozytywny przełom w dwustronnych relacjach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Casa Azul Films

Ecran Noir Productions

SPECJALNA
ZŁOTA PALMA
CANNES 2018

JEAN-LUC GODARD

IMAGINACJE

GODARD

BATTAGIA

ARGANO

BRENEZ

"Kinowa burza mózgów"
Los Angeles Times

"Żyje i oddycha kinem"
Chicago Tribune

wprost

DO RZECZY

FILM

machina

INSTITUT FRANÇAIS

eprasa.pl 690fe9c854

Lotnisko z historią

Marcin Makowski

Koncepcja Centralnego Portu Komunikacyjnego ma 50 lat. Analizy zamawiały rządy SLD i PO. A kolejni ministrowie jako jedno z miejsc wskazywali Baranów pod Warszawą

Chociaż budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego może rodzić pytania o sensowność, źródła finansowania i skalę inwestycji, to nie jest on – jak często stara się to dzisiaj przedstawiać – owocem gigantomanii jednego rządu. Prace koncepcyjne nad centralnym lotniskiem rozpoczęto już w latach 70. ubiegłego wieku, a poszczególne gabinety, od 2003 r., regularnie pochylały się nad tematem, publikując przekrojowe raporty, organizując grupy robocze ekspertów oraz wydając jednoznaczne rekomendacje. Bez względu na to, czy u sterów była lewica, czy centroliberałowie, brzmiały one następująco: wobec stopniowej niewydolności Lotniska Chopina hub lotniczy umiejscowiony między Warszawą a Łodzią stanowi jedyną możliwość kontynuowania rozwoju tej gałęzi rynku w Polsce.

JEDNO ZAMIAST TRZECH

Po I wojnie światowej i odzyskaniu przez Polskę niepodległości II Rzeczpospolita mogła się pochwalić tylko jednym lotniskiem ulokowanym w stolicy. Port znajdujący się na Polu Mokotowskim obsługiwał ówcześnie zarówno ruch wojskowy, jak i pasażerski, ale wobec dynamicznego rozwoju awiacji na początku XX w. z czasem po prostu przestał wystarczać. Zamiast jednego planowano wybudować trzy osobne pasy startowe: sportowy na Bielanach, cywilny na Gocławiu i wojskowy na Okęciu. Od początku 1931 r. na ten ostatni zaczęto przenosić 1. Pułk Lotniczy WP, a trzy lata później – ze względu na plany urbanistyczne i chęć zabudowy mieszkalnej Pola Mokotowskiego – również ruch pasażerski. Było to rozwiązanie tymczasowe, mające funkcjonować do czasu ukończenia inwestycji na Gocławiu. Koncepcje wychodzące w przyszłość brutalnie przerwała jednak II wojna światowa. Co oczywiste, Okęcie jako największy cywilno-wojskowy port lotniczy II RP zostało zbombardowane przez Niemców w 1939 r., a następnie po

eprasa.pl 690fe9c854

Jeszcze w latach 60. i 70. równolegle z rozbudową portu na Okęciu tworzono koncepcję Centralnego Portu Lotniczego

FOT. PIOTR RYBARCZYK/FORUM

hitlerowskiej napaści na Polskę uporządkowane i wykorzystywane przez Luftwaffe do celów transportowych.

Po wojnie ze względu na konieczność odbudowy stolicy zrezygnowano z idei rozwijania trzech osobnych lotnisk (choć na Gocławiu do lat 70. działało lotnisko sportowe, w którego miejscu zbudowano osiedle mieszkaniowe Gocław-Lotnisko). Zamiast tego w 1962 r. podjęto decyzję o rozbudowie portu Warszawa-Okęcie, z osobnym komponentem wojskowym. Równolegle, już na początku lat 70., sondowano jednak pomysł utworzenia nowego Centralnego Portu Lotniczego, którego obszerna dokumentacja i koncepcja pt. „Opis projektu wyboru nowego lotniska dla Warszawy realizowanego w latach 1971–1974" trafiła w ręce najwyższych władz PZPR. Pierwszą osobą, która wyszła z pomysłem centralnego lotniska, był Bogusław Jankowski, ekspert w dziedzinie transportu publicznego, wiceprezes Towarzystwa Integracji Transportu. To on wraz z Henrykiem Panuszem stworzyli koncepcję Centralnego Portu Lotniczego sprzężonego z węzłem Kolei Dużych Prędkości, nad którą pracowali przeszło 20 lat. W epoce Edwarda Gierka funkcjonowanie hubu lotniczego miało być oparte na rozwoju Centralnej Magistrali Kolejowej, która pierwotnie miała biec ze Śląska do portu w Gdańsku. Niestety, pieniądze na realizację jej północnej gałęzi zostały przeznaczone na budowę szerokotorowej linii kolejowej łączącej Hutę Katowice ze wschodnią granicą, którą były transportowane surowce do ZSRS.

– W efekcie powstała tylko południowa część CMK. Gdyby jednak zgodnie z planami zbudowano całą, to krzyżowałaby się z Kolejami Dużych Prędkości na Równinie Mazowieckiej, na terenie gminy Baranów. To niejako definiowało położenie lotniska, wskazując optymalne miejsce na jego budowę. Zakładaliśmy, że szybka linia będzie przechodziła pod lotniskiem, co ułatwiłoby przesiadki między samolotami i pociągami – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Henryk Panusz, obecny prezes Towarzystwa Integracji Transportu. – Jako lokalizację dla centralnego portu wskazaliśmy dokładnie ten sam obszar, na którym obecnie jest planowana budowa CPK – dodaje.

Polscy naukowcy wzorowali się przy swoich planach światowymi trendami, które w latach 70. zaczęła wyznaczać rozbudowa waszyngtońskiego portu Dulles do rozmiarów międzynarodowego hubu przesiadkowego. – Aż trudno w to uwierzyć, ale początkowo był to jeden nieduży budynek na zupełnym pustkowiu. Na przestrzeni lat cały obszar pomiędzy portem lotniczym, który jest ponad 30 km od Waszyngtonu, został zabudowany infrastrukturą i wieżowcami z siedzibami kolejnych firm, które otwierały tam swoje centrale – zwraca uwagę Panusz.

POWRÓT DO ŁASK

Gierkowska koniunktura na kredyt trwała jednak za krótko, aby rodzime koncepcje centralnego lotniska mogły wyjść poza fazę dokumentacji. Musiały minąć cztery dekady, a rynek lotniczy w Polsce rozkwitnąć, aby sobie o nich przypomniano. Z końcem kwietnia 2003 r. ówczesne Ministerstwo Infrastruktury, na którego czele stał Marek Pol, wystąpiło z pismem informującym o zamiarze utworzenia międzyresortowej i interdyscyplinarnej grupy roboczej, przed którą postawiono zadanie wyboru lokalizacji centralnego lotniska. Jej inauguracyjne spotkanie odbyło się 9 czerwca, w wyniku prac grupy roboczej powstał liczący 64 strony „Raport międzyresortowego interdyscyplinarnego zespołu ds. wyboru lokalizacji lotniska centralnego dla Polski". Ustalenia z 2003 r. opierały się na wspomnianym wcześniej projekcie Jankowskiego i Panusza, stanowiącym załącznik do dokumentu rządu premiera Leszka Millera oraz koalicji SLD-UP.

W pracach komisji brało udział 18 ekspertów oraz przedstawicieli instytucji państwowych, m.in. resortów: finansów, spraw wewnętrznych i administracji, obrony narodowej oraz środowiska. Ustalenia z 2003 r. w dużej mierze pokrywają się z dzisiejszymi, zakładano bowiem budowę tzw. intermodalnego węzła transportowego dostosowanego do obsługi przewozów pasażerskich, cargo, poczty i sanitarnych, funkcjonującego w trybie całodobowym, połączonego bezpośrednią linią kolejową z głównymi miastami Polski i z dostępem do drogi szybkiego ruchu. Lotnisko wraz z obszarem ograniczonego użytkowania miało zajmować powierzchnię 7,3 tys. ha, a czas dojazdu do centrum Warszawy środkami transportu publicznego miał wynosić 12–15 min. Ówczesny centralny port komunikacyjny w pierwszym etapie miał być przystosowany na przepustowość 12 mln pasażerów rocznie, z możliwością rozwoju do 70 mln.

W raporcie dokonano wyboru jedynie spośród lokalizacji wskazanych przez same jednostki samorządu terytorialnego. Wytypowano siedem potencjalnych obszarów: Wołomin, Modlin, Radom, Nowe Miasto nad Pilicą, Babsk, Mszczonów oraz Sochaczew. Z analizowanych lokalizacji najwyżej zostały ocenione lokalizacje w Modlinie i Mszczonowie, również ze względu na rekomendacje wojska. Pod względem finansowania raport uwzględnia połączenie środków publicznych i prywatnych z ok. 10-procentowym uwzględnieniem unijnego zaangażowania w koszty inwestycji. – Chcemy, aby decyzja o tym, gdzie będzie drugie lotnisko, można powiedzieć centralne, zapadła w tym roku. Zasada jest taka, że nie powinniśmy oddalać się od Warszawy więcej niż o kilkadziesiąt kilometrów. Powinno być to także miejsce dobrze skomunikowane drogowo i kolejowo z miastem. W przeciwnym wypadku lotnisko to będzie zupełnie nieatrakcyjne

eprasa.pl 690fe9c854

– mówił minister Marek Pol w kwietniu 2003 r. Już wtedy wydawało się jasne, że urbanistyczne ograniczenia rozwoju Lotniska Chopina każą patrzeć poza rogatki Warszawy.

BARANÓW WKRACZA DO GRY

Dwa lata później, gdy miejsce Leszka Millera zajął Marek Belka (SLD), temat centralnego portu lotniczego ponownie pojawił się w rządowej agendzie infrastrukturalnej. Właśnie wtedy Urząd Lotnictwa Cywilnego podpisał umowę z konsorcjum Ineco-Sener na przygotowanie Studium wykonalności projektu „Centralny Port Lotniczy w Polsce". Konsorcjum w analizie przedstawiło kilka możliwych lokalizacji CPL, uznając za punkt wyjścia te analizowane w raporcie z 2003 r., przy czym podkreślono problematyczność przyjętego trybu wyboru lokalizacji dla Centralnego Portu Lotniczego, czyli wyboru gruntów spośród terenów wskazanych przez same zainteresowane jednostki samorządu terytorialnego, a nie spośród lokalizacji uznanych za optymalne przez Urząd Lotnictwa Cywilnego i Państwowe Porty Lotnicze. Mówiąc prościej: władze lokalne „nie chciały" oddawać cennych terenów, a te, które wyznaczyły, okazały się po prostu niewydolne do obsługi tak intensywnej siatki połączeń. W trakcie prac konsorcjum okazało się, że analizowana w Raporcie 2003 lokalizacja w Mszczonowie obejmowała jedynie 700 ha, zamiast koniecznych 2 tys. ha. Z tego względu zaproponowano analizę dwóch nowych lokalizacji – zmodyfikowanej w Mszczonowie (większy obszar) i nowej w Baranowie (39 km od Warszawy), która została zaakceptowana również w obecnych planach.

Odnosząc się do koncepcji budowy lotniska w Baranowie, konsorcjum stwierdziło, że znajduje się ona w niedalekiej odległości od Warszawy, blisko skrzyżowania dwóch głównych szlaków kolejowych i jedynie 3,2 km od planowanej wówczas autostrady A2. Wielkość analizowanej działki pozwalała na umieszczenie dwóch pasów lotniczych położonych na osi wschód-zachód o długości 4 tys. m. W styczniu 2006 r. w Koncepcji Centralnego Portu Lotniczego autorstwa Bogusława Jankowskiego jako najkorzystniejszą lokalizację dla budowy CPL ponownie wskazano Baranów, podając następujące argumenty przemawiające za miejscowością, aktualne również dzisiaj: lokalizacja między Warszawą (39 km) a Łodzią (78 km), położenie na przecięciu szlaków kolejowych (już w tym czasie mówiono o możliwości dojazdu do Warszawy w czasie 15 min) oraz sąsiedztwo autostrady A2 i DK50.

Równorzędnie z pracami nad wyborem lokalizacji dla CPL podjęto w 2005 r. decyzję o konieczności odciążenia Lotniska Chopina poprzez budowę lotniska w Modlinie, które przejęłoby ruch czarterowy oraz obsłużyło tanie linie lotnicze. W 2007 r. podsekretarz stanu ds. lotnictwa w Ministerstwie Transportu Eugeniusz Wróbel stwierdził, że wobec rozwoju lotnisk regionalnych budowa nowego portu centralnego jest nieuzasadniona. Realizacja inwestycji została przesunięta na lata 2025–2030. Budowa niezbędnej infrastruktury na lotnisku w Modlinie rozpoczęła się 8 października 2010 r., natomiast pierwszy rejsowy lot odbył się 15 lipca 2012 r. Jeszcze w tym samym roku lotnisko zostało zamknięte z powodu konieczności remontu drogi startowej, a operujące na nim linie Ryanair i Wizz Air wróciły na Lotnisko Chopina.

Baranów jako lokalizację Centralnego Portu Lotniczego rozpatrywano jeszcze w analizach sporządzanych w 2005 r.

HUB PILNIE POTRZEBNY

W 2008 r. ogłoszono przetarg na kolejną analizę lokalizacji lotniska centralnego. 26 czerwca 2010 r. na zlecenie Ministerstwa Infrastruktury (któremu szefował Cezary Grabarczyk) konsorcjum, w którego skład wchodziły spółki PriceWaterhouseCoopers (PwC), MKmetric Gesellschaft für Systemforschung (MKm), Oliver Wyman Consulting (OWC) i Deutsche Flugsicherung (DFS), przygotowało najobszerniejsze do tej pory, liczące 224 strony opracowanie pt. „Koncepcja lotniska centralnego dla Polski. Prace analityczne". Już wtedy, za rządów koalicji PO-PSL, konkluzje były następujące: powstanie CPL jest niezbędne, a budowa powinna rozpocząć się w 2013 r. Jako kluczowy argument wskazywano prognozowane osiągnięcie granic przepustowości Lotniska Chopina w 2012 r. Podkreślono również, że wiążąca decyzja dotycząca budowy Centralnego Portu Lotniczego powinna zostać podjęta przez polskie władze jeszcze przed końcem 2010 r.

Dziewięć lat temu zauważono także, że wszystkie brane pod uwagę opcje rozwoju ruchu lotniczego w Polsce wskazują na przewagę budowy CPL nad wariantem rozbudowy Lotniska Chopina. Dokument nie wskazywał konkretnej lokalizacji obiektu, natomiast do wszelkich analiz na potrzeby raportu brano pod uwagę lokalizacje między Warszawą a Łodzią w bezpośredniej bliskości skrzyżowania autostrad A1 i A2 oraz planowanej w przyszłości Kolei Dużych Prędkości. „Polska pozostanie w najbliższych latach najsilniejszą gospodarką Europy Wschodniej, a CPL będzie bramą, która zapewni najlepsze możliwe połączenia ze światem w obu kierunkach" – pisali autorzy raportu, dodając, że za niska w stosunku do prognozowanego ruchu przepustowość Lotniska Chopina wpływa w negatywny sposób na rozwój państwowego przewoźnika PLL LOT.

– Szybka kolej zagwarantuje dowóz pasażerów na centralne lotnisko, kilkanaście milionów osób będzie mogło łatwo dotrzeć do portu – przekonywał we wrześniu 2010 r. Cezary Grabarczyk. W marcu 2011 r. stwierdził, że gdyby miał rekomendować rządowi budowę portu, „zaleciłby rozpoczęcie poważnych prac przygotowawczych", ale decyzję o tym, „czy budować centralny port lotniczy dla Polski, podejmie przyszły rząd, my przygotowujemy tę inwestycję".

Po utrzymaniu władzy przez koalicję PO-PSL ponowna propozycja budowy centralnego portu dla Warszawy została umieszczona w Strategii Rozwoju Transportu do 2020 r. (z perspektywą do 2030 r.) przyjętą w 2013 r. przez rząd Donalda Tuska. Przewidywano wówczas, że Lotnisko Chopina obsługiwać będzie ok. 10 mln pasażerów, co wyczerpie jego przepustowość, a jednocześnie może spowodować utrudnienia w ruchu w tej części stolicy. Po uruchomieniu Terminalu 2 w roku 2008 przepustowość lotniska zwiększyła się do 12,5 mln pasażerów. W roku 2013 lotnisko obsłużyło prawie 10,7 mln pasażerów.

– Projekt CPK powinien być zrealizowany już ponad 20 lat temu. Kiedy inni pędzą do przodu, my tracimy czas na wewnętrznych sporach. Szkoda tego czasu. Wyciągnijmy wnioski i działajmy mądrze. Chociaż ten jeden raz – przekonuje Henryk Panusz. Ten stan, tzn. niewydolność głównego portu lotniczego Warszawy, bez względu na to, jak ocenia się sensowność budowy CPK, z biegiem lat będzie się tylko pogłębiał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Polska Wschodnia – turystyczne eldorado i nowy biznesowy kierunek

Polska Wschodnia to turystyczna „ziemia obiecana". Co roku przyciąga więcej gości i ma w sobie ogromny potencjał. Dlaczego więc nie rozkręcić biznesu turystycznego właśnie tu? Tym bardziej że takie inicjatywy wspiera korzystna „Pożyczka na rozwój turystyki"! Jak ją uzyskać?

I LOVE POLSKA WSCHODNIA!

Wschód Polski – miejsce, w którym można się zakochać! Ten ciekawy krajobraz tworzy pięć województw: warmińsko-mazurskie, podlaskie, lubelskie, świętokrzyskie i podkarpackie. Jest tu wszystko, czego dusza zapragnie: jeziora, lasy, doliny, góry, a do tego tereny mniej zurbanizowane i uprzemysłowione. Tradycja, kultura, kuchnia słyną z bogactwa i różnorodności. Można znaleźć tu azyl od zgiełku codzienności, zaszyć się w Bieszczadach lub… odwiedzać tętniące życiem miasta. W Polsce Wschodniej świetnie się odpoczywa i… żyje. Tutaj biznes w sektorze turystycznym i okołoturystycznym ma ogromny potencjał.

MÓJ BIZNES JEST TUTAJ

Turystyczny biznes? Wypożyczalnia rowerów, sprzętu biwakowego, pola namiotowe, kwatery gościnne, rzemiosło, regionalne produkty, rozrywka – to tylko niektóre przykłady spełniające oczekiwania licznie napływających gości. Mogą stać się sposobem na życie, zarabianie, a nawet rozwój pasji. Finansowanie tych przedsięwzięć nie musi być trudne. Mikro-, małe i średnie firmy mogą skorzystać z Pożyczki na Rozwój Turystyki w wysokości do 500 tys. zł, a swoją działalność prowadzić w branży turystycznej lub okołoturystycznej w województwach lubelskim, podkarpackim, podlaskim, świętokrzyskim lub warmińsko-mazurskim.

POŻYCZKA, KTÓRA DAJE MOŻLIWOŚCI

Atrakcyjne, niskie oprocentowanie (od 1,87 proc.) to nie wszystko – okres spłaty nawet do siedmiu lat (przy pożyczkach o wartości powyżej 250 tys. zł, gdy wydatki na roboty budowlane stanowią minimum 50 proc. wartości pożyczki). Do tego brak opłat i prowizji za udzielenie wsparcia i sześciomiesięczna karencja korzystna dla firm, których biznes dopiero się rozwija. Co ważne, dla firm działających poniżej dwóch lat oraz inwestycji na trasie Wschodniego Szlaku Rowerowego Green Velo, o statusie Miejsca Przyjaznego Rowerzystom, obniżone jest oprocentowanie (0,935 proc. w skali roku) oraz zwolnienie z wkładu własnego.

JAK UZYSKAĆ WSPARCIE?

To proste! Zgłoś się do instytucji finansującej, współpracującej z BGK: w województwie podkarpackim **– Agencja Rozwoju Regionalnego MARR SA,** lubelskim – **Lubelska Fundacja Rozwoju,** świętokrzyskim **– Krajowe Stowarzyszenie Wspierania Przedsiębiorczości,** warmińsko-mazurskim – **Działdowska Agencja Rozwoju SA** i podlaskim – **Fundusz Wschodni sp. z o.o.**

Więcej informacji o pożyczce na stronie: **www.bgk.pl/turystyka.**

Projekt realizowany jest przez Bank Gospodarstwa Krajowego i finansowany ze środków ministra inwestycji i rozwoju.

Artykuł sponsorowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Przyznanie pożyczki uzależnione jest od pozytywnej analizy zdolności kredytowej. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.

MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU

95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

eprasa.pl 690fe9c854

Autobus napędzany budżetem

FOT. ADAM STRÓŻKIEWICZ/EAST NEWS

Tomasz Cukiernik

Dofinansowanie lokalnych połączeń autobusowych to archaiczne rozwiązanie z poprzedniej epoki

W ramach tzw. piątki Kaczyńskiego rząd ogłosił m.in., że przywróci połączenia autobusowe na prowincji. W związku z tym Ministerstwo Infrastruktury przygotowało dwa projekty ustaw. W pierwszym jest mowa o tym, że „wszystkie jednostki samorządu terytorialnego będą obowiązane do zaplanowania i utworzenia komunikacji publicznej na obszarach wykluczonych komunikacyjnie". Drugi projekt tworzy specjalny fundusz przewozów autobusowych, z którego będą dofinansowywane samorządowe połączenia lokalne.

MAMY DZIKI SYSTEM

Lokalne połączenia autobusowe od lat są likwidowane. W dużej mierze jest to efektem tego, że Polacy przesiadają się do aut osobowych. W 2016 r. na tysiąc mieszkańców przypadało w Polsce 571 samochodów. To powyżej średniej unijnej (505) i więcej niż w Niemczech, Wielkiej Brytanii czy we Francji, choć u nas są to pojazdy znacznie starsze. Ze 176 PKS-ów zostały 92, z tego kolejne dwa są likwidowane. – W ciągu 12 lat PKS-y zlikwidowały ponad 50 proc. linii komunikacyjnych, a kursów to nawet ok. 60 proc. – mówi Zdzisław Szczerbaciuk, prezes Polskiej Izby Gospodarczej Transportu Samochodowego i Spedycji. Z kolei prywatni przewoźnicy jeżdżą na trasach, gdzie mogą zarobić. W efekcie mamy do czynienia z tzw. wykluczeniem transportowym. Klub Jagielloński szacuje, że problem dotyczy ok. 13 mln Polaków. Jednak nie znaczy to, że ludzie ci nie radzą sobie w inny sposób, jeżdżąc choćby właśnie prywatnymi samochodami.

Już teraz podatnicy częściowo finansują lokalny transport autobusowy. Otóż firmy dostają dopłaty za ustawowe ulgi. Według prezesa Szczerbaciuka kosztuje to budżet ok. 630 mln zł rocznie, a w 2018 r. firm, które wykonywały przewozy regionalne i z tego tytułu brały od państwa takie dopłaty, było blisko 1650. Ponadto wiele samorządów tworzy i finansuje z pieniędzy publicznych połączenia autobusowe między mniejszymi miejscowościami. – Zazwyczaj tych połączeń jest za mało, bo zbyt dużo kosztują – mówi Kamil Grzebyta, radny wielkopolskiej Murowanej Gośliny. – Komunikacja publiczna wszędzie w UE, w Polsce tam, gdzie działa, też jest wykonywana przy znacznym zaangażowaniu środków publicznych – podkreśla prezes Szczerbaciuk.

– Teraz mamy system, który ani nie jest wolnorynkowy, ani nie jest regulowany. Jest dziki – uważa Bartosz Jakubowski, ekspert Klubu Jagiellońskiego ds. transportu. Dlatego jego zdaniem poza wszelką dyskusją jest konieczność przywrócenia lokalnego transportu publicznego. Ekspert zwraca też uwagę na to, że o ile państwo gwarantuje pewne usługi publiczne, takie jak służba zdrowia czy edukacja, to oczywiste jest, że nie w każdej wsi postawimy przychodnię i szkołę. – Musimy sobie zadać pytanie, czy nie taniej jest państwu zapewnić dostęp właśnie do tych usług publicznych za pomocą transportu publicznego. O to się rozbija cała sprawa, że w Polsce takiego systemu dostępu do usług publicznych opłacanych z podatków oraz ze składek, i też do rynków pracy, po prostu nie ma. Jeśli ktoś z małej miejscowości nie ma samochodu, to z nich nie skorzysta – mówi Jakubowski. – Już dziś większość

eprasa.pl 690fe9c854

seniorów jako przyczynę niekorzystania z usług medycznych wskazuje nie to, że nie mają pieniędzy, tylko to, że nie mają jak dojechać. W tej sytuacji ktoś, kto nie ma samochodu, skazywany jest na życie nie drugiej, ale trzeciej kategorii – dodaje.

Projekt ustawy przewiduje finansowanie lokalnego transportu poprzez nowy fundusz rozwoju przewozów autobusowych utworzony w Banku Gospodarstwa Krajowego. Chodzi o kwotę 800 mln zł rocznie, co docelowo ma przełożyć się na dofinansowanie 70–80 gr do kilometra. Jednocześnie projekt zobowiązuje organizatora transportu, czyli samorząd, do sfinansowania ze środków własnych deficytu linii w kwocie nie mniejszej niż 30 proc. – Jeśli projekt zakłada dołożenie się państwa do budżetu samorządu, który będzie tworzył i zarządzał takimi liniami komunikacji, to oceniam go bardzo dobrze. Zwłaszcza dlatego, że odciąży to przede wszystkim gminy miejsko-wiejskie oraz wiejskie i wyrówna szanse zarówno samorządów, jak i ich mieszkańców – ocenia radny Grzebyta.

Jednak czy te 800 mln zł to wystarczająca suma? Ze stanowiska zarządu Stowarzyszenia Gmin i Powiatów Wielkopolski wynika, że proponowana dopłata „została ustanowiona na zbyt niskim poziomie", co powoduje, że „istnieje ryzyko nieosiągnięcia celów ustawy". Na koniec roku 2017 większość przewoźników autobusowych wykazywała koszt na poziomie ok. 3,9 zł/km. Później jednak płace i ceny paliwa poszły w górę. – Uważam, że te 80 gr jest stawką wystarczającą – mówi z kolei prezes Szczerbaciuk. – Są linie z dużą liczbą pasażerów, gdzie dołożenie 20–30 gr do kilometra pozwalałoby na to, żeby przedsiębiorca dalej to pociągnął – dodaje. Najgorzej może być jednak w przypadku terenów o małej liczbie mieszkańców. – Są takie samorządy, gdzie te 80 gr będzie w sam raz, są takie samorządy, gdzie to będzie za dużo, a są takie, że to będzie jakieś trzy–cztery razy za mało, jak np. w Bieszczadach, bo tam są niska gęstość zaludnienia i duże odległości między osadami i pasażerów jest mało, więc w oczywisty sposób ten transport będzie bardzo drogi – wyjaśnia Jakubowski, dodając, że są też takie sytuacje, w których wystarczyłoby kontraktowanie jednego kursu czy dwóch w godzinach późnowieczornych albo w weekendy, kiedy faktycznie przewoźnikom nie opłaca się jeździć.

Pojawiają się natomiast opinie, że te dotowane autobusy będą jeździły… puste. – Model, który jeszcze widzieliśmy w latach 90., kiedy po prowincji jeździły wielkie autobusy na 55 osób, które woziły po dwie–trzy osoby, musiał być niewydajny z uwagi na koszt autobusów, paliwa, kierowcy – przypomina poseł Jakub Kulesza z Konfederacji. A komunikacja publiczna musi być systematyczna. – Jeżeli nie będzie jeździła w interwale najrzadszym trzech godzin, to mówienie o komunikacji publicznej jest bezcelowe. Dla społeczeństwa nie istnieje. Autobusy będą wozić powietrze, ale inaczej tego nie da się zrobić – mówi prezes Szczerbaciuk. – Na krańcach Warszawy nie ma tłumów w autobusie, tak jak na Marszałkowskiej. Autobus jedzie minimalnie zapełniony. Autobusy w Otwocku wożą z reguły powietrze – dodaje. Są sytuacje, kiedy z ekonomicznego punktu widzenia zarządowi transportu w Warszawie opłacałoby się dać pasażerowi dobry samochód zamiast tworzyć linię autobusową.

WYSTARCZY OBNIŻYĆ AKCYZĘ

Całkowicie inaczej problem wykluczenia transportowego proponują rozwiązać politycy wolnościowi. – Reaktywacja PKS-ów to kolejny pomysł, który będzie generował spore koszty, bo pieniądze będą musiały znaleźć (w naszych kieszeniach) już teraz mocno zadłużone samorządy. Fakt, że spora część połączeń autobusowych została zlikwidowana, wynika z tego, że nie było na nie po prostu zapotrzebowania – uważa Dawid Lewicki, wiceprezes partii KORWiN. Z kolei poseł Kulesza wytyka politykom PiS PRL-owską mentalność. – Chcą cofać się do rozwiązań z poprzedniej epoki odnośnie do finansowania czy nawet organizowania transportu publicznego w sposób niewydajny. Zawsze gdy urzędnik zajmuje się czymkolwiek, to jest gorsze niż rozwiązanie funkcjonujące na wolnym rynku – mówi Kulesza. Tym bardziej że na samą biurokratyczną obsługę systemu (ministerstwo i urzędy wojewódzkie) przewidziano 6,2–7 mln zł rocznie, nie licząc wynagrodzenia dla BGK.

Poseł Kulesza tłumaczy, że świat idzie naprzód, i daje rozwiązania tych problemów. – Politycy PiS walcząc z transportem indywidualnym poprzez np. podnoszenie wysokości akcyzy na starsze samochody (co uderza w tereny wiejskie), wprost uderzają w nowoczesne technologie i rozwiązania, takie jak ekonomia współdzielona, jak BlaBlaCar, który ułatwia ludziom organizowanie wspólnych przejazdów. Chcą dopłacać do rozwiązań archaicznych, niewydolnych, jednocześnie uderzając w lepsze, bardziej ekonomiczne rozwiązania rynkowe – komentuje. Co gorsze, państwo samo blokuje rozwój linii prywatnych. Jak zwraca uwagę Bartosz Jakubowski, nowelizacja ustawy o publicznym transporcie zbiorowym likwiduje możliwość realizacji przewozów komercyjnych na podstawie samego „zgłoszenia przewozu".

Zdaniem wolnościowców rozwiązanie jest proste. – Wystarczy obniżyć akcyzę na paliwa i na starsze samochody, wystarczy nie przeszkadzać technologiom w komunikowaniu się ludzi, gdy chcą jechać, i jestem pewien, że problemy transportowe na prowincji będą rozwiązywane bez potrzeby pompowania miliardów złotych w niewydajny, centralnie organizowany transport publiczny – podkreśla poseł Kulesza. Także wiceprezes Lewicki uważa, że jeśli rząd chciałby realnie pomóc Polakom, to powinien obniżyć wysokie (ponad 50 proc.) opodatkowanie paliw. – Niestety, ale w tym wypadku działa to odwrotnie. Od początku 2019 r. obowiązuje tzw. opłata emisyjna, która przyczyniła się do wzrostu cen na stacjach – przypomina Lewicki. Przyjmując, że autobus spala 40 l paliwa na 100 km, opodatkowanie paliwa potrzebnego na przejechanie przez niego 1 km wynosi ok. 1 zł, podczas gdy rząd proponuje dopłaty w wysokości 80 gr! Czyli zniesienie opodatkowania paliw byłoby dla przewoźników większą korzyścią, ale Polska jest członkiem UE i z tego powodu opodatkowania paliw nie może radykalnie obniżyć.

Zdaniem wiceprezesa Lewickiego „faktycznym czynnikiem determinującym nowe obietnice jest walka o elektorat małych miast i wsi w najbliższych wyborach, koszt kiełbasy wyborczej poniesie często nieświadomy ogół społeczeństwa". – Państwo zabiera, później daje, żeby z powrotem z tego samego zabrać, tworząc iluzję działania. Urzędnik, który daje to, co zabrał, później zabiera to, co dał, sprawia pozory bardzo wydajnego i potrzebnego urzędnika – dodaje Kulesza. Z kolei poseł Kukiz'15 Robert Mordak, członek Sejmowej Komisji Infrastruktury, który uważa, że infrastruktura transportu publicznego jest jak najbardziej potrzebna, obawia się, czy w praktyce znajdą się na ten cel pieniądze. – Okazuje się, że w budżecie nie ma jakichś rezerw finansowych, które by umożliwiły poszerzanie oferty publicznej w wielu obszarach – mówi poseł Mordak, zwracając uwagę na żądania płacowe choćby nauczycielskich związków zawodowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Mniej czy bardziej suwerenni?

Jeśli dobrze zrozumiałem intencje liderów dobrej zmiany, dość jasno wyrażane w tej kwestii przed wyborami w 2015 r. i po nich, to w Polsce pod ich rządami z każdym rokiem – zwłaszcza w czasach koniunktury, a właśnie takie trzy lata mamy za sobą – miał się szybko rozrastać polski kapitał: miało przybywać polskich firm, zwłaszcza w sektorze nowych technologii, miał rosnąć ich udział w rynku, zarówno w Polsce, jak i za granicą, i jednocześnie miała słabnąć pozycja firm zagranicznych oraz topnieć strumień kapitału transferowanego z Polski.

A jak – po ponad trzech latach rządów PiS – jest w praktyce? Czy dziś jest więcej Polski w Polsce niż w 2015 r.? Czy nasz kraj stał się w tym czasie gospodarczo bardziej niezależny, bardziej suwerenny? Tym bardziej że w operację tę – np. w repolonizację banków – włożono niemało pieniędzy podatników. Z interesującego raportu, który na łamach „Rzeczpospolitej" zamieścił prof. dr hab. Jan Czekaj, wynika, że rzecz ma się, niestety, wprost odwrotnie. Oto kilka z przywołanych przez niego danych.

Zgodnie z założeniami rządu poziom udziału inwestycji w PKB miał wzrosnąć – z 20 proc. w 2015 r. do 25 proc. w 2025. Tymczasem, przynajmniej na razie, czyli w roku 2018, spadł do 18 proc. Z kolei zamiast oczekiwanego przez rząd spadku doszło do wzrostu uzależnienia Polski od kapitału zagranicznego – w 2015 r. udział firm zagranicznych w wytwarzaniu polskiego PKB wyniósł 14,6 proc., a w 2017 – podskoczył do 15,1 proc. Podobnie rzecz się ma, jeśli chodzi o inwestycje przedsiębiorstw – o ile w latach 2010–2015 średni udział nakładów inwestycyjnych koncernów zagranicznych w inwestycjach sektora prywatnego wynosił 36 proc., o tyle w latach 2016–2017 wzrósł do 39,5 proc. W tym kontekście „marginalną" sprawą wydaje się spadająca – m.in. wskutek ograniczenia handlu w niedzielę – liczba małych, w lwiej części polskich sklepów, a co za tym idzie – kurczący się udział polskiego kapitału w polskim handlu.

Zważywszy na to wszystko, nikogo nie powinno dziwić, że finansowe transfery brutto do podmiotów zagranicznych, zamiast zmaleć, powiększyły się. I w latach 2016–2018 osiągnęły wartość niemal 383 mld zł, wobec 314 mld zł w latach 2013–2015. Czyli wytransferowano z Polski o 21 proc. więcej kapitału.

Jak odwrócić ów niekorzystny dla Polski trend? Czy jakąkolwiek szansę na to daje dalsze stymulowanie przez rząd – za pomocą transferów socjalnych – konsumpcji? Czy należałoby postępować inaczej i co najmniej w tej samej mierze, co konsumpcję, stymulować polskie inwestycje – najlepiej prywatne, a nie państwowe – zazwyczaj znacznie mniej efektywne? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Siedem ministerstw

Zauważyłem ostatnio niespójność w nazwach ministerstw w Polsce. Mamy Ministerstwo Sprawiedliwości, co odnosi się do wartości, jaką jest „sprawiedliwość", mamy też Ministerstwo Finansów, czyli odniesienie do finansowej sfery życia. – A co by było, gdyby było tylko siedem ministerstw, dbających o przestrzeganie siedmiu głównych cnót?

Ministerstwo Pokory zajmowałoby się zapewnieniem przestrzegania reguły, że wszelka władza pochodzi od suwerena, czyli narodu. Termin „służba publiczna" nabrałby właściwego znaczenia z naciskiem na słowo „służyć", gdy politycy i urzędnicy służą narodowi swoją wiedzą, doświadczeniem, czasem i poświęceniem. To ministerstwo stałoby na straży konstytucji, która wyraża wolę narodu.

Ministerstwo Hojności nadzorowałoby wszelkie kwestie związane ze wsparciem publicznym, takie jak transfery socjalne, emerytury i renty, wsparcie dla firm lub sektorów, obecnie nazywane pomocą publiczną. Jednocześnie kierowanie się promowanymi przez to ministerstwo uczciwością i miłością bliźniego powodowałoby, że w sferze transferów nie byłoby oszustw czy nadużyć.

Ministerstwo Czystości wdrażałoby mechanizmy zapewniające fizyczne i mentalne zdrowie obywateli, nacisk zostałby przeniesiony z leczenia na zdrowy tryb życia i działania prewencyjne.

Ministerstwo Miłości krzewiłoby uczucie miłości do własnego narodu, państwa i ludzkości, w tym: zdolność do obrony narodu przed agresorami, izolowanie przestępców i innych szkodników, a także przeciwdziałanie kataklizmom oraz stworzenie warunków do demograficznego przetrwania narodu dzięki odpowiednio wysokiej dzietności. To ministerstwo nadzorowałoby też politykę ochrony klimatu.

Ministerstwo Umiarkowania tworzyłoby taki system podatkowy, który pozwalałby osobom zdolnym i pracowitym czerpać korzyści ze swoich wysiłków, ale jednocześnie zapewnia państwu wystarczające środki na realizowanie działań prowadzonych przez inne ministerstwa.

Ministerstwo Cierpliwości zajmowałoby się narodowym planowaniem strategicznym, stawiałoby długoterminowe cele i monitorowałoby ich realizację.

Ministerstwo Gorliwości i Pracowitości dbałoby o stworzenie odpowiednich warunków do tego, aby sektor prywatny mógł zatrudniać odpowiednio wykształconych i przygotowanych do zawodu ludzi, ale jednocześnie aby pracobiorcy mieli możliwość prezentowania swoich postulatów wobec pracodawców.

Trudno jest a priori ocenić, o ile bardziej efektywny byłby rząd złożony z siedmiu ministerstw kierujących się siedmioma głównymi cnotami chrześcijańskimi. Życie publiczne byłoby jednak znacznie bardziej oparte na wartościach, które są fundamentem Polski i Europy. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 690fe9c854

TEST „DO RZECZY": SKANER EPSON FASTFOTO FF-680W

Wysokie tempo skanowania papierowych odbitek, przyzwoita jakość skanowania dokumentów oraz przydatne funkcje automatycznej poprawy jakości zarchiwizowanych obrazów – to największe plusy podręcznego skanera Epsona, który pozwala na tworzenie cyfrowych wersji tradycyjnych fotografii.

Niewielki skaner wygląda jak skrzyżowanie faksu z liczarką do banknotów. Automatyczny podajnik umożliwia skanowanie zdjęć w formacie 10 x 15 ze średnią prędkością 30 odbitek na 30 s. Oczywiście jeśli doliczymy czas rozgrzewania się skanera i czas potrzebny na zapis plików, to ten rekordowo krótki czas nieco się wydłuży do jakichś dwóch minut, ale i tak urządzenie potrafi zaoszczędzić użytkownikowi wiele czasu.

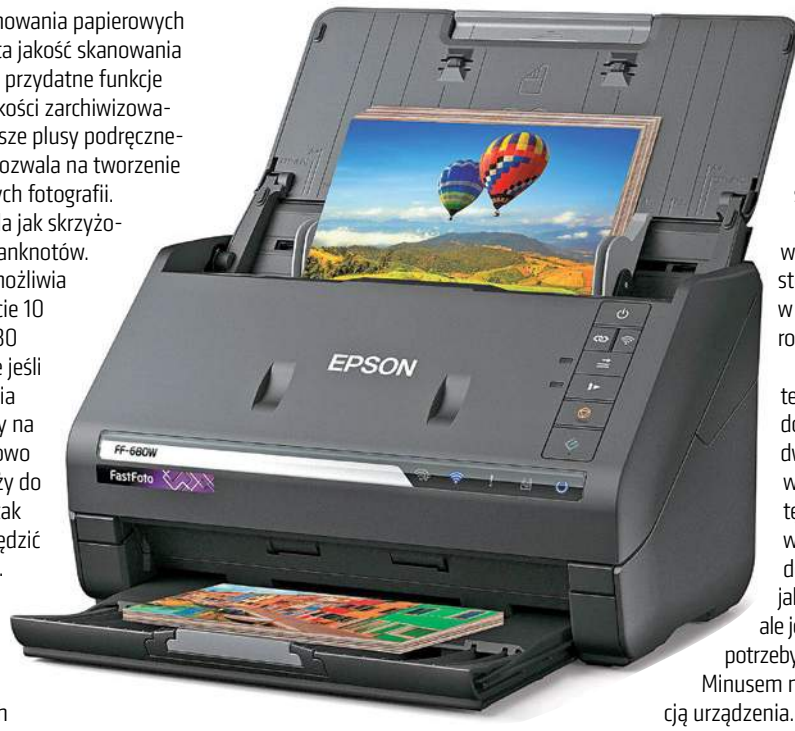

Urządzenie pozwala więc szybko uporać się z ogromnym stosem tradycyjnych fotografii przechowywanych w domowych albumach oraz niezliczonych pudełkach na strychu. Plusem jest też możliwość skanowania fotografii panoramicznych w formacie 21 x 91 cm, a także drugiej strony zdjęć, dzięki czemu wraz z obrazem możemy zarchiwizować wszelkie odręczne notatki dotyczące daty czy miejsca wykonania fotografii oraz innych romantycznych bądź nostalgicznych zapisków. Przydatnym dodatkiem jest też oprogramowanie OCR do rozpoznawania tekstu.

Jakość skanowanych obrazów jest bardzo dobra. Do tego urządzenie oferuje kilka automatycznych funkcji, które pozwalają np. na korektę czerwonych oczu, przywracanie barw wyblakłym fotografiom czy poprawę kadru, jasności lub kontrastu. Na wszelki wypadek można zachowywać zarówno oryginalne zdjęcie, jak i wersję poprawioną. Rozdzielczość skanowania wynosi 300 lub 600 dpi (szczególnie dobra dla starszych fotografii).

Pliki można archiwizować w formatach JPEG lub TIFF, a następnie przechowywać je na dysku, w chmurze lub szybko udostępniać rodzinie czy znajomym.

Testowane urządzenie można też wykorzystać do skanowania dokumentów (jednostronnie lub dwustronnie). Maksymalna prędkość wynosi wówczas 45 stron na minutę, a dokumenty można zapisywać w formacie przeszukiwalnego dokumentu PDF. W tym przypadku jakość skanów mogłaby być lepsza, ale jest wystarczająco przyzwoita na potrzeby domu czy małego biura.

Minusem może być też kłopot z konfiguracją urządzenia. Podobnie jak inni użytkownicy ja też początkowo doświadczyłem problemów z połączeniem urządzenia w sieci z dwupasmowym Wi-Fi. Na szczęście po wprowadzeniu drobnych zmian w routerze udało się połączyć skaner z siecią.

Za największą wadą testowanego urządzenia uznaję więc cenę, która wynosi ok. 2,6 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

HERBATA LEPSZA NIŻ ZWYKLE

Dyskusje między zwolennikami kawy a sympatykami herbaty często bywają równie ostre jak te między właścicielami psów i kotów. Aromatyczny napar herbaciany ponoć nie tylko orzeźwia, lecz także łagodzi stres. Zwłaszcza gdy jest dobrze przyrządzony, a producenci Teplo – czyli dość specyficznego „garnka na herbatę" – zapewniają, że tak właśnie jest w przypadku ich gadżetu. Na czym polega niezwykłość projektu?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Otóż ów garnek dopasowuje do potrzeb użytkowników czas i temperaturę parzenia herbaty. Uwzględnia też otoczenie. Jednym słowem – garnek uczy się tego, jaką herbatę lubimy popijać najczęściej i w jakich okolicznościach, a następnie na tej podstawie, dzięki algorytmom, przeprowadza proces przygotowywania napoju. Oczywiście nie obędzie się przy tym bez specjalnej aplikacji smartfonowej połączonej z Teplo, w której wskazujemy rodzaj używanej herbaty i to, jaki napój chcielibyśmy ostatecznie otrzymać. Ciekawostką jest to, że komora infusera jest wykonana ze stali nierdzewnej i pokryta różową miedzią. Teplo można zamawiać na Kickstarterze w cenie ok. 1,1 tys. zł. Dostawa dopiero w kwietniu przyszłego roku.

OSOBISTE KINO W OKULARACH

A gdy już się napijemy dobrej herbatki, możemy też obejrzeć niezłe kino, i to nie ruszając się z fotela. A wszystko to dzięki LUCI immers, czyli przenośnemu kinu osobistemu ukrytemu w okularach. Dzięki wyświetlaczowi o wysokiej rozdzielczości 3840 x 1080 i gęstości 3147 pikseli wrażenia z oglądania są takie jak przy oglądaniu ekranu o przekątnej 1023 cali z odległości 20 m, czyli mniej więcej tak, jak oglądając film w loży kinowej. Dzięki złączu USB-C LUCI immers umożliwia także dostęp do gier na smartfonach, komputerach PC, laptopach i konsolach do gier.

Zamawiać można na portalu Indiegogo w cenie ok. 1,7 tys. zł. Dostawa w sierpniu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 690fe9c854

W 2009 r. były premier Kazimierz Marcinkiewicz i jego żona Isabel nie dawali Polakom o sobie zapomnieć. Jesienią tamtego roku Marcinkiewicz za to przeprosił i obiecał milczeć w sprawach prywatnych

FOT. STUDIO69/FORUM

Premier z tabloidu

Radosław Wojtas

„Mamy nadzieję, że ludzie zmienią temat, dadzą nam żyć" – mówił w jednym z wywiadów sprzed lat Kazimierz Marcinkiewicz, opowiadając w nim o swojej ukochanej Isabel. Dekadę później były premier i jego partnerka nie zniknęli z tabloidów, ale on jest już dla niej „panem Kazimierzem", a ona dla niego – „stalkerką"

Już same nazwy potraw sprawiają, że serce zaczyna bić szybciej. »Krzepkie miłowanie«, »Purpurowe uniesienie«, »Czekoladowo-malinowy obłęd«. Za pełny zestaw miłosnych rarytasów dla dwojga trzeba było zapłacić wprawdzie blisko 400 zł – opisywał pierwsze wspólne walentynki Kazimierza Marcinkiewicza i młodszej od niego o 22 lata Izabeli Olchowicz „Super Express". Dokładnie 10 lat później, 14 lutego 2019 r. – jak podał Onet.pl – „zostało wydane zawiadomienie o komorniczym »zajęciu wierzytelności dłużnika [Kazimierza Marcinkiewicza – przyp. red.] z tytułu wynajmu mieszkania«", a pod koniec marca wszczęto egzekucję.

To efekt zaległości alimentacyjnych. Isabel wylicza, że były premier jest jej winny ponad 100 tys. zł, sam Marcinkiewicz – choć swoich perypetii z byłą żoną komentować w mediach nie chce – również przyznaje, że nie zapłacił jej wszystkiego, co wynikałoby z orzeczeń sądu. Te zaległości miały niedawno jeszcze jedną, przykrą dla Marcinkiewicza konsekwencję – uniemożliwiły mu start w wyborach do europarlamentu. Jak wyznał w jednym z wywiadów – rozmawiał o miejscu na listach Koalicji Obywatelskiej, ale problemy prywatne pokrzyżowały te plany. – Długo się zastanawiałem nad Parlamentem Europejskim, no i okazało się, że przez to, że mam stalkera, nie jestem w stanie być zaakceptowany – mówił dla Onet.pl.

KAZIU, KOCHASZ MNIE?

Kazimierz Marcinkiewicz i Izabela Olchowicz poznali się w 2008 r., gdy były już polityk Prawa i Sprawiedliwości pracował w banku w Londynie. W relacji w „Vivie!" Isabel opowiadała, że poznali się na lotnisku, gdy czekali na samolot do stolicy Wielkiej Brytanii, gdzie ona mieszkała od kilku lat. „Kaz miał taki rozbiegany wzrok. »A pani do Londynu?«. Śmieszne. Bo siedziałam przy bramce do Londynu właśnie. Widocznie chce pogadać. Pomyślałam: Może boi się lotu? Nie wygląda na seryjnego mordercę (śmiech). Zaprosiłam go do swojego stolika. Przesiadł się w trzy sekundy" – wspominała. W TVN24 mówiła z kolei: „Poznaliśmy się w Londynie, Kazimierz dokończy historię". – Spotkaliśmy się w City. Mamy taki stolik, do którego nawet wracamy – to było pierwsze miejsce naszego spotkania, od początku dobrze nam się rozmawiało, właściwie o wszystkim – dokończył Marcinkiewicz.

eprasa.pl 690fe9c854

Pierwsze doniesienia o romansie byłego, popularnego i lubianego premiera pojawiły się na początku 2009 r. Jeden z tabloidów „przyłapał" Marcinkiewicza u londyńskiego jubilera, gdy ten wybierał biżuterię dla ukochanej. I było jasne, że nie dla żony. Temat rozgrzał czytelników i internautów. Doniesienia o romansie byłego polityka konserwatywnej partii, męża i ojca czwórki dzieci zwiększały sprzedaż tabloidów, klikały się w sieci. Marcinkiewicz i Isabel podjęli grę. Wpuścili media do swojego życia.

W udzielanych wspólnie wywiadach opowiadali ze szczegółami o swoim związku. W jednym z nich Isabel wyznała, że pochłania książki psychologiczne i menedżerskie. On wtrącał: „Byłem liderem, w związku z tym taka wymiana doświadczenia z wiedzą teoretyczną".

Kazimierz Marcinkiewicz podkreślał niedawno, że nawet wtedy, gdy płacił alimenty regularnie, był przez byłą żonę atakowany w mediach

– Byłeś i jesteś nadal liderem – prostowała natychmiast zapatrzona w Kazimierza Isabel. Przed kamerami mówili także o musicalach – że w Londynie widzieli już niemal wszystkie. O wspólnych zakupach – że dla niego, który ich nie lubi, stają się przy niej znośne.

Bywali infantylni. Miało się wrażenie, że przed kamerami staje para licealistów, a nie były premier, który przeżył już pół wieku, i kobieta przed trzydziestką. Podczas wizyty w londyńskim studiu TVN, gdzie Marcinkiewicz miał udzielić wywiadu, a Isabel tylko mu towarzyszyła, to ona skradła show. Przed teoretycznie wyłączonymi kamerami przytulała się do swojego przyszłego męża, pytała, czy ją kocha, i radziła przed występem: „Kazimierz, pamiętaj być szczerym, tak? Tak jak zawsze".

Ślub wzięli w Hiszpanii, bez paparazzi, ale już w podróż poślubną wyruszyli z profesjonalnym fotografem, a ich pobyt w Wenecji w obszernym fotoreportażu zrelacjonowała „Viva!". Jednak już wtedy, na początku związku z Isabel w 2009 r., Marcinkiewicz doświadczał tego, że przeniesienie swojego prywatnego życia do tabloidów i telewizji może nie być najlepszym pomysłem. Gdy wystosował do mediów list z prośbą o to, by nie ranili jego bliskich, „Super Express" komentował: „Czy to nie on przysłał do »SE« swoje zdjęcie z kochanką, a później występował w programach telewizyjnych, obnosząc się z rozwodem?! Marcinkiewicz, najpierw przeproś swoją rodzinę, a później pouczaj innych! […] Czyżby zapomniał, że to on rozpoczął żałosny spektakl, opowiadając na lewo i prawo o swoim romansie?!".

KAZIMIERZ JEST NAGI

„Żałosny spektakl" nie zakończył się, gdy minęła faza największego zauroczenia. Trwał, gdy pojawiły się pierwsze kryzysy po powrocie pary do Polski na przełomie 2012 i 2013 r. „W tamtym momencie przestało mu na mnie zależeć. Stawał się coraz bardziej oziębły. Mniej czasu spędzał ze mną, coraz rzadziej rozmawialiśmy. Potem z dnia na dzień wyprowadził się z domu. Po grudniowym wypadku, kiedy straciłam przytomność i wjechałam samochodem w barierki, wspierał mnie raczej z przymusu. Od mojego wyjścia ze szpitala nie przyjechał ani razu, choćby na chwilę. Kiedyś w jego SMS-ach były emocje, była wielka miłość. Teraz wiem, że to uczucie zgasło. Ale ja już nie mam siły, by o to walczyć. Na razie nie chcę mówić, co dalej. To on się wyprowadził" – zwierzała się „Super Expressowi" Isabel w 2015 r.

On mówił mniej, ale byłego premiera wzięli w obronę jego znajomi w okładkowym artykule „Newsweeka". Na zarzuty, że Kazimierz Marcinkiewicz nie opiekował się po wypadku swoją żoną, jeden ze znajomych byłego premiera odpowiadał: „Zamiast jechać do rodziny na święta, siedział przy niej w szpitalu po wypadku, a ona mu odpłaciła story w tabloidzie". Za rozpad związku obwiniali Isabel, która – wedle rozmówców „Newsweeka" – była leniwa, nic jej się nie chciało. Podobne zarzuty pod adresem żony formułował sam Marcinkiewicz na intymnym nagraniu, które upublicznił jeden z tabloidów. Na filmiku były premier, nagi w toalecie, mówi zirytowany: „Idź do pracy, zajmij się czymkolwiek, cokolwiek zrób, idź na bezrobotne, zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą. Przestań mnie nachodzić, a najlepiej odejdź".

Nie przestała. W 2017 r. ukazała się pierwsza książka Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz pt. „Zmiana". Reklamowana jako autobiografia, będąca jednak w znacznej mierze książką o Kazimierzu Marcinkiewiczu. W środku znów wiele intymnych szczegółów: „Seks z nim był świetny, czerpaliśmy z niego oboje. Później jednak szantażował mnie, obrażał się i mówił, że dziś nie dostanę tego, czego chcę. Przed wyprowadzką Kaz skupiony był tylko na sobie i na swoich potrzebach. Był zajęty wyłącznie własnymi sprawami".

PAN KAZIMIERZ PRZEŚLADOWANY?

Ostatnio w sferze zainteresowania tabloidów są finanse Kazimierza Marcinkiewicza i zaległości alimentacyjne wobec byłej żony. Nie mieli dzieci, ale według polskiego prawa byłemu małżonkowi i tak sąd może przyznać alimenty, o ile nie zostanie mu przy rozwodzie przypisana cała wina za rozpad małżeństwa. W tym wypadku sąd orzekł, że wina leży po obu stronach. Ostatnia sprawa rozwodowa odbyła się w październiku ubiegłego roku. Ustalono wysokość alimentów na 4 tys. zł miesięcznie, ale Kazimierz Marcinkiewicz miał już wcześniej nakaz płacenia, z którego nie w pełni się wywiązywał.

Isabel, która po wypadku od czterech lat pojawia się w mediach z ręką w ortezie, żaliła się niedawno „Faktowi": „Pan Marcinkiewicz uchyla się od wyroku sądu i nie płaci zasądzonych na moją rzecz 5, a potem 4 tys. zł miesięcznie alimentów. Jestem osobą niepełnosprawną, a przez to, że tak na dobrą sprawę mieszkam w Polsce od 2013 r., nie mam prawa do renty ani zasiłku".

Marcinkiewicz odbijał piłeczkę na Facebooku: „To prawda, że zalegam jej z zasądzoną pomocą finansową. Pracuję na własny rachunek bardzo ciężko i intensywnie. Nie mam jednak stałej comiesięcznej pensji. Pracuję nad kilkudziesięcioma projektami na success fee. W ostatnim roku nie miałem dużych sukcesów. Każdym sukcesem dzieliłem się sprawiedliwie, ale zaległości się powiększały. Stalkerka o tym wie, bo odpowiednie dokumenty przedstawiłem sądowi oraz wielokrotnie ją o tym informowałem. Gdy którykolwiek projekt doprowadzę do końca, rozliczę się z zaległości".

I dodawał, że nawet wtedy, gdy płacił regularnie, był przez byłą żonę atakowany. „Jak ja to wytrzymałem i pozostałem radosnym, szczęśliwym człowiekiem? Nie wiem, ale koniec, dosyć tego. Staram się być dobrym człowiekiem, ale dobrym nie znaczy słabym czy pobłażliwym" – napisał niedawno na Facebooku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

Katarzyna Pinkosz

Nadciśnienie bez specjalizacji?

10 mln Polaków ma zbyt wysokie ciśnienie. Tylko co czwarty obniża je do bezpiecznego poziomu. Wyniki będą jeszcze gorsze, jeśli znikną specjaliści

Ciśnienie idealne to 120/80 mm Hg. Gdy przekracza 140/90 mm Hg, wtedy to już nadciśnienie, które w Polsce ma ok. 10 mln osób. Gdyby przyjąć normy amerykańskie (130/80 mm Hg) – nawet 17 mln. Obok zbyt wysokiego poziomu cholesterolu i palenia papierosów to najpoważniejszy czynnik ryzyka zawału serca, udaru mózgu, przewlekłej niewydolności nerek. – Ciśnienia nie obniża się po to, żeby było niższe, tylko po to, żeby dłużej żyć. Osoba, która ma nadciśnienie, umrze szybciej niż ta z prawidłowymi wartościami – mówi dr hab. n. med. Aleksander Prejbisz z Kliniki Nadciśnienia Tętniczego Instytutu Kardiologii w Warszawie, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego.

Mimo że pomiar ciśnienia jest banalnie prosty, połowa osób nie wie, że ma zbyt wysokie, albo wiedzieć o tym nie chce. Spośród tych, którzy wiedzą, tylko połowa się leczy. Powody? Brak wiedzy o skutkach, przekonanie: „Mnie udar i zawał nie spotka" oraz to, że nadciśnienie „nie boli" ani nie daje żadnych objawów. – Trudno wytłumaczyć pacjentowi, że ma codziennie przyjmować leki, skoro nie odczuwa dolegliwości. Albo jeśli przyjmuje leki, to czuje się tak samo, jakby ich nie brał, a czasem początkowo nawet gorzej – tłumaczy prof. Zbigniew Gaciong, krajowy konsultant ds. hipertensjologii (specjalizacji, która zajmuje się nadciśnieniem).

LEKARZ RODZINNY CZY HIPERTENSJOLOG

W leczeniu konieczne jest nie tylko systematyczne przyjmowanie leków, lecz także zmiana stylu życia, a więc większa aktywność fizyczna i zmiana sposobu odżywiania: mniej kalorii, tłuszczów zwierzęcych, białka, a przede wszystkim soli (do 2–3 g dziennie). Przy czym nie chodzi tylko o sól dodawaną do potraw, lecz także tę, której duże ilości znajdują się w produktach wysoko przetworzonych, takich jak wędliny, żółte sery, chipsy, wędzone ryby czy nawet pieczywo. – Dzięki zmianie trybu życia i systematycznemu przyjmowaniu leków można obniżyć ciśnienie u ok. 80–90 proc. osób. Nie muszą być one nawet pod opieką specjalisty, wystarczy lekarz podstawowej opieki zdrowotnej lub internista – mówi prof. Gaciong.

U części osób leczenie nie jest skuteczne. To pacjenci z tzw. nadciśnieniem wtórnym, którego przyczyną jest inna choroba, np. nerek, nadnerczy, endokrynologiczna; konieczne jest jej rozpoznanie i leczenie. Powinni być pod opieką specjalistów hipertensjologów. Podobnie osoby z tzw. nadciśnieniem pierwotnym (którego przyczyną jest splot czynników genetycznych, dietetycznych, hormonalnych, stresowych), jeżeli zmiana stylu życia i systematyczne stosowanie leków nie pomagają.

– Około 500 tys. osób to pacjenci z nadciśnieniem wtórnym lub pierwotnym, opornym na leczenie. Wymagają oni oceny w ośrodku specjalistycznym i modyfikacji terapii, by uzyskać docelowe wartości ciśnienia tętniczego – mówi prof. Krzysztof J. Filipiak z I Katedry i Kliniki Kardiologii WUM, prezes Polskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego.

W Polsce jest obecnie ok. 340 hipertensjologów i zdaniem prof. Zbigniewa Gacionga ich liczba jest odpowiednia, by objąć specjalistycznym leczeniem wszystkich chorych, którzy tego potrzebują.

eprasa.pl 690fe9c854

FOT. ADOBE STOCK

– Od 15 lat, od kiedy istnieje hipertensjologia, w Polsce budowany jest system opieki nad pacjentem wymagającym bardziej specjalistycznej diagnostyki i leczenia. Udało się go stworzyć, co jest sukcesem całego środowiska – potwierdza prof. Gaciong.

System opieki to kliniki leczenia nadciśnienia, ośrodki referencyjne, poradnie i 11 centrów doskonałości, spełniających najwyższe kryteria leczenia chorych. Cieszy to, że polscy hipertensjolodzy są doceniani za granicą. – Mają europejskie certyfikaty, są członkami Europejskiego Towarzystwa Nadciśnienia Tętniczego, pełnią w nim ważne funkcje, żadna inicjatywa towarzystwa nie odbywa się bez ich udziału. Są cenionymi ekspertami w dziedzinie nadciśnienia wtórnego, problemów nefrologicznych, związanych z cukrzycą czy hiperlipidemią – mówi dr hab. Marzena Chrostowska z Kliniki Nadciśnienia Tętniczego i Diabetologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

SYSTEM DO LIKWIDACJI

Niedawno Polskie Towarzystwo Nadciśnienia Tętniczego zorganizowało konferencję: „W obronie hipertensjologii". Ekspertów zaniepokoiło to, że w projekcie ustawy o zawodzie lekarza i lekarza dentysty, stworzonym przez zespół złożony w dużej części z lekarzy rezydentów, a powołany przez Ministerstwo Zdrowia, nie uwzględniono specjalizacji z hipertensjologii.

– Co prawda figuruje ona w niedawnym rozporządzeniu ministra zdrowia, jednak w załącznikach do projektu ustawy została pominięta. Niepokoi to nas, ponieważ projekt już został pozytywnie zaopiniowany przez niektóre organizacje i być może w takim kształcie trafi do Rządowego Centrum Legislacyjnego. Naszym zdaniem to niedopuszczalne. Tworzy to niekorzystną atmosferę dla tej specjalizacji, co może niekorzystnie odbić się przede wszystkim na chorych – przekonuje prof. Krzysztof J. Filipiak.

Pomysł likwidacji tej specjalizacji pojawił się już kilka lat temu i mimo że wówczas od niego odstąpiono, spadła liczba lekarzy zainteresowanych jej wyborem. Co więcej, procedury hipertensjologiczne nigdy nie były wycenione, a ośrodki powstawały na podstawie kontraktów internistycznych, co nie jest finansowo atrakcyjne dla szpitali. Profesor Krystyna Widecka, wojewódzki konsultant ds. hipertensjologii dla województwa zachodniopomorskiego, alarmuje, że od 1 kwietnia zamykana jest Klinika Hipertensjologii na Pomorskim Uniwersytecie Medycznym w Szczecinie. – To był ośrodek referencyjny dla województwa zachodniopomorskiego i lubuskiego. Rocznie diagnozowaliśmy ok. 1,2 tys. pacjentów z nadciśnieniem opornym na leczenie i nadciśnieniem wtórnym. Gdy szpitale powiatowe miały problemy z leczeniem pacjenta, kierowały go do nas – mówi prof. Widecka. – Obecnie chorym proponuje się terminy wizyty w poradni na grudzień. A przecież u nich w każdej chwili może dojść do zawału serca lub udaru mózgu. Pacjenci, czekając na wizytę w poradni, po prostu umrą – alarmuje.

DWIE GODZINY NA SZKOLENIE

Nadciśnienie to nie tylko przypadłość dorosłych: choruje na nie 3–5 proc. dzieci do 18. roku życia. U ponad 50 proc. z nich występuje jego postać wtórna, co oznacza, że powinni być leczeni przez specjalistę. Czy może być nim pediatra lub kardiolog? – W trakcie całego szkolenia specjalizacyjnego z pediatrii obejmującego liczne kursy nie ma wykładu o nadciśnieniu tętniczym. Z kolei w programie kursów dla przyszłych kardiologów dziecięcych jest na ten temat przewidziany jeden wykład, trwający dwie godziny, w tym przerwa! – alarmuje prof. Mieczysław Litwin z Kliniki Nefrologii i Nadciśnienia Tętniczego Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

Częstość występowania nadciśnienia wzrasta w okresie dorastania: ma je 10 proc. maturzystów, w tym nawet do 16 proc. chłopców. To najczęściej nadciśnienie pierwotne. Większą wiedzę, jak postępować, powinni mieć pediatrzy i lekarze rodzinni, którzy zwykle „leczą" nadciśnienie pierwotne poprzez wystawienie zwolnienia z WF. – Tymczasem najlepszym lekiem jest właśnie wysłanie młodego człowieka na boisko! Łatwiej go skłonić do zmiany trybu życia niż dorosłych, dlatego skuteczność naszego leczenia w przypadku nadciśnienia pierwotnego jest znacznie wyższa: u 70 na 100 dzieci normujemy ciśnienie. A jednocześnie młody pacjent pozbywa się powikłań, w postaci przerostu lewej komory serca i zaburzeń metabolicznych – dodaje prof. Litwin. Nie wyobraża sobie, żeby miała zostać zlikwidowana możliwość specjalizowania się w hipertensjologii.

Czy jej brak w projekcie ustawy był zwykłym niedopatrzeniem, czy działaniem świadomym? W odpowiedzi na pytanie „Do Rzeczy" Ministerstwo Zdrowia potwierdza, że są prowadzone intensywne prace nad nowelizacją ustawy o zawodzie lekarza, ale zapewnia, że nie planuje się zmian, jeśli chodzi o specjalizacje. Faktem jest jednak, że hipertensjologii w załączniku do projektu ustawy nie ma. Czyżby zespół zapomniał o 10 mln osób z nadciśnieniem, o których tak głośno upominają się eksperci? – Nie ufam oświadczeniu Ministerstwa Zdrowia, bo członkowie roboczego zespołu prywatnie mówią nam, że to nie oni dołączyli do projektu załącznik ze znikającymi specjalizacjami – podkreśla prof. Krzysztof J. Filipiak. Minister Łukasz Szumowski uspokaja jednak, że żadnych zmian w specjalizacjach na razie nie będzie.

W ciągu 10 lat efektywność leczenia nadciśnienia w Polsce poprawiła się o 100 proc. Podczas gdy w bólach rodzi się koordynowana opieka w kardiologii (nad chorymi po zawale, z niewydolnością serca), nie można niszczyć dobrze działającego, stworzonego przez lekarzy systemu opieki nad chorymi z nadciśnieniem. Lepiej go wspomóc, choćby stworzeniem wycen w hipertensjologii, żeby kliniki nadciśnienia nie były likwidowane.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 690fe9c854

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Sieciechowa korona

Sieciech to drugi po Masławie na liście dawnych wichrzycieli i buntowników. Wróg Bolesława Krzywoustego, pokonany i wygnany przez księcia. Postać przegrana, a więc dziś mroczna i krytykowana.

Według Oswalda Balzera odnotowany jest po raz pierwszy w „Kronice węgiersko-polskiej" pod rokiem 1060 jako urzędnik Bolesława Szczodrego. Gerard Labuda widzi w nim przywódcę rokoszu, który po zabiciu św. Stanisława doprowadził do wygnania króla na Węgry i powołania na tron jego brata – Władysława Hermana.

Za jego rządów Sieciech został nie tylko palatynem, powiernikiem władcy, zarządcą jego dworu, lecz także wojewodą, uzyskując absolutny wpływ na rządy. Jego intrygi wymierzone były w przeciwników Władysława Hermana – tylko bowiem przy tak chwiejnym władcy mógł zachować wpływy. Powstała wówczas dziwna, chorobliwa wręcz zależność psychiczna pomiędzy palatynem a księciem. Jednym – pięknym, bogatym, mającym powodzenie u kobiet. Drugim – schorowanym, słabym i zdradzanym.

Z inicjatywy Sieciecha Władysław Herman opowiedział się po stronie cesarza w sporze z papieżem. Być może był sprawcą śmierci Mieszka Bolesławowica, jedynego syna wygnanego Bolesława Szczodrego, który wrócił do kraju jako legalny pretendent do władzy i został otruty. Usiłował także uzyskać wpływ na następców Hermana, a tych miał książę dwóch – Zbigniewa pochodzącego z nieprawego łoża i Bolesława zwanego przez potomnych Krzywoustym, zrodzonego z małżeństwa z Judytą Przemyślidką, zawartego także za staraniem

FOT. WIKIPEDIA

palatyna. Sieciech zapewne skłonił księcia do odesłania Zbigniewa do klasztoru, a także aranżował kolejny związek Władysława Hermana – z Judytą Marią Salicką, siostrą cesarza Henryka IV. Była to dumna i harda niewiasta, już poprzedni mąż uskarżał się na jej zdrady. W osobie Sieciecha znalazła nie tylko poplecznika, lecz także kochanka.

Powstał szczególny trójkąt – układ, który znany był z historii wielu innych europejskich monarchii: słaby król, ognista królowa i jej miłośnik – najpotężniejszy możnowładca i dostojnik w państwie.

Sieciech był wówczas u szczytu władzy. Próbował odzyskać Pomorze Gdańskie (co udało mu się tylko na kilka lat), ufundował kościół św. Andrzeja w Krakowie i własny gród nad Wisłą. Jak pisał Gall Anonim: „Był komesem pałacowym Sieciech, mąż wprawdzie rozumny, szlachetnego rodu i piękny, lecz zaślepiony chciwością, przez którą wiele popełniał czynów okrutnych i nie do zniesienia. Jednych mianowicie z błahego powodu zaprzedawał w niewolę, innych z kraju wypędzał".

Kres jego władzy położyli synowie Władysława. W 1093 r. zbuntowani możni ze Śląska sprowadzili do kraju Zbigniewa, który najpierw wymusił na Władysławie Hermanie uznanie go jako dziedzica. Potem zaś został pobity w bitwie nad Gopłem i uwięziony w Sieciechowie, a uwolniony dopiero ok. 1097 r.

Palatyn nie docenił jednak synów Hermana. Wkrótce Zbigniew zawarł sojusz z dorastającym przyrodnim bratem Bolesławem; wspólnie zmusili ojca do wydzielenia im dzielnic, co osłabiało pozycję Sieciecha. Palatyn nie zaprzestał jednak wrogiej im działalności – w przekonaniu współczesnych zamierzał wygubić ród i dynastię Piastów. Bracia zwołali zatem wiec we Wrocławiu; pobili Sieciecha pod Żarnowcem nad Pilicą, następnie oblegli w jego grodzie w Sieciechowie.

Władysław Herman zaskoczył ich raz jeszcze, niespodziewanie przeprawiając się przez rzekę i przyłączając do człowieka, który panował nad jego życiem. Ostatecznie został zmuszony do wygnania palatyna.

Dzisiaj nie wiadomo, co później stało się z Sieciechem. Zaciekły wróg Piastów być może zmarł w Ratyzbonie przed 1113 r. albo wrócił do kraju po 1105 r. i został oślepiony lub zabity w trakcie wojny domowej pomiędzy Bolesławem i Zbigniewem. Na pamiątkę pozostały nam po nim: kościół w Krakowie, dawne miasteczko Sieciechów nad Wisłą i denary, które kazał bić u szczytu sławy zdobywanej na dworze i w królewskiej łożnicy. ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

SŁOIKI NA KAŻDĄ ZACHCIANKĘ SŁAWOMIRA ŚWIERZYŃSKIEGO

Oprócz porannej kawy w zasadzie nic w kuchni nie robię, bo w naszym domu gotowaniem zajmuje się żona i robi to doskonale. Uwielbiam wszelkiego rodzaju zupy – ogórkową, pomidorową, krupnik, barszcz ukraiński, botwinkę, czerninę... Kocham wszystkie zupy. Moja małżonka przygotowuje je w wekach i zawsze mamy pełen zapas zup. I kiedy przychodzi ochota na ogórkową czy szczawiową – to, proszę bardzo, wystarczy podgrzać.

Jedynymi potrawami, za jakimi nie przepadam, są ryby. Ale to tylko ze względu na to, że nie potrafię ich jeść. Jeśli to jest filet – to jeszcze; jeżeli to dorsz nad morzem – bardzo proszę; jeśli to okoń u mojego brata w restauracji – zjem; ale w innych okolicznościach ryb nie jadam, nie potrafię.

Za to nigdy nie odmawiam słodyczy. Kocham zwłaszcza torty. A wuzetka to dla mnie pierwszy sort. Pochłaniam też każde ciasto z galaretką, ale już keksu nie jadam. Nie smakuje mi, i już.

FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

Pasteryzowanie zup

Aby zapasteryzowane w słoikach zupy zachowały świeżość, musimy pamiętać o kilku ważnych kwestiach. Po pierwsze – wybierzmy dobre, nieuszkodzone nakrętki z odpowiednią liczbą gwintów, które będą idealnie pasowały do naszych słoików. I słoiki, i nakrętki starannie myjemy oraz wyparzamy w piekarniku. Nalewamy zupę do słoików, zostawiając nieco wolnej przestrzeni i dokładnie zakręcamy. Wstawiamy do dużego garnka, na którego dnie układamy lnianą ściereczkę. Zalewamy wodą do ok. trzech czwartych wysokości słoików. Zakrywamy garnek. Słoiki powinny pasteryzować się we wrzącej wodzie co najmniej przez 20 min. Wyciągamy i układamy na ściereczce wieczkiem do dołu. Gdy wystygną, przechowujemy w chłodnym miejscu (najlepiej w lodówce, względnie w chłodnej piwnicy). Tak pasteryzowana zupa może być przechowywana nawet do trzech miesięcy. ©℗

oprac. raw

Sławomir Świerzyński jest muzykiem, wokalistą, liderem zespołu Bayer Full.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kto posprząta?

Pranie, prasowanie, sprzątanie itd. to w pojęciu feministek domena kur domowych/matek Polek itp. Myśląca kobieta nie da się tak poniewierać, żeby kręcić się po kuchni. W ten sposób cała dziedzina dom-kuchnia-dzieci stała się nowym kulturowym tabu. O tym nie mówimy i tym się nie zajmujemy, bo jesteśmy stworzone do wyższych celów. A jak się o czymś nie mówi, to to nie istnieje, zwłaszcza w dzisiejszej medialnej kulturze.

Może i nie istnieje, a robotę trzeba wykonać. Kogo jednak może jeszcze obchodzić sprzątanie? Nas, Polaków, raczej niewiele. A już na pewno nie na tyle, by zaistnieć w sztuce. W Polsce szlachecko-chłopskiej, z późnym rozwojem mieszczaństwa oraz turbulencjami historycznymi, czystość wydawała się czymś drugorzędnym, godnym co najwyżej służby. Któż miałby myśleć o trzepaniu dywanów, gdy trzeba było szablę chwytać w dłoń i odzyskiwać niepodległy byt?

Weźmy jednak taką Holandię. Wpadła mi w ręce książka Piotra Oczki „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii albo historia pewnej obsesji". Rzadko doktoraty i prace habilitacyjne dają przyjemność czytania niespecjalistom. A tu właśnie tak jest – książka jest pasjonująca, świetnie, żywo napisana.

W Holandii, kraju niewielkim, geograficznie niezbyt uprzywilejowanym i także poturbowanym przez historię, udało się osiągnąć poziom cywilizacyjny, którego pozazdrościć mógł niejeden potężniejszy kraj Europy. Pracowały na to potęga morska, pracowitość i religijność mieszkańców oraz zdecentralizowany system państwowy. Niechęć do gloryfikacji własnych osiągnięć według badaczy jest jedną z najważniejszych cech charakteru narodowego Holendrów. Jaką rolę w tym wszystkim odegrała czystość? Trudno stwierdzić, ale wiadomo, że sprzątanie od XVII stulecia aż do lat 70. XX w. stało się dla Holendrów narodową manią.

PIOTR OCZKO „MIOTŁA I KRZYŻ" COLLEGIUM COLUMBINUM 2013

Gdy w miastach Europy przez okna wylewano zawartość nocników na ulice, te tonęły w błocie i fetorze, cudzoziemscy podróżni odwiedzający Holandię opisywali nieustanne zabiegi higieniczne: mycie fasad domostw i chodników, sterylność obór, w których krowom miano podwiązywać ogony, by nie brudziły nimi pobielonych ścian, groźne służące przenoszące na plecach gości w zabłoconych butach.

O tym wszystkim, pomyślałam czytając kolejny e-mail od agencji PR, która zachwala odkurzacz bezprzewodowy. I pomyślałam, że nawet bez takiego sprzętu nasze życie jest o tyle łatwiejsze. Nie muszę szorować okopconych garnków i tłustych talerzy przy użyciu piasku, octu i wrzątku, dźwigać wody z cystern i ze studni, szorować, piaskować, wyżymać, krochmalić. I to wszystko dzień w dzień... ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

VOLVO JESZCZE BEZPIECZNIEJSZE

Od początku lat 20. XXI w. samochody Volvo będą potrafiły wyczuwać pijanych lub mocno rozkojarzonych kierowców. W razie wykrycia zagrożenia polegającego na tym, że najsłabsze ogniwo w nowoczesnych samochodach (czytaj człowiek) jest pod wpływem, komputer automatycznie zwolni lub nawet zatrzyma auto. To kolejna inicjatywa szefów szwedzkiej marki, która ma doprowadzić do zmniejszenia liczby ofiar na drogach. Wcześniej, jak już pisaliśmy, Volvo ogłosiło wprowadzenie ograniczenia prędkości w produkowanych samochodach do 180 km/godz. (na zdjęciu Volvo S90).

EKSTREMALNA WERSJA LEXUSA

Zmodernizowany Lexus RC F w limitowanej wersji Track Edition został wreszcie oficjalnie wyceniony. Za szybką zabawkę dla bogatych chłopców i niegrzecznych dziewczynek (albo odwrotnie) na amerykańskim rynku trzeba będzie zapłacić co najmniej równowartość 400 tys. zł. Flagowe coupé Lexusa ma pod maską pięciolitrowy silnik V8 o mocy 472 koni mechanicznych i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 535 Nm. Takie parametry pozwalają kierowcy rozpędzić się od zera do pierwszej setki w 3,96 s. Ograniczona elektronicznie prędkość maksymalna wynosi 270 km/godz. Takie wyniki udało się uzyskać, ponieważ auto w wersji Track Edition zostało wzbogacone o karbonowe elementy, które redukują opór powietrza, poprawiają przyczepność oraz precyzję prowadzenia tego sportowego wozidełka. Dzięki zastosowaniu włókna węglowego na dachu, masce silnika, we wzmocnieniach zderzaków oraz w przegrodzie między tylnymi siedzeniami inżynierom udało się też nieco odchudzić ekstremalną wersję Lexusa RC F. Wersję Track Edition uzbrojono też w węglowo-ceramiczne tarcze hamulcowe Brembo. Układ wydechowy wykonano z kolei z tytanu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PODRASOWANY „ELEKTRYK"

Nowa generacja Nissana Leafa, najpopularniejszego samochodu elektrycznego świata, trafiła na warsztat specjalistów od tuningu. W wyniku podrasowania słynące głównie z ekologii auto mocno zyskało na wyglądzie: agresywne linie sylwetki wzmacniają nowe zderzaki, nakładki progowe, spojler, dyfuzor oraz 21-calowe felgi (z prawej strony złote, z lewej srebrne). Zmiany nastąpiły też pod maską: w wyniku tuningu maksymalna moc wzrosła ze 149 do 214 koni mechanicznych. Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś przyzwoite 340 Nm. Na szczęście jednocześnie ze wzrostem mocy udało się też podnieść wydajność akumulatorów. Dzięki temu na jednym ładowaniu usportowionym „elektrykiem" można przejechać nawet 364 km. © ℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 690fe9c854

9. Rocznica Katastrofy Smoleńskiej

na antenie Telewizji Republika

REPUBLIKA

8:40 Apel Poległych

9:20 Film „Mgła"

10:15 Film „Anatomia Upadku I"

12:15 Film „Dama"

13:40 Film „Anatomia Upadku II"

15:20 Studio Specjalne

19:00 Msza Święta

eprasa.pbc90fe9c854

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Hejt A.D. 1994

Ukazał się właśnie w Stanach (wyd. Leopolis Press) mój przełożony na angielski „Czarny ptasior" („The Ugly Black Bird"), w którym zdemistyfikowałam wojenny życiorys Kosińskiego – podstawę jego literackiego wizerunku oraz rzekomo autobiograficznego „Malowanego ptaka", uchodzącego za wstrząsający dokument Zagłady. Udowodniłam, że nie błąkał się wcale – jak utrzymywał – po kresach przedwojennej Rzeczypospolitej, nie stracił mowy na skutek bestialstwa okrutnych wieśniaków, nie był rozłączony z rodzicami. Przeciwnie, razem z nimi przetrwał okupację dzięki może i „ciemnym", ale odważnym mieszkańcom Sandomierza i Dąbrowy Rzeczyckiej w województwie tarnobrzeskim, którzy uratowali Kosińskich z narażeniem swego życia. Chociaż nikt moich odkryć nie zakwestionował, „Czarny ptasior" wywołał nieprawdopodobny wręcz hejt, zwany wtedy po prostu nagonką, którą warto z okazji przekładu przypomnieć.

HENRYK DASKO „TRUCIZNA", „EX LIBRIS", DODATEK DO „ŻYCIA WARSZAWY" (17.03.1994): „Książka nie tylko głupia, ale nikczemna. Curiosum, należące do czasu przeszłego. Na mojej półce stoi między »Pawlikiem Morozowem« a »Głupią sprawą« Ryszarda Dobrowolskiego. Pasuje jak ulał".

MICHAŁ CICHY „PTAK I PTASIOR", „GAZETA WYBORCZA" (15.07.1994): „Nie opowiadam się ani po stronie »Ptasiora«, ani »Malowanego ptaka«, obydwie książki wydają mi się równie obrzydliwe, Kosiński uprawiał literacką hochsztaplerkę, Siedlecka zaś insynuuje".

TADEUSZ KOMENDANT „I PO »MALOWANYCH PTOKACH«", „GAZETA O KSIĄŻKACH", DODATEK DO „GAZETY WYBORCZEJ" (23.03.1994): „Siedlecka, która zasłynęła w »Jaśnie paniczu« odkryciem Anieli, służącej Gombrowiczów – to jej główny powód do sławy – napisała kolejną książkę z perspektywy Anieli. [...] Dawno nie czytałem tak obrzydliwej książki. »Malowago ptaka« nie uważam za arcydzieło, ale nie widzę powodu, aby jego fikcję zastępować utkaną z insynuacji, podającą się za prawdę opowieści o ojcu Kosińskiego, gdzie w gruncie rzeczy ma mu się za złe to tylko, że przeżył".

MARCIN PIASECKI „PTAK PRZEMALOWANY", „POLITYKA" (NR 16 z 16.04.1994): „Książka szokująco jednostronna, w której na pierwszy plan wysuwa się pomówienie i oszczerstwo".

RYSZARD MAREK GROŃSKI „PAPIER JEST NIECIERPLIWY", „POLITYKA" (NR 15 z 19.04.1994): „Donos na nieboszczyka i jego rodziców w stylu – jedna pani powiedziała, że stary Kosiński-Lewinkopf właściwie, kapował za Niemca do gestapo, a po przyjściu Sowietów – do NKWD [...]. Siedlecka, wrażliwa humanistka, ma pretensje do Kosińskiego, że parszywiec przeżył. Dawniej, plugastwo (określenie Henryka Dasko) pióra Siedleckiej ujrzałoby światło dzienne w oficynie, gdzie wydają broszury o masonach, nowe wersje protokółów Mędrców Syjonu, przemyślenia Giertychów. Dzisiaj Siedlecką promuje znane wydawnictwo »Marabut«, zachwalając jako »odkrywczy tekst«. Na trop podobnych odkryć można wpaść, przeglądając biuletyny »Grunwaldu«, roczniki »Rzeczywistości«".

MONIKA ADAMCZYK-GRABOWSKA „POKRĘTNA PRAWDA", „ZNAK" (NR 11/1994): „Świadectwo ciasnoty umysłów, braku wrażliwości i swego rodzaju okrucieństwa, nie tylko u niektórych mieszkańców polskiej wsi, ale i autorki".

MARIA JANION „CZY BĘDZIESZ WIEDZIAŁ, CO PRZEŻYŁEŚ?", WYD. SIC (1996): „Proszę zauważyć, jakim powodzeniem cieszy się książka Siedleckiej »Czarny ptasior«, ohydna moim zdaniem. »Malowanego ptaka« nie traktuje się tu jako autonomicznego dzieła literackiego, które nie ma nic wspólnego z wymysłami p. Siedleckiej".

KS. ADAM BONIECKI „O DOBRYCH CHŁOPACH I NIEWDZIĘCZNYCH ŻYDACH", „TYGODNIK POWSZECHNY" (NR 32 z 7.08.1994): „Opowieść o dobrych chłopach i niewdzięcznych Żydach jest nazbyt czarno-biała, aby mogła być przekonywująca. Gorzej, jest nieprzekonywająca i niemoralna".

WACŁAW SADKOWSKI „MEDIUM", „LITERATURA NA ŚWIECIE" (NR 4–5/1994): „Szokuje zaściankowa siermiężność wywodów Siedleckiej, Wtapiając się w »gadkę gminną«, utożsamiając się z nią, staje się wiernym medium jej urojeń".

JANUSZ MAJCHEREK „BAGNO", „RES PUBLICA NOWA" (NR 5/1994): „Mało mnie tentuje przyłączenie się do chóru wyzwisk, którymi Siedlecka już została obrzucona. [...] Jej książka jest nie tylko niemądra i w złym guście, ale dwuznaczna i niezbyt ładna. Najwyraźniej chciała zdyskredytować Kosińskiego jako człowieka i pisarza [...]. Czemu w swoim »Jaśnie paniczu« nie udowodniła, że Gombrowicz to zboczona świnia, w Małoszycach macał się z parobkami, a potem, udając niewiniątko, całe to lubieżne poróbstwo przypisał różnym Gonzalom".

KRZYSZTOF KĄKOLEWSKI „CZAS KRAKOWSKI" (NR 185 i 189 z 11 i 18.09.1995): „Bilans nagonki na Siedlecką okazał się ujemny. Autorce przysporzono ogromnej sławy. […] Tak wielka nagonka zadziwiała, wręcz budziła podejrzenia. Za bardzo się starano, zbyt wiele sił uruchomiono. Szalę Siedleckiej przyciśnięto tak nisko, że nasuwało się podejrzenie, że oszukuje się na wadze. Czy to możliwe, by istniała aż tak zła i podła książka? Może warto ją przeczytać?". ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

OKIEM JASTRZĘBIA

Frenologia wskrzeszona

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Dawno temu żył sobie pewien Franz. Franz był z Austrii i nosił sobie nazwisko Gall. Nosił też w sobie gigantyczną głupotkę, którą ustroił w naukowy surdut tak udatnie, że świat mu przyklasnął oraz się nim zachwycił.

Generalnie tak w skrócie chodziło mu i jego współpracownikom o to, że czaszka wszystko ci powie. Że po kształcie czaszki, jak się oczywiście znasz, to możesz stwierdzić, jakie zdolności ma dany człowiek. Jak czaszka tu jest wklęsła, to jesteś językowo nie za bardzo, a jak tu wypukła, to będziesz artystą malarzem. Trochę upraszczam, to znaczy bardzo upraszczam, ale w dużym skrócie o to właśnie chodziło frenologom. Frenologia cieszyła się swego czasu bardzo dużym zainteresowaniem, bo przecież każdy chce wiedzieć, z kim ma do czynienia po jednym spojrzeniu na czaszkę. Taki niby-rentgen w uczonych oczach. Straszna to była lipa z głupotą. Straszna. Powtórzę: straszna lipa z głupotą.

Się mi ten Gall przypomniał, jak zerknąłem na czaszkę pani Róży Thun (nie płacą mi od liczby znaków, żebym pisał: Róża Maria Barbara Gräfin von Thun und Hohenstein z domu Woźniakowska, ale jakby płacili, to bym się zastanowił). Pani Róża stwierdziła, że wsiadła do taksówki, zobaczyła, że taksówkarz ma różaniec na lusterku, i pomyślała, że to „PiSior". Po różańcu człowiekowi poglądy polityczne przejrzała! Niesamowita historia!

Jeszcze spojrzałem też na czaszkę pana posła Jerzego Meysztowicza z Nowoczesnej (A! Tu państwa mam! Nie wiedzieli państwo, że wciąż istnieje taka partia bezPetruowa już, a istnieje). Pan poseł Meysztowicz powiedział w programie na żywo, że dziennikarz Wojciech Mucha ma znaczek PiS w klapie marynarki i wtedy wszyscy zerknęli, a tam była flaga Polski po prostu, nie żaden znaczek żadnej partii. Hm.

W związku z intelektualnie kaskaderskimi wypowiedziami bardzo głośno zrobiło się o pani Róży Thun (pisałem już, że nie płacą mi od liczby znaków?) i o panu Jerzym Meysztowiczu, chociaż nie wiem, czy o taki rozgłos im chodziło. Ale wróćmy do frenologii, popatrzyłem otóż na czaszki pani Thun i pana Meysztowicza i nic. Przysięgam absolutnie nic a nic. Aż mnie to przeraziło. Kompletnie w ogóle całkowicie nic, żadnej refleksji. Chyba coś nie tak z tą frenologią i z tymi czaszkami?

Dobra tam, zmieńmy temat, pozostając jednak w atmosferze gęstej żenady. Kiedyś krążył obrzydliwie szowinistyczny dowcip nienadający się do powtórzenia: „Dlaczego zdradza się żonę? Z miłości, żeby ją odciążyć". Przeczytałem właśnie, że porzucona przez skoczka Piotra Żyłę żona zarabia bimbaliony w „Tańcu z gwiazdami". Wiecie, dlaczego rzuca się żony? Z miłości, bo przecież chcemy, żeby nasze kobiety były bogate (Izuniu, to taki żart tylko!). ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Dusza Ameryki

MARCIN MAKOWSKI

Jest piękne, słoneczne popołudnie w Charlottesville. Na Uniwersytecie Wirginii za chwilę odbędzie się konferencja ambasadorów Grupy Wyszehradzkiej. Mam okazję uczestniczyć w tym wydarzeniu. Zanim jeszcze zacznie się część oficjalna, przechadzamy się z grupą dyplomatów, oprowadzani po kampusie Thomasa Jeffersona przez architekta i władze uczelni. „To pierwszy uniwersytet w Ameryce, którego punkt centralny stanowi biblioteka, a nie kościół" – mówi z dumą jeden z gospodarzy. W Rotundzie, głównym budynku części rezydencyjnej, najważniejsza jest natomiast aparatura chemiczna, z jedynym zachowanym w Stanach „chemicznym sercem" – umożliwiającym przeprowadzenie pięciu eksperymentów jednocześnie – słyszymy.

Im dłużej poznajemy przeszłość uniwersytetu, tym bardziej okazuje się, że dziedzictwo fundatora – byłego prezydenta USA i współautora deklaracji niepodległości – rzuca się cieniem na jego teraźniejszości. Z jednej strony orędownik wolności i wolnomyśliciel, który do religii podchodzi na tyle swobodnie, że z Nowego Testamentu wycina pasujące mu fragmenty i układa z nich swoją wersję Biblii, z drugiej jednak…

Wchodzimy do archiwum uczelni, w której znajdują się manuskrypty i listy do Jeffersona. Dwa z nich autorstwa Tadeusza Kościuszki, w tym jego ostatnia wola, zgodnie z którą amerykańskie dobra zapisuje na rzecz wykupu niewolników przyjaciela, czyniąc go jednocześnie wykonawcą testamentu. Pod dokumentem Jefferson składa dopisek: „Zrzekam się swojej funkcji". Odsprzedać niewolników, gdy akurat popadło się w długi? Na to nie umie się zdobyć nawet jeden z „ojców wolności".

Idziemy dalej, podziwiamy kampus i wymuskane domki z czerwonej cegły z białymi dachami. Obok profesorów mieszka w nich elita studentów. Na drzwiach masa plakatów. Od wsparcia dla proaborcyjnych postulatów Planned Parenthood do solidarności ze środowiskami LGBT. Nad uczelnianym amfiteatrem powiewa banner o nadchodzącym Queer Culture Week, którego atrakcją będzie Drag Bingo.

O tym, że wcześniej w tych samych murach mogli mieszkać tylko biali mężczyźni, a w piwnicach pod nimi w zimnie przebywali ich czarnoskórzy niewolnicy, dodaje się tutaj z zakłopotaniem. Tak samo jak o prezydenturze Trumpa, o którym tutejszy profesor politologii powiedział przed spotkaniem: „Nikt u nas do ostatniej chwili nie obstawiał takiego scenariusza".

Nie bez powodu właśnie w Charlottesville w 2017 r. odbyła się bitwa (z ofiarą śmiertelną) pomiędzy skrajną prawicą i lewicowymi bojówkami, której zarzewiem było usunięcie z centrum miasta pomnika bohatera Konfederacji – gen. Lee. Tu, na styku dziedzictwa Północy i Południa, toczy się dzisiaj wojna o duszę Ameryki. ©℗

eprasa.pl 690fe9c854

OKIEM BLOGERKI

Terlikowska do garów

KATARYNA

***ELIZA MICHALIK:* Mnie kiedyś zaproszono do programu z Małgorzatą Terlikowską, do dyskusji, ja odmówiłam. Redaktorowi, który mnie zapraszał, powiedziałam: Ja jestem publicystką z 20-letnim stażem, jaki tytuł do rozmowy ze mną ma Małgorzata Terlikowska? Bo urodziła piątkę dzieci? Sorry. Myślę, że aby brać pełnoprawny udział w debacie, trzeba mieć dorobek intelektualny i merytoryczny. Rodzenie dzieci i bycie czyjąś żoną to żadna kwalifikacja.**

Małgorzata Terlikowska, rówieśniczka Michalik, jest z wykształcenia etykiem, z zawodu publicystką, na koncie ma kilka własnych książek i dziesiątki cudzych, których była redaktorką. Urodzenie pięciorga dzieci wystarczyło, żeby feministka sprowadziła ją wyłącznie do roli żony i matki. Czyli zrobiła dokładnie to, co feministki zazwyczaj zarzucają „męskim szowinistycznym świniom" – odmówiła jej podmiotowości, traktując wyłącznie jako dodatek do swojego męża.

Nawet na temat wychowania matka pięciorga dzieci nie ma wystarczającego „dorobku merytorycznego"

Jednak nawet gdyby Małgorzata Terlikowska nie robiła w życiu nic więcej poza wychowywaniem pięciorga dzieci, czy naprawdę byłaby mniej uprawniona do komentowania rzeczywistości niż Eliza Michalik? Nie mam takiego wrażenia. Jeśli medialnym celebrytą może zostać agresywny dziwak Rafalala, którego jedynym „tytułem do rozmowy" jest seksualna odmienność – a coś mi mówi, że rozmowy z nim Michalik by nie odmówiła – dlaczego akurat macierzyństwo ma z publicznej debaty wykluczać? Nie wiem, ale chętnie bym się dowiedziała, co w swoim życiorysie Eliza Michalik uznała za kwalifikujące ją do rozdawania wejściówek do publicznej debaty, ale zapamiętam tę pogardę wobec innej kobiety, która zawodowo jest na porównywalnym poziomie, ale z uwagi na dużą liczbę dzieci nie powinna się odzywać w sprawach publicznych.

Bojkot Małgorzaty Terlikowskiej nie jest autorskim pomysłem Elizy Michalik, dziennikarka splagiatowała wcześniejszą akcję działaczek fundacji MaMa, które również odmawiały Terlikowskiej „tytułu do rozmowy", choć akurat rozmowa miała być o… wychowaniu. Najwyraźniej nawet na ten temat matka pięciorga dzieci nie ma wystarczającego „dorobku merytorycznego". Feministki z fundacji Sylwii Chutnik użyły zresztą kuriozalnego argumentu – powodem odmowy rozmowy z Terlikowską były bowiem poglądy jej męża. „Nie rozumiemy, z jakiego klucza została zaproszona do audycji dotyczącej wychowania patriotycznego, oprócz tego, że jest małżonką p. Terlikowskiego, znanego z wygłaszania poglądów dyskryminujących różne grupy społeczne". Dla nich też Terlikowska nie była odrębną osobą, nie była nawet matką, z którą można porozmawiać o wychowaniu, była jedynie żoną swojego męża.

Jest jednak nadzieja dla Małgorzaty Terlikowskiej. W wywiadzie dla „Gali" Michalik tak tłumaczyła swoją zmianę stosunku do osób homoseksualnych, wcześniej regularnie przez nią poniżanych w „Kąciku homofoba" momentami zbyt ostrym nawet jak na standardy „Gazety Polskiej". „Pisałam teksty zwalczające lobby homoseksualne, a potem poznałam Biedronia i jego środowisko. Przekonał mnie, że nie miałam racji, i przyznałam to". Jeśli Eliza Michalik da sobie szansę poznania Małgorzaty Terlikowskiej, może dostrzeże, że i ona jest człowiekiem niezasługującym na poniżanie tylko dlatego, że postawiła na macierzyństwo. Bo przecież do tego się sprowadzają pretensje Michalik. ©℗

PODSŁUCHANE

Sprawka Grzegorza

Mateusz, sprawdzaliśmy. Tam nie ma żadnej pani Heleny.
Beata, no jak nie ma! Przecież pamiętam: Krzeszowice, dom seniora! Taka niewysoka, siwiutka staruszka…
Tam są same staruszki. Sprawdzaliśmy. Joachim wysłał funkcjonariuszy na rozeznanie. To znaczy – są też staruszkowie, ale jeśli idzie o kobiety, to tylko staruszki, większość siwiutka.
Jasne, że tylko staruszki! A kto ma być?! Przecież to jest dom seniora! Musicie ją znaleźć, bo mnie dziennikarze męczą, żeby ją pokazać. O, pamiętam – była dość grubiutka.
Tam przychodzi regularnie 12 grubiutkich, siedem średnich i dziewięć chudziutkich. Wśród grubiutkich nie ma żadnej Heleny. Są: Genowefa, Hermenegilda… O, słuchaj, a może to była Hermenegilda? Też na „H", mogłeś się pomylić.
Pomylić? Czy twoim zdaniem „Hermenegilda" i „Helena" brzmią podobnie?
No… Tam hałas był…
Ja mam dobry słuch i świetną pamięć. Pamiętaj, gdzie pracowałem. Helena. Chciała do Medjugorje.
Wiesz, tak się zastanawiam… A jeśli to sprawka Grzegorza?
Ale że jak?
Tam jest prężne koło PO. A jak podstawił ci aktywistkę, żeby jej potem nie można było znaleźć i żeby cię skompromitować, że niby zmyślasz? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Oskarżam IPN o zorganizowaną prowokację »na zlecenie« przypisania mi współpracy z SB".

LECH WAŁĘSA, *były prezydent, na Facebooku*

eprasa.pl 690fe9c854

fot. Jerzy Gumowski

Szwindel

Mnożą się jankeskie prawne akty budzące u nas niepokój. Szczególne obawy budzi ten zwany *„roszczeniowym”* (Act 447), dotyczący finansowych/majątkowych żądań Żydów, które uczciwi Żydzi, jak historyk Norman Finkelstein, autor głośnego dzieła **„Holocaust–Industry”** (2001), zwą gigantycznym przekrętem, bo po pierwsze: wszystkie takie sprawy zostały już dawno uregulowane paktami bilateralnymi (począwszy od umowy rządu RFN z 23. organizacjami żydowskimi A.D. 1952; osobny protokół załatwiał tam problemy tzw. *„mienia bezspadkowego”*), a po drugie: okazało się, że sztab Jewish Claims Conference, głównej żydowskiej organizacji zajmującej się pozyskiwaniem odszkodowań dla ofiar Holocaustu — rozkradał te odszkodowania (miliardy euro).

W Polsce też nie brakowało afer. Jesienią roku 2013 czasopismo **„Forbes”** dało na okładce wieki tytuł: **„Polski Żyd oskarża”**, a wewnątrz Seweryn Aszkenazy felietonem, tudzież Nissan Tzur & Wojciech Surmacz artykułem, zarzucili przywódcom polskich organizacji żydowskich defraudacyjne spekulowanie nieruchomościami (blisko 500, wartość liczona setkami milionów złotych), które państwo polskie przekazuje *„restytucyjnie”* wyznaniowym żydowskim gminom. Środowiska żydowskie (krajowe i międzynarodowe) dostały szału i zaatakowały wydawcę (koncern Ringier Axel Springer), a ten zmusił redakcję **„Forbesa”** do pokajania, zakazując jej drukować jakiekolwiek teksty o Żydach i sprawach żydowskich. Współautor inkryminowanego tekstu, red. Nissan Tzur (dziennikarz śledczy izraelskiej gazety **„Maariv”**), powiedział wówczas **„Do Rzeczy”**: *„ — Czuję się zdradzony przez **«Forbesa»**”*, zaś internetowi szydercy przypominali, że już Żyd Karol Marks o swoich pobratymcach tak mówił: *„Żydostwo to szacherka, Żydzi to patentowani szalbierze. Kultem Żyda jest oszustwo (...) Jedyne, co ich emocjonuje, to urozmaicanie sobie celów tego oszukaństwa”* (1844). Pół roku po aferze warszawskiej żydowski korespondent polskiej prasy, Kataw Zar, zażądał od izraelskiego parlamentu, *„by władze skarbowe Izraela przerwały grabież milionowych niemieckich odszkodowań i podzieliły się łupem z ofiarami Zagłady, prawdziwymi adresatami tych środków”* (2014).

Dwa lata później, gdy prezydent Andrzej Duda planował wizytę w Izraelu, tamtejsza gazeta **„Jerusalem Post”** opublikowała apel do niego, twierdząc, że *„Naród żydowski żąda załatwienia przez Polskę żydowskich roszczeń reprywatyzacyjnych”*. Równocześnie (2016) Światowa Organizacja Restytucji Żydowskiego Mienia urządziła w Jerozolimie Forum Koordynacyjne Na Rzecz Restytucji Mienia Czasów Holocaustu (podczas obrad mocno flekowano III RP), a pierwszorzędnymi uczestnikami były tam amerykańskie organizacje roszczeniowe. I wkrótce środek ciężkości tych bojowych starań przeniósł się do Stanów. Na priwiślińskie środowiska polityczne (zwłaszcza te kontrsalonowe) padł blady strach, gdy w kwietniu 2018 Izba Reprezentantów USA, zmotywowana przez żydowskie lobby USA, przyjęła *„roszczeniową”* ustawę JUST 447, a prezydent Trump bezzwłocznie ją podpisał. Zezwala ona amerykańskiemu sekretarzowi stanu *„monitorować”* zakres i tempo realizacji roszczeń majątkowych wysuwanych przez diasporowe organizacje żydowskie wobec krajów, które w czerwcu roku 2009 lekkomyślnie (bezmyślnie, lub może też lizusowsko) podpisały tzw. *„Deklarację Terezińską”* (ze strony polskiej sygnował ją Władysław Bartoszewski, delegat ministra Radosława Sikorskiego, a prezydent Lech Kaczyński nie wniósł sprzeciwu). Akt ten uznawał prawomocność żydowskich roszczeń tyczących tzw. *„własności bezdziedzicznej”* (gdy brak konkretnych spadkobierców), która we wszystkich cywilizowanych krajach (również w USA!) przypada — zgodnie z prawem rzymskim — państwu mieszczącemu daną majętność. Zyskawszy ową platformę roszczeniową Żydzi potrzebowali już tylko bata na opornych, zmontowali więc amerykańską ustawę parlamentarną, by móc stawiać „dłużników” do pionu. Głównym *„targetem”* jest Polska, od której Żydzi chcą wydusić na początek 300 miliardów dolarów!

> *Jan Kasprowicz (**„Oni i my”**): „Rzućcie roszczenia, kradzieży smutnej nie szukajcie”*

Wspomniane wyżej, decydujące o takim ustawodawstwie *„żydowskie lobby USA”*, to monstrualna siła naciskowa, co skrupulatnie udokumentowali głośną książką (2006) dwaj politolodzy, Stephen Walt (Harvard University) i John Mearsheimer (University of Chicago), za co spotkał ich wściekły ostracyzm ze strony żydowskich kół medialnych i akademickich, który jednak nie może obalić *„realu”*, są bowiem nie tylko dokumenty, lecz i nagrania, chociażby słowa izraelskiego premiera Szarona rzucone ekspremierowi Peresowi: *„ — Powiem ci jasno... zupełnie się nie przejmuję amerykańskimi naciskami. My, Żydzi, kontrolujemy Amerykę, i Amerykanie doskonale zdają sobie z tego sprawę”* (2005). Doskonale zdający sobie z tego sprawę amerykański komentator polityczny i historyk (ekskandydat na prezydenta), Pat Buchanan, konkludował: *„Waszyngton to amerykańskie terytorium okupowane przez Izrael”* (2001).

Kolejnym, nowym aktem prawnym Waszyngtonu jest rezolucja 672 (w grudniu 2018 zatwierdził ją Senat, w styczniu podpisał Trump) o ***„Zwalczaniu Europejskiego Antysemityzmu”***, a następnym będzie (jest procedowany) uchwała o mającym status ambasadora *„Specjalnym Wysłanniku Departamentu Stanu do spraw Monitorowania i Zwalczania Antysemityzmu”*. W lutym, podczas swej warszawskiej wizyty, sekretarz stanu USA, Mike Pompeo, był łaskaw publicznie dyscyplinować/ponaglać naszych *„mężów stanu”* à propos *„restytucji mienia żydowskiego”*. Wszystko to budzi silne obawy Polaków, którzy wbrew faktom są uważani przez Żydów za czołowych antysemitów świata (przez prawie wszystkich Żydów, z wyjątkiem takich jak wspomniany już Finkelstein, autor rozprawy **„Wielka Hucpa. O pozorowaniu antysemityzmu i fałszowaniu historii”**, 2006). Dlaczego tak się dzieje? Po prostu dlatego, że Żydzi nas nie lubią (ks. Waldemar Chrostowski: *„ — Dawniej antysemitą był ten, kto nie lubił Żydów. Dzisiaj jest nim ten, kogo nie lubią Żydzi”*). A czemu nas nie lubią najbardziej? Bo w sytuacji gdy już parę dekad temu Niemcy, autorzy Holocaustu, miliardami marek kupili sobie u Żydów wybaczenie, musiano znaleźć winowajców zastępczych, by pełnili rolę *„kozła ofiarnego”*, dodając im bezpaństwowych kosmitów zwanych *„nazistami”* jako podwykonawców Holocaustu. Naszym pechem stała się holocaustowa logistyka: Niemcy budowali swoje obozy zagłady w Polsce, bo tu mieszkało najwięcej Żydów, których Polska przygarniała kiedy miliony ich przeganiano z całej Europy ogniem i mieczem. Jeden z najlepszych znawców XIX–wiecznej Polski, parokrotnie zwiedzający ją duński historyk Georg Brandes, stwierdził rzecz dla wszystkich wtedy oczywistą: *„Żydów mieszka w Polsce bardzo dużo, bo Polacy dali im gościnę kiedy cała Europa prześladowała ten naród. I Polska wolna jest od ksenofobii tak typowej u Niemców, zwanej antysemityzmem”* (1885).

Trzeba na koniec powiedzieć, że źle nam służą noże pakowane w plecy przez rodaków łaszących się do wroga. Przez wszystkich tych celebryckich *„inteligentów”*, którzy przyklaskują *„pokłosiowo”* Grossowi i jego ferajnie, exemplum niejaki Zgliczyński gdaczący: *„Polska jest chyba jedynym krajem na świecie, w którym całe nieomal społeczeństwo wydawało Niemcom każdego ukrytego Żyda”* (2013). Przeczą temu świadectwa uczciwych Żydów, vide sekretarz generalny Sekcji Żydowskiej CKZZ, Szmul Zygielbojm: *„Ludność polska współczuła Żydom i udzielała im wszelkiej możliwej pomocy”*. Nóż się otwiera w kieszeni, gdy słyszy się Rzecznika Praw Obywatelskich, Adama Bodnara, mówiącego (2017), że Polska współuczestniczyła w Holocauście. Takie rodzime niesprawiedliwe słowa stanowią wyborne paliwo dla *„roszczeń finansowych”* mających Polskę do cna wydoić, panie rzeczniku! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 690fe9c854

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY HISTORIA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

KRZYSZTOF HALADYN
„OSTATNIE NAMASZCZENIE"

NOWOŚĆ W PRENUMERACIE

~~720~~ ZŁ > **279,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 447 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 690fe9c854